

MIESIĘCZNIK

12(63) GRUDZIEŃ 1987 CENA 100 ZŁ

Fantastyka

PL ISSN 0209-1631

NR INDEKSU 35839

**Wesołych Świąt
i szczęśliwego
Nowego Roku 1988
życzy wszystkim
Redakcja**



Sondaż III – wyniki

Piotr Łopalewski

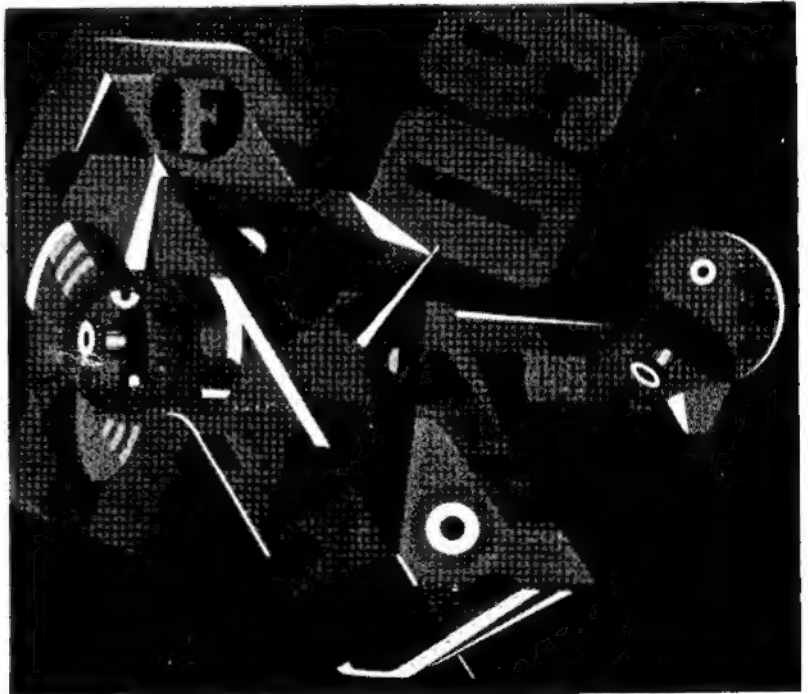


Piotr Łopalewski urodził się w 1946 roku w Zabrze. Jest absolwentem Wydziału Form Przemysłowych Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Uprawia malarstwo, rysunek, grafikę, plakat, projektowanie graficzne oraz projektowanie w zakresie form przemysłowych. Swoje prace wystawiał w kraju i za granicą (Szwecja, RFN, Szwajcaria).

BORYS BICZ

Borysa Bicza poznaliśmy we wrześniu 1987 r. podczas Dni Warszawy w Moskwie. W naszej „galerii” przedstawiamy jego prace, które pochodzą z pierwszej oficjalnej wystawy grupy radzieckich artystów nie prezentowanych dotychczas szerszej publiczności. Zestawiając ze sobą grafiki Łopalewskiego i malarstwo Bicza chcieliśmy skonfrontować dwa różne warsztaty, ale podobny sposób myślenia obu artystów.

(A.B.)



SIERPIEŃ – WRZESIEŃ 1987

Brighton – Moskwa

W STOLICY ZSRR: SF a przyszłość – 32 pisarzy z całego świata – prezentacje fantastyki polskiej (czytaj str. 2 i 61).

W ANGLII: narady i nagrody (czytaj str. 62).



58

Czy rozum jest tylko efektem ubocznym ewolucji? – o hipotezach (m.in. Konrada Fiátkowskiego) próbujących wyjaśnić tajemnice rozwoju mózgu ludzkiego pisze w swoim felietonie Maciej Ilowiecki, uznany przez Czytelników za najpopularniejszego autora naszego pisma w roku 1986 (wyniki III Sondazu na str. 31).

Opowiadania i nowele

Phyllis Eisenstein
Ślimak z kosmosu

4

„W najbliższej okolicy nie widzę drapieżników, lecz działko laserowe na wszelki wypadek znajduje się w pełnej gotowości...”

Dmitrij Bilenkin
Wieży bólu

11

„...z ciemności wyskoczył samochód. Zatrzymał się przy krawężniku jak wmurowany. Promień reflektora rozpiął go jak na krzyżu...”

Dmitrij Bilenkin
Czy istnieje człowiek?

15

„...diabeł wzdygnął się. – Niech pan posłucha, czy nie znalazłoby się u pana czegoś... hm... na rozgrzewkę? – Jego ogon mimowolnie skrzył się w korkociąg...”

Z polskiej fantastyki

Marek Pąciński
Przypadek Ewarysta

18

„...Byłem bowiem jednym z wybitniejszych agentów szlachetnego pana Fouché, dopóki przewodziła nam gwiazda ukochanego cesarza...”

Powieść

Lino Aldani i Daniela Piegai
Znak białego księżyca (2)

21

„...bitwa toczyła się aż do zmierzchu, szale zwycięstwa wciąż przechylały się to na jedną, to na drugą stronę. Cały obszar usiany był trupami i dogorywającymi, ramię Gavora stało...”

Czytelnicy i „Fantastyka”

Sondaż III – wyniki!

31

„Piaseczniki” George’a R. R. Martina i „Wiedźmin” Andrzeja Sapkowskiego zostały uznane przez naszych Czytelników za superprzeboje roku 1986.

Krytyka

Czy sukces zepsuje SF?

51

„...Za ogromne pieniądze, pochwały krytyków i rosnącą popularność też trzeba płacić...” – amerykański krytyk i wydawca, David Hartwell o sytuacji SF w Stanach Zjednoczonych.

Słownik polskich
autorów fantastyki

54

Zygmunt Orwicz (?), Ferdynand Antoni Ossendowski (1878–1945), Andrzej Ostoja-Owsiński (ur. 1930). Na „pożółkłych kartkach” – fragmenty powieści Z. Orwicza „Człowiek niewidzialny”.

Recenzje

56

Omawiają książki: Leszek Bugajski – „Homo divinus” Konrada Fiátkowskiego, Małgorzata Skórska – „Historię szaleństwa w dobie klasycyzmu” Michela Foucault, Maciej Parowski – „Kino wehikuł magiczny” Adama Garbicza i Jacka Klinowskiego oraz „Historię filmu dla każdego” Jerzego Płazewskiego.

Nauka i SF

Rozum,
czyli efekt uboczny

58

Maciej Ilowiecki: „...Jest zatem tak, jakby ewolucja przewidywała przyszłe potrzeby gatunku Homo sapiens i zawczasu, z góry obdarzyła przedstawicieli tego gatunku narządem, którego potencjalne możliwości przeznaczone były «na później»”.

SF w kraju i na świecie

Warszawa – Moskwa – Brighton

60

W sierpniu i wrześniu odbyło się kilka istotnych dla fantastyki wydarzeń. Zamieszczamy sprawozdania z warszawskiego Polconu '87, z udziału przedstawicieli naszej redakcji w międzynarodowym spotkaniu fantastów i Dniach Warszawy w Moskwie, a także z Worldconu '87 w Brighton.

Poezja i fantastyka

Jan Tulik

III

Trzy wiersze z cyklu poetyckiego „Tratwy Nostradamusa”

B oże, tylu fantastycznych pisarzy naraz – zawołał na cały głos ktoś wchodzący na salę konferencyjną moskiewskiego hotelu „Kosmos” siódmego września tego roku, wzbudzając tym małe zamieszanie wśród obradujących nad sprawami „science fiction i przyszłości człowieka”. Istotnie, rzadko się zdarza, żeby zjechało się ze świata ponad trzydziestu naraz czołowych twórców w jednym miejscu i o jednej porze, ale ten czas był szczególnie sposobny do takiego rodzaju spotkania. Przecież oczy wszystkich kontynentów zwrócone są dziś na Związek Radziecki, a szczególnie na jego stolicę, zaś wszelkie środki masowego przekazu na tym globie walcują nieustannie dwa magiczne już słowa „Gorbaczow” i „pienestrojka”, roztrząsając wpływ tego co się tu dzieje na nasze losy dziś, jutro i popołudnie. Nigdy nie obserwowałem takiego runu cudzoziemców na Moskwę, nigdy dotąd nie widziałem na Arbacie – prawdziwym teraz corsie moskiewskim – takich tłumów młodzieży, dającej ad hoc przedstawienia na tematy aktualne, śpiewających ballady pełne aluzji do tego co się wyprawia, deklamujących Wysokiego i wielu innych współczesnych poetów, prowadzących gorące dyskusje, organizujących wystawy plastyczne na świeżym powietrzu. Nawet tegoroczna kapryśna, sikająca deszczem pogoda nikomu tu nie przeszkadza.

A w „Kosmosie” siedzieli i spierali się o rolę i znaczenie fantastyki w tych znamienitych ruchach współczesności przedstawiciele siedemnastu krajów. Pośród nich takie sławy jak John Brunner, brytyjski laureat nagrody Hugo, znany u nas dobrze autor 20 bestsellerowych tytułów, Harry Harrison, sławny Amerykanin, żyjący obecnie w Irlandii, Frederik Pohl, dwukrotny laureat Nebuli i pięciokrotny Hugo, zdobywca także wielu innych międzynarodowych zaszczytów, wiceprezydent WSF, autor ponad 30 bestsellerowych książek. Zainteresowanie ogromne wzbudziła obecność Alana Dean Fostera, autora scenariusza do „Gwiezdnych wojen” (napisał poza tym 40 książek). Obu autorom z USA towarzyszyła znana krytyczka (tak można by to określić?) Elisabeth Ann Hull, redaktorka informacyjnego czasopisma Światowej Organizacji Profesjonalistów SF „Newsletter”. Z RFN przybył profesor filozofii, matematyk a zarazem znany i uznany pisarz – Herbert Franke, ze ścisłej czołówki pisarskiej tego kraju, z Czechosłowacji dwaj znakomici przedstawiciele dwóch różnych pokoleń fantastyków, Josef Nesvadba (z drugiego swego zawodu – doktor psychiatrii) i wybijająca się gwiazda pióra w dziedzinie zarówno krytyki i teorii jak i beletrystyki Ondřej Neff (jego histonę SF właśnie wydana w Czechosłowacji będziemy omawiać na naszych łamach już wkrótce). Z Francji przy-



SF i przyszłość

był popularny Claude Avice, znany miłośnikom literatury fantastycznej z książek podpisywanych pseudonimem – Pierre Barbet oraz Piotr Duvic (z którym niedawno wydał opublikowała „Fantastyka”) przedstawiciel młodego pokolenia twórców. Z Japonii – Sakyeo Komatsu, autor wielu powieści i słynnego scenariusza filmowego „Śmierć Japonii”. Z Węgier – Peter Kuczka, Laszlo Lorinc i Rigo Bela. Z Bułgarii Ljuben Ditow, z NRD – Heiner Rank i Klaus Frühauf. Gospodarzy reprezentowali Jeremie Parnow i Osincewa. Dobrze się przy organizacji tej imprezy naharowali, równocześnie sprawili, iż przez salę przewinęła się przy tym plejada najpoczytniejszych twórców radzieckich. Brakowało wśród nich braci Strugackich i Bułyczowa. Od nas przyjechał Leszek Bugajski, Konrad Fiałkowski (bardzo tu popularny) i niżej podpisany.

Szkoda jednak, że najnowszą literaturę SF w Polsce, fragmentarycznie znaną miłośnikom radzieckiej fantastyki z ich czasopism, zbyt rzadko publikuje się w postaci wydawnictw książkowych. U nas wydaje się natomiast dużo książek z SF radzieckiej.

Nie wymienię tutaj reszty znanych i popularnych osobistości, przybyłych na konferencję, ponieważ nie starczyłoby mi tu miejsca. A poza tym trzeba by jeszcze wyliczyć uczonych, którzy brali w niej udział. Jako pars pro toto pozwolę sobie na cytowanie wypowiedzi wybitnego członka Akademii Nauk ZSRR, profesora Sokolowa, chemika, który rozłożył drastyczny obraz stanu ekologicznego naszej planety. „Nie ma już dziś na naszym globie ani jednego miejsca, w którym byłoby czyste powietrze czy czysta woda. Zatrute są wszystkie o-

ceany, a także nawet nasze jezioro Bajkał. Jeszcze kilkanaście, kilkadziesiąt lat, a nie będzie w ogóle można w takich warunkach żyć. Zostało do naprawy stanu rzeczy niewiele czasu”. Otóż to. Tego potrzeba ze strony uczonych i jeszcze czegoś więcej.

Przedstawienie przyszłości to sprawa bowiem niezwykle skomplikowana, zwłaszcza że nie wbudowano w nasz mózg jakiejś drugiej mentalności, która pozwalałaby nam rozwiązywać problemy jutro po nowemu, inaczej niż się to robi obecnie, a więc nie na podstawie tego co wiemy w naszych czasach. Na wykorzystywanie jutro tego co wiemy teraz, jesteśmy niestety skazani. To też, znowu niestety, trzeba się liczyć z niespodziankami, one także utrudniać mogą nasze rozeznanie. Przecież to co dzisiaj zakorzenione w naszej świadomości, może okazać się w przyszłości nonsensem, człowiek bowiem potrafi się nagle odmiennie, przestawiać i to wbrew potocznym a nawet naukowym osądom – szybciej niż myślimy. Pozwala mu na to jego elastyczność emocjonalna, umysłowa i jego niepokorniona chęć przemiana.

Stąd liczne spięcia współczesnej rozwinętej, tej na prawdziwie dobrym poziomie literatury SF z nauką. Ludzie ubiegłego stulecia przypuszczali, że nauka zapewni im niezwykle komfort, spełni marzenia pokoleń, tkwiące w najstarszych mitologiach: o życiu bez chorób, bez konfliktów psychicznych i fizycznych. Gdy okazało się, że nauka coraz trudniej to zadanie wypełnić, że obok komfortu prowadzi ona do nowych konstrukcji bratobójczych broni i do zniszczeń ekologicznych, zaczęto bać się tyranii nauki, poszukując na ślepo irracjonalnych wyjść z impasu. I w takim stanie konfliktu między nauką i marzeniami znajdujemy się właśnie, a fantastyka nieraz dolewa oliwy do ognia, demonstrując na przykład karykaturalne modele światów, w jakich nikt nie chciałby zamieszkać, toteż ostrzeżenia, to moralitety, to nowa fala autentycznego romantyzmu, na której płynie dziś niemal cała czołówka pisarzy i miliony odbiorców ich dzieł. Nie wystarczą tym zwolennikom pop-romantyzmu małe kroczki polityków, uczonych czy twórców. Każdy z wymienionych działań nazbyt na własną rękę, każdy sobie rzepkę skrobie.

Dlatego w dyskusji o przyszłości tak bliskiej fantantom, na konferencji w Moskwie w „Kosmosie”, ciągle zwracano się ku aktualnym zagadnieniom dnia dzisiejszego. Z teraźniejszości bowiem musi wypływać jutro. Dobrze więc, że w okresie pierestrojki pomyślano także i o udziale fantastów w dyskusji nad nią i o konieczności przebudowywania mentalności całego świata.

Do następnego orbitowania.

10-9-8-7-6-5-4-3-2-1

Adam Hollanek

MIĘSIĘCZNIK LITERACKI
Fantastyka

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA,
ul. Mokotowska 5/6

Telefony: 25-34-75 (red. nac., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej), 25-50-51 (z-ca red. nac., sekretariat, działy: zagr., krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek.

Zespół redakcyjny: Andrzej Brzeziński (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczyński (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latalski (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadomski (z-ca red. nac.), Maciej Parowski, (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nac.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Dariusz J. Toruń, Marek K. Zalewski, Rafał A. Ziemiękiewicz.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Noakowskiego 14, 00-668 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-35-36. Skład: Zakłady Widesłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Zam. 3644/87 K-8,
Nakład 150 000 egz.

LĄDOWANIE LVIII

Wybrałem z wielu listów tylko te, które opowiadają dlaczego ludzie czytają utwory fantastyczne i nasze pismo. Co wynika z ich lektury niech osądzą sami Czytelnicy.

Strasznie nudno

Mieszkam w małym miasteczku i gdyby nie to, że udało mi się przez znajomość mojej matki załatwić prenumeratę Waszego pisma, zginąłbym z nudów. W jednym tutejszym empiuku odbywają się spotkania kulturalne typu „jak przeżyć sto lat” albo „seksualne niepewności młodego człowieka”. Czy to można wytrzymać? W kinie idą filmy znacznie jeszcze nudniejsze od dawnych przez naszą ukochaną telewizję – horrory bez horroru, młodzieżówki bez ikry i kłóś tam daleko myśli, że nas w ten sposób wychowa. Poszukuję książek w tutejszych bibliotekach, tych, o których pisuje się czasami w gazetach, że ciekawe, ale ich tu wcale nie ma. Zapytałem raz o to panią bibliotekarkę, a ona mi odpowiedziała z wściekłością: „to może mi na takie nowości pieniędzy pożyczysz, twoja mama na owocach podobno sporo zarabia”. Boże, gdzie ja żyję. Nasza pani przynosi nam i rozpoczyna z własnej biblioteczki lektury szkolne, zapisujemy się do nich w kolejce, ale co zrobić kiedy to także nuda. W każdym razie nie ma tam prawdziwej fantastyki, takiej, co to włosy aż do góry podnosi, jak się ją czyta, jak się ślepie w nią wklei, i nie można się od niej odenwać. Po prostu czytuję to Wasze pismo, bo jesteście mniej nudni.

Jacek Gernoch z okolic Wrocławia

Cóż wy tak nam skąpicie tych Amerykańców, jeśli jak pisze sam pan redaktor naczelny za złotowy swoje dzieła wam oddają. Ładujcie ich ile wlezie i żeby to nie było takie do płaczu tylko, ale żeby aż dało po bebechach. Zanadto jesteście delikatni, a fantastyka musi być jak Conan – okrutna i sprawiedliwa.

Zbigniew Rostaszewski z Warszawy

Dalekie od życia

Być może należę do kobiet wyjątkowych, wczytujących się w science fiction, gdyż podobno w waszych sondażach wykryliście strasznie małą liczbę czytelniczek. Nic dziwnego, że ta autorka, co ostatnio kropnęła z pistoletu swego starego męża, a potem siebie, aż się wstydziła, że jest babą i pisała pod pseudonimem Tiptree. Bo fantastyka to kopalnia twardych chłopów, dlatego ja ją lubię, gdzież indziej szukać takich facetów jak Conan, jak wasi różni podróżnicy po kosmosie, którzy z nikim i z niczym się nie cackają, tylko przy takich kobietach potrafi się czuć bezpiecznie. Tylko prawdziwa kobieta potrafi pojąć prawdziwych bohaterów science fiction, ale u nas prawdziwych kobiet coraz mniej, zresztą i prawdziwych chłopów, nie chcę wam opowiadać swoich prawdziwych losów, ale kto wie czy one nie byłyby dla autorów fantastyki jeszcze bardziej fantastyczne niż to co oni piszą. Proszę nie zbaczajcie z drogi. Cześć.

Małgorzata B. z Chorzowa

Mam co dzień ciężką robotę i odpowiedziałną, jaką długo by opisywać i wyjaśniać, nie jest to jedynie wysiłek fizyczny, o nie, w każdym razie nie mam czasu na normalne życie. Rodzinę mam także na utrzymaniu i jestem zmuszony łuchy robić, także. A gdy tylko mogę, to chwytam za książkę fantastyczną, czy za waszą gazetkę i w czasie dojazdów do moich robot, niestety daleko położonych, zabieram się do czytania, to co piszecie takie dalekie od życia, w każdym razie od mego, bohaterzy waszych opowiadań też mają nielekką, ale całkiem inaczej ode mnie i tych co ja znam. Jak na wakacjach się czuję przy waszej lekturze.

Stefan Chochlik z Gdańska-Wrzeszcza

Nauczył fantastyki

Spotkałem chłopca, on mnie nauczył fantastyki, chodziliśmy razem po parkach, zaglądaliśmy wieczorem w niebo z gwiazdami, opowiadał mi, że on także tam czasem wylatuje, opisywał statki kosmiczne i przyrządy, które służą do nawigacji, opisywał światy inne niż nasz i mnie się to naprawdę spodobało, nie tylko to co mówił, ale on sam także wydał mi się całkiem inny od mężczyzn jakich jak dotąd znałem. Pokazywał mi te postacie z kosmosu, o których opowiadał, w Waszym piśmie i bardzo bym chciała tak wyglądać jak te kobiety, tam na tych kartkach papieru. On mnie nawet porównywał do tej z obrazu Achillesa czy Achillesa, nie wiem czy dobrze to piszę, delikatnej, tajemniczej, kolorowej ze skrzydełkami. Ten chłopiec, ten mężczyzna z fantastyką jest teraz daleko ode mnie, inną sobie znalazł, ale mnie została lektura fantastyki, i wierzę, że gdy to przeczyta, com napisała, on do mnie wróci. Wydrukujcie tylko koniecznie.

Zofia Krystek z Jeleniej Góry

Najpierw kiedy zacząłem czytać „Fantastykę”, robiłem to ukradkiem, pełen wstydu, że ja, pracownik naukowy, parający się bardzo ścisłą dziedziną wiedzy, mogę się oddawać tego typu lekturze. Nie potrafiłem jednakże całkowicie skryć swoich zainteresowań, choć nie mogę zaprzeczyć, iż próbowałem tego. Ale u nas każdy wie prawie wszystko o każdym i moje zenujące obiekty zainteresowania – książki i czasopisma (także zagraniczne) SF, z tymi śmiesznymi okładkami pełnymi dziwadł, jakich nie uświadczysz na tej planecie, trochę bajecznych, trochę kiczowatych, znajdujące się w moim posiadaniu, szybko przesiłowały być tajemnicą. Nagle spostrzegłem, iż staję się ośrodkiem zainteresowania wielu osób i okazało się, iż owe osoby często przeze mnie wielce poważane, znajdujące się w naukowej hierarchii wyżej ode mnie, również frapuje ta sama lektura co mnie. Zdobyłem sobie tym sposobem mimo woli sporą liczbę nowych kolegów i przyjaciół. Mielśmy wszyscy do Was, redaktorów pisma pretensję o pewne obniżenie lotów, zwłaszcza w zeszłym roku (1986), w połowie – obecnie znowu lektura pisma stała się z numeru na numer ciekawsza. Gratulacje, to już 50 numerów i pięć lat. I jeszcze jedno: nie zaniebujcie, mimo wszystko, banalnej wydawałoby się rubryki „komu, komu”. Ja sam dzięki niej uzyskałem za jej pośrednictwem możliwości wymiany książek i niektórych numerów „Fantastyki”.

Doc. dr L.W. z Krakowa

PS. Nazwiska jednak mimo wszystko publicznie nie ujawniam.

No i co? Nikogo nie pytałem dlaczego czyta „Fantastykę” i książki SF, a odpowiadzi na to – interesujące mnie i moich kolegów pytanie – znalazłem. Myślę, że są one tylko drobną cząstką motywacji czytelnich.

Redaktor



Sprostowanie

W dniu 29.12.1985 wysłano na II Konkurs „Fantastyki” opowiadanie pt. „Ten wojewoda...”, autorstwa Andrzeja Podgórskiego i Andrzeja Bączkowskiego. W lipcu 1987 wyżej wymienione opowiadanie zostało wydrukowane w „Fantastyce”, opatrzone jedynie nazwiskiem Andrzeja Podgórskiego. (...)

Andrzej Podgórski
Andrzej Bączkowski

Maszynopis był podpisany jednym tylko nazwiskiem. Przyjmujemy wyjaśnienie Autorów do wiadomości i przedstawiamy je Czytelnikom „Fantastyki”.

Redakcja

\$limak z kosmosu

(The Snail Out of Space)

Lądowanie na skraju lasu. W pobliżu plemię lokalnych mieczaków. Przebranie wydaje się odpowiednie. Więcej następnym razem.

Przepraszam za lapidarność wstępnej depeszy, ale w tym czasie obok galopowało stado pasiąstych czworonogów, co zmusiło mnie do poszukania schronienia. Byłem już bardzo bliski nawiązania kontaktu z tubylcem, lecz niestety został on zmiażdżony na papkę przez podobne do młotów racice, wielkości niemal jego ciała. Miałem jednak możność obserwować go dostatecznie długo, żeby dokonać pewnych poprawek w moich wzorach maskujących i teraz nie mam już wątpliwości, że mogę uchodzić za jednego z ich gatunku. Nawiąże kontakt z następnym ze znajdujących się najbliżej mnie osobników.

Naśladując tubylców, posuwam się na piątym biegu. Dotarcie w tym tempie do wspomnianego osobnika zajmie mi sporo czasu, wykorzystam go więc na dokładne opisanie otoczenia. Roślinność jest bujna, we wszelkich wyobraźalnych odcieniach zieleni. W wielkiej obfitości występują tu latające i pełzające istoty o niewielkich rozmiarach i wszystkie one zdają się mnie ignorować. Po drodze zebrałem już pewną liczbę okazów, wypełniając pojemniki od 1 do 869. W najbliższej okolicy nie widzę drapieżników, lecz działko laserowe na wszelki wypadek znajduje się w pełnej gotowości. Upał, szczególnie w miejscach nasłonecznionych jest bardzo intensywny, klimatyzator jednak sprawuje się doskonale i czuję się całkiem dobrze.

Tubylec, do którego podszedłem posła się roślinami, rosnącymi na poboczu jednej z utwardzonych dróg, położonych przez gatunek, który na tej planecie dominuje. Wykazywany przez niego brak zainteresowania bliskością szybkich pojazdów wydaje się potwierdzać naszą wstępną hipotezę na temat zawartego tu paktu o międzygatunkowej nieagresji. Ten osobnik zdaje się nie zwracać uwagi również na moją obecność i, prawdę mówiąc, zupełnie mnie ignoruje. Spróbuję zyskać jego zainteresowanie rysując na ziemi między nami kilka geometrycznych figur.

Tubylec wreszcie mnie zauważył i zaczął kołysać głową, wyraźnie usiłując nawiązać kontakt. Mam nadzieję, że poprzez naśladowanie jego ruchów wykaże moją własną inteligencję. Ten konkretny osobnik obdarzony jest niemałym prymitywnym urokiem. Jego muszla, jakkolwiek wytworzona z naturalnej wydzieliny i znacznie cięższa niż mój kombinezon, jest przyjemnie skrecona i ozdobiona liniami jaskrawych kolorów. Jego głowa jest mała i delikatna, skóra gładka i błyszcząca, szypułki zgrabnie zważają się ku górze, zaś słuz ma bardzo atrakcyjny zapach. Będąc najwyraźniej przekonany, że należę do jego gatunku, zaczął zachowywać się w sposób, który mogę określić tylko jako dość natrączywe zaloty. Jakkolwiek równie dobrze może to być przyje-

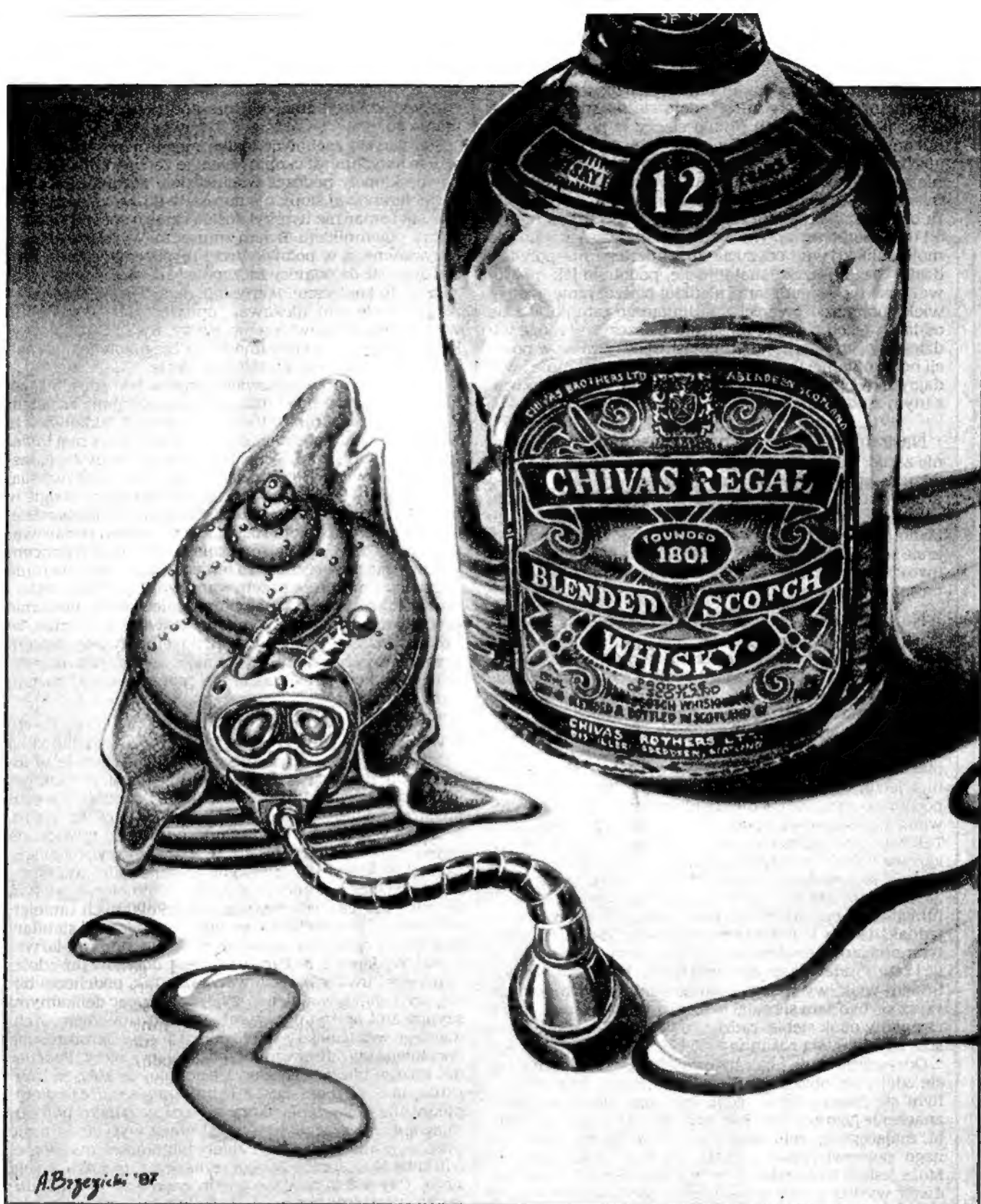
ta wśród tych istot forma powitania, przyznam się, że działa to na mnie nieco rozpraszająco i mogę tylko mieć nadzieję, iż nie naruszę żadnego z miejscowych zwyczajów, jeżeli nie będę tych zalotów odwzajemniał.

Podczas gdy tubylec i ja zajeci byliśmy wstępnymi próbami porozumienia się, na jezdni w pobliżu nas zatrzymał się duży pojazd, wyszedł z niego przedstawiciel dominującego gatunku i przeniósł nas do jego wnętrza. Tam też obecnie przebywamy. Dotychczas ten osobnik nie zrobił, tak w sferze ruchowej, jak i werbalnej, niczego, co mogłoby być uznane za próbę skomunikowania się z nami. Jego podstawowym zainteresowaniem wydaje się być jedzenie, gdyż usta poruszają mu się nieustannie, najwyraźniej przeżuwać pokarm. Zakładam, że nie sugeruje to chęci zjedzenia nas w jakimś późniejszym terminie, jakkolwiek oczywiście nie mogę tej możliwości całkowicie wykluczyć. Mój towarzysz jednakże wydaje się zupełnie nie przejmować naszą obecną sytuacją. Spoczywa spokojnie obok mnie, więc ja również, tak długo, jak to będzie wydawało się odpowiednie, mam zamiar zachowywać się podobnie.

Osobnik, który nas schwycił – gdyż tak to teraz muszę nazwać – zabrał nas z pojazdu, przeniósł do dużego, zadaszonego pomieszczenia i umieścił w wykonanej ze stalowej siatki klatce, objętością mniej więcej osiem lub dziewięć razy przewyższającej sumaryczną objętość naszych ciał. Ofiarował nam wodę i roślinne pożywienie, zaś klatka jest dobrze osłonięta przed słońcem. Przyszłość pokaże jakiemu będziemy służyć celowi. Zamek klatki jest konstrukcją dość nieskomplikowaną i nie mam wątpliwości, że z tego uwięzienia mogę uciec kiedy tylko zechcę.

Mój towarzysz posła się z zapalem, więc i ja, mając na uwadze mój kamuflaż, muszę udawać, że robię to samo. Zgniataarka śmieci, po wprowadzeniu kilku drobnych poprawek, sprasuje tę żywność w imitację odchodów mieczaków, którą wytłoczę z mego kombinezonu tak dyskretnie, jak to możliwe. A w trakcie pracy zgniataarki będę miał możność podtrzymać swoją formę, konsumując kilka zageszczonych syntetyków. Więcej następnym razem.

Jakiś czas temu osobnik, który nas uwięził, wyjął nas z klatki i umieścił w osobnych przegródkach swego wierzchniego ubrania. W związku z tym miałem okazję przez pewien czas doświadczać wrażeń, związanych z właściwym temu gatunkowi, dwunożnym sposobem przemieszczania się. Początkowo ciągle podskoki i kołysania były dość uciążliwe, ale wzięłem dwie tabletki przeciw chorobie ruchowej i w tej chwili czuję się już znacznie lepiej. Nie mogę przekazać żadnych obserwacji wizualnych, gdyż jestem całkowicie osłonięty, jednak inne moje czujniki wskazują, że zbliżamy się do obszaru o dużym zagęszczeniu przedstawicieli dominującego gatunku. Zauważalnie podniósł się poziom hałasów, a wiel-



Andrzej Brzezicki

ka rozmałość woni z porośniętych roślinnością przestrzeni ustąpiła miejsca zapachowi ich ciał, który, co muszę zameldować, w najmniejszej nawet mierze nie jest tak przyjemny jak woń, unosząca się wokół mego towarzysza – mieczaka.

Została nam ofiarowana namiastka wolności. Osobnik, który nas schwytał, wyjął nas ze swej odzieży wewnątrz słabo oświetlonego pomieszczenia i umieścił na płaszczyźnie o wyjątkowej gładkości. Mój towarzysz natychmiast rozpoczął badanie najbliższego otoczenia. Wkrótce zniknął za skrajem niedalekiej przepaści, jednak natychmiast został przeniesiony z powrotem i postawiony u mego boku. Ja byłem bardziej ostrożny. Płaszczyzna była wąska, lecz o znacznej długości, zacząłem więc badanie tego drugiego wymiaru. Nikt mnie nie zatrzymał. Znaczna liczba przedstawicieli dominującego gatunku stała po jednej ze stron tej płaszczyzny, opierając o nią dziwnie zgięte górne wypustki i intensywnie mnie obserwując. Od czasu do czasu któryś z nich wyda-

wał krótki dźwięk, ale te odgłosy nie wyglądały na podejmowane serio próby porozumienia się z nami, a ponieważ mój towarzysz całkowicie je ignorował, ja robiłem to samo. Na płaszczyźnie, przed nimi, wyraźnie zorganizowany w relacji jeden do jednego, stał nieregularny szereg przezroczystych, cylindrycznych pojemników, z których większość była nieco wyższa ode mnie. Zawierały one różnorodne, kolorowe ciecz, zwieńczone masami małych bąbelków. Od czasu do czasu któryś ze stojących podnosił swój pojemnik do ust i pił.

Właśnie po raz piąty obserwowałem tę czynność, gdy wykonujący ją osobnik opuścił pojemnik na gładką płaszczyznę i przystąpił do nachylenia go, w rezultacie rozlewając pewną ilość cieczy tuż przede mną. Domyślając się, że w ten sposób ofiarowuje mi poczęstunek, szybko przeprowadziłem analizę i stwierdziłem, że ciecz zawiera złożone substancje organiczne, wszystkie występują w bardzo niewielkich dawkach, zmieszane z dużą ilością wody. Nie znalazłem wśród tych substancji jakiegś

szczególnie szkodliwej, a mimo że kilku z nich nie rozpoznałem, jednak ich struktura molekularna dowodziła, że przynajmniej teoretycznie nadają się do spożycia. Tak więc, po umieszczeniu próbki cieczy w pojemniku 942 dokonałem wstępnej próby smakowej. Ciecz była nieco gorzka, jednak nie nieprzyjemna. Spróbowałem ponownie i wkrótce wypilem ją całą. Mój towarzysz został umieszczony obok mnie i wylano następną porcję, którą obaj wypiliśmy. Mój chronometr informuje mnie, że od tego momentu upłynęła znaczna ilość czasu, chociaż moje subiektywne odczucia zupełnie tego nie potwierdzają. Ciągłe jeszcze znajduję się, podobnie jak mój towarzysz, na wspomnianej gładkiej płaszczyźnie, jednak większość przedstawicieli dominującego gatunku już się oddaliła. Jeżeli podejść do skrajnej płaszczyzny mogę widzieć tego, którzy nas tu przyniosł. Spoczywa on w pozycji horyzontalnej w pewnej odległości poniżej mnie i wydaje się być pogrążony w głębokim śnie, być może związanym z porą roku.

Nasz opiekun zabrał nas z płaszczyzny i ponownie zaczął się poruszać. Jednak tym razem jego chód jest tak nierówny, że byłem zmuszony wziąć aż trzy tabletki przeciwko chorobie ruchowej. Mój wskaźnik kierunku mówi mi, że wracamy do pomieszczenia zawierającego klatkę. Nie jestem głodny ani spragniony, jednak nie czuję się zbyt dobrze i muszę przyznać, że z pewną niecierpliwością oczekuję na ciszę i spokój naszej klatki. Więcej następnym razem.

Natychmiast po naszym powrocie mój towarzysz, wykazując tę odporność, która tak często cechuje przedstawicieli kultur pretechnologicznych, zabrał się do jedzenia. Ja jednak stwierdziłem, że zmęczenie mnie przytłacza i w związku z tym przydzieliłem sobie standardowy okres snu. Jednakże nie minęła nawet jego połowa, a zostałem obudzony przez mego towarzysza, który umiejscowił się tuż obok mnie i leciutko dotykał mego płaszcza i jedyne wystające spod niego czułka swą niewielką, delikatną głową. Muszę wyznać, że, w tym półświadomym stanie, nie znajdowałem tego poszturchiwania i – właśnie tak – podskubywania nieprzyjemnymi. Tak więc z początku nie robiłem niczego, co mogłoby sugerować chęć ich przerwania, tłumacząc sobie, że na pewno stanowiły oczywisty dowód zainteresowania i szacunku ze strony mego towarzysza i byłbym co najmniej nieuprzejmy natychmiast się z nich wycofując. Jednakże kiedy te gesty przekroczyły pewien poziom intymności, zrozumiałem, że nadeszła pora, żeby się oddalić i zacząć udawać spożywanie roślin. Najwyraźniej wybrałem właściwy sposób postępowania, gdyż mój towarzysz szybko sam się zajął jedzeniem i w tej chwili odpoczywamy obok siebie, radząc sobie, każdy na swój sposób, z wchłoniętą roślinną materią.

Oczywiście czuję ulgę, że w najmniejszym stopniu, jak się zdaje, nie obraziłem mego towarzysza, jednak czułbym się jeszcze lepiej, gdybym zrozumiał prawdziwe znaczenie jego załatów. Być może były one częścią rytuału, mającego na celu ustanowienie jakiegoś symulowanego pokrewieństwa między dwoma nieznajomymi? Może jestem teraz członkiem jego plemienia? Muszę podwoić wysiłki w celu nawiązania z nim kontaktu. Więcej następnym razem.

Znowu odwiedziliśmy słabo oświetlone pomieszczenie i tym razem miałem szczęście zaobserwować u mego towarzysza nowe formy zachowania. Zarówno on, jak i ja już od pewnego czasu poruszaliśmy się po gładkiej powierzchni bez wyraźnego celu i jeszcze żadnemu z nas nie zaproponowano poczęstunku z cieczy, gdy mój towarzysz postanowił zbliżyć się do jednego z cylindrycznych pojemników. Nie widziałem nic szczególnego w tym akurat egzemplarzu, może z wyjątkiem tego, że był on wypełniony w nieznacznie większym stopniu niż wszystkie pozostałe. Po dojściu do pojemnika mój towarzysz rozpoczął wspinaczkę na jego bok, utrzymując się na śliskiej, pionowej powierzchni z pomocą swej potężnej stopy i gęstego śluzu. Na krawędzi pojemnika wygiął wdzięcznie swą długą szyję i zaczął chleptać cieczą. Ten postępek, jakkolwiek z początku wydał mi się niezbyt uprzejmy, najwyraźniej mieścił się w normach społecznych, akceptowanych przez obecnych tu przedstawicieli dominującego gatunku, gdyż, mimo że wielu z

nich w pierwszej chwili wydawało groźne dźwięki i nawet wymachiwało w stronę mego towarzysza swymi górnymi kończynami, nikt nie podjął próby powstrzymania go.

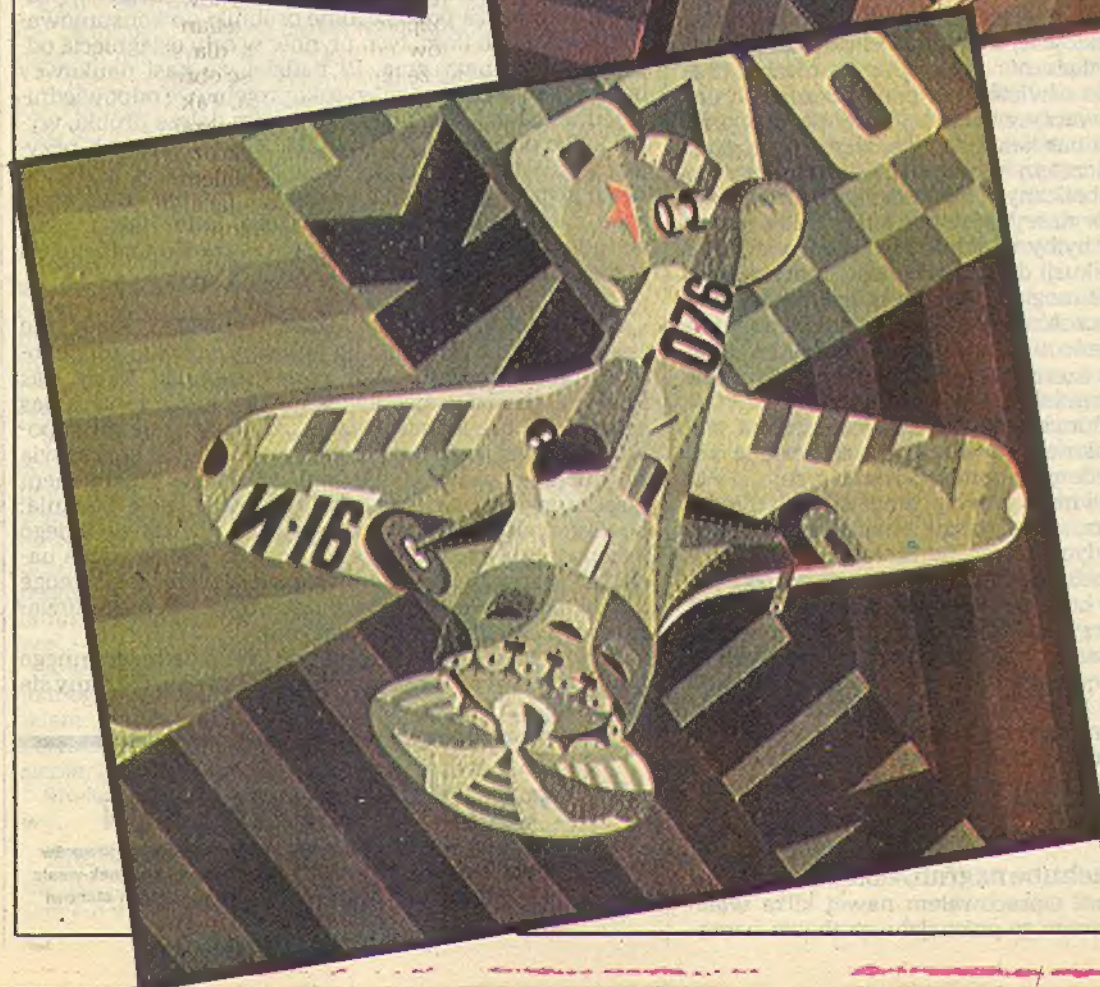
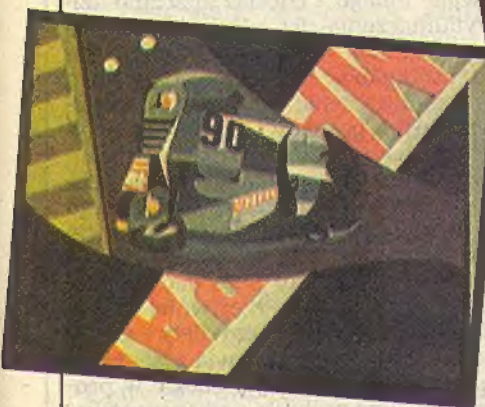
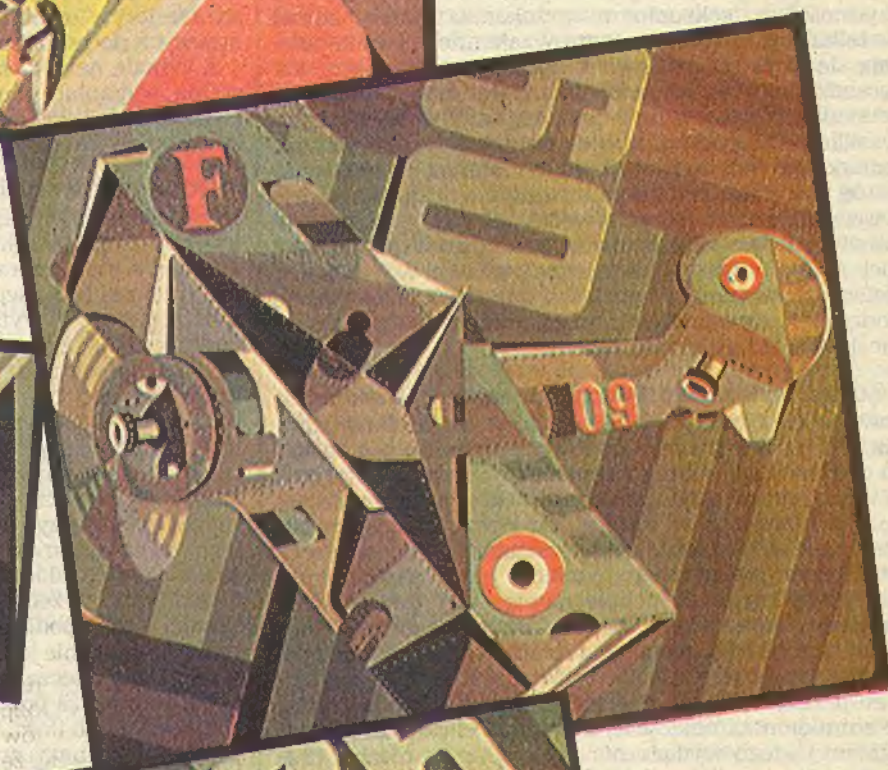
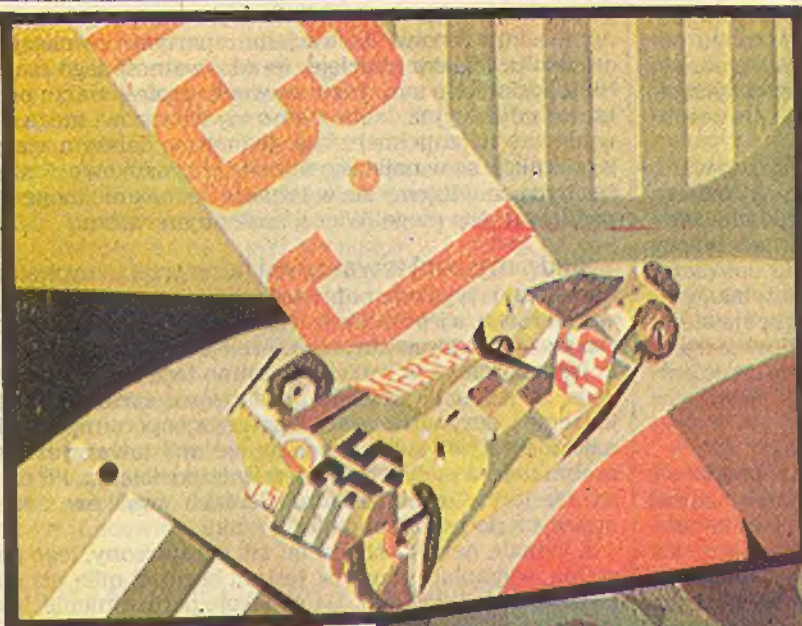
Starając się zachować logikę mego przebrania, oczywiście natychmiast skopiowałem to zachowanie. Miałem pewne kłopoty podczas wspinaczki – zarówno bieźniki mojej terenowej stopy nie dorastały do wysokości zadania, jak i smar nie tworzył dostatecznego spoiwa między nimi a pojemnikiem. Byłem zmuszony wypuścić klamry przyssawne, a w połowie drogi myślałem, że będę musiał uciec się do pomocy zaczepów – na szczęście nie okazało się to konieczne. Pomyślnie dotarłem na krawędź i zdołałem się tam ulokować, opuszczając jednocześnie wlot ssawki ku powierzchni cieczy. Była to nieco ryzykowna pozycja do konsumowania czegokolwiek, jednak ufam, że sprawilem się całkiem niezle.

Nie jest dla mnie całkowicie jasne w jaki sposób zszedłem z krawędzi pojemnika. Prawdopodobnie zostałem zdjęty przez osobnika, który nas schwytał. Jakkolwiek to jednak było, znowu znajduje się, podobnie jak mój towarzysz, z powrotem w klatce i obaj poświęcamy się jedzeniu. Postanowiłem spróbować miejscowego pożywienia, choć analiza wykazuje, iż jest ono zatruwające ubogie w białko. Mój towarzysz zaprowadził mnie ku bardziej soczystym fragmentom roślin, a ja w zamian podarowałem mu kilka kęsów najsmaczniejszego z moich koncentratów. Jego wdzięczność za ten podarunek jest dla mnie oczywista – mimo że przebywamy ze sobą dość krótko i nie zdołaliśmy dotychczas porozumieć się na poziomie umożliwiający jasną wymianę doświadczeń, czuję, że już nawiązaliśmy mocny kontakt empatyczny. Jestem przekonany, że wróży to, jak najlepiej naszym przyszłym stosunkom z mieszkańcami tej planety. Więcej następnym razem.

Ponieważ podłoga klatki niezbyt nadaje się do rysowania, a za każdym razem, gdy wycinam z roślin kilka prostych geometrycznych kształtów i układam je w logiczne konfiguracje, mój towarzysz je zjada, postanowiłem podczas kolejnych prób nawiązania kontaktu posługiwać się moim zewnętrznym wideomonitorom. Wiem, że z tym wyborem wiąże się pewien stopień ryzyka, ale jestem przekonany, iż jestem w stanie wykryć nadejście osobnika, który nas schwytał dostatecznie wcześniej, żeby zdążyć zasłonić ekran. Zamiast polegać w tym przedsięwzięciu na własnych umiarkowanych umiejętnościach wideo, rozpocząłem wyświetlanie serii standardowych programów edukacyjnych dla studiów larwalnych. Wydaje się, że barwy i żywość obrazów już zdołały przykuć uwagę mego towarzysza. Tak, podchodzi bliżej, wyciągając swą głętką szyję, poruszając delikatnymi szypułkami ocznymi z wyraźnym zrozumieniem. Ach, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem? Ogromnie nie doceniłem wyrafinowania tej czarującej istoty. Podchodzi jeszcze bliżej, jego głowa łagodnie się kotłuje, muskularna stopa marszczy się rytmicznie. A może te skomplikowane poruszenia skóry są jego sposobem porozumiewania się? Ciągłe i ciągle od nowa wysyłał do mnie przekazy, a ja byłem zbyt zajęty banalnościami geometrii, żeby je odebrać? Dotyka mnie teraz, leciutko, swoją stopą. Czy jest to radosne pozdrowienie od bratniej duszy? Tak właśnie być musi. Naśladuję ten gest, a jego głowa pochyla się ku mojemu odsłoniętemu czułkowi, jego delikatne usta dotykają moich szczątkowych ssawek, tarka muska ich obrzeża czuciowe, jak tysiąc leciutkich nakłuć, a gdy oddaje te palpacje na boku jego szyi, jego głowa rusza w górę, w górę, jego głętką szyja oplata moją, ach, jak oplata, w górę, w górę, ach...

Przepraszam za tak gwałtowne przerywanie ostatniego raportu, ale oczekiwania mego towarzysza stały się tak oczywiste, a jego poczynania tak natrączywe, że konieczne stało się poświęcenie im przeze mnie całej, niczym nie rozpraszaney uwagi. Jakkolwiek nigdy nie miałem takiego zamiaru, zacząłem uczestniczyć w seansie seksualnym z tą istotą. Zdaje sobie sprawę z tego, że nie jest to krok zalecany przez instrukcje, jednak czułem, iż w tych warunkach nierozsądnie z mojej strony byłoby stronić od takiego doświadczenia. Jestem również przekonany, że każdy z moich kolegów, postawiony w obliczu takiego samego zestawu czynników zachowałby się tak samo jak ja. Jako minimum, była to niezrównana okazja do zbratania się z moim towarzyszem, do zdoby-

BORYS BICZ



cia jego całkowitego zaufania, do zaszczepienia mu głębokiej motywacji, skłaniającej do szukania sposobu porozumiewania się ze mną i już to tylko, nie biorąc nawet pod uwagę wcale przyjemnych aspektów fizycznych tej sytuacji, było z pewnością wystarczającym usprawiedliwieniem dla jej pełnej realizacji.

Odpoczywamy teraz. Lub raczej – ja odpoczywam. Wydaje się, że nasze czynności pobudziły apetyt mojego towarzysza, gdyż przeszedł na drugą stronę klatki, żeby jeść. Cóż za zachwycającą jest on istotą, śmiałe kolory jego muszli uwypuklają się w obramowaniu delikatnej zieleni roślin, jego subtelna głowa pochyla się z taką gracją ku soczystości pożywienia, szypułki wyginają się w przeuroczy sposób. Kiedy pomyśle, że ta cudowna istota rzeczywiście zezwoliła mi się posiąść, od nowa czuję pulsowanie mego narządu rozrodczego. Więcej następnym razem.

Ochota, z jaką mój towarzysz znowu poddał się czynnościom seksualnym przekonała mnie ponad wszelką wątpliwość, że nasze wzajemne stosunki opierają się teraz na trwałych i mocnych podstawach. Nie szczędziłem więc, wyświetlając nagranie za nagraniem, od stadium larwalnego wzwyż, najbardziej wyteżonych wysiłków, żeby się z nim skomunikować. Dotychczas jednak jego jedyną reakcją na te materiały były okazjonalne próby skubania ekranu. Zanotowałem sobie oczywiście sekwencje, które wywołały te reakcje, jednak jak dotąd nie udało mi się zauważyć żadnego wspólnego dla nich mianownika. Nie będę jednak ustawał w wysiłkach; jestem przekonany, że gdzieś w tym materiale kryje się podejście, które przerzuci między nami tak potrzebny most. Więcej następnym razem.

Zostałem zmuszony do przerwania prób skomuni- kowania się z moim towarzyszem, gdyż zjawił się osobnik, który nas schwytal i ponownie przeniósł nas do słabo oświetlonego pomieszczenia. Dotychczas nie sformulowałem jeszcze ostatecznych wniosków na temat powodu, dla którego nasz opiekun odwiedza to miejsce tak często, ale moja robocza hipoteza zakłada, że jest to centrum ruchu politycznego, być może nawet siedziba rządu. Gdybyśmy mieli ochotę nawiązywać jakiegokolwiek kontakty z dominującą rasą tej planety, uważam, że najlepiej nadawałoby się do tego miejsce dokładnie tego rodzaju.

Po przekazaniu tej obserwacji czuję się w obowiązku ze smutkiem zameldować, że niemal stałem się przedmiotem takiego wydarzenia. Po spędzeniu niezbyt długiego czasu w słabo oświetlonym pomieszczeniu, podczas którego mój towarzysz i ja raczyliśmy się, bok przy boku, z rozlanej dla nas kałuży, nagle, smarem na gładkiej płaszczyźnie zacząłem wypisywać wiadomości. I nie były one tylko symbolicznymi abstrakcjami, ale rzeczywistymi zdaniami w naszym języku, które każdy inteligentny obserwator byłby w stanie zinterpretować jako nie podlegający dyskusji dowód obecności istoty z innej planety. Nasza misja mogłaby się zupełnie załamać, gdyby nie spostrzegawczość mojego towarzysza. Czując, że popełniam czyn krańcowo nierozważny, szedł za mną, gdy pisałem i jego szeroka stopa ścierała każdą literę krótką chwilę po tym, jak ją skończyłem.

Nie znajduję wytłumaczenia dla swego postępu. Nie wiem co go sprowokowało. Prawdę mówiąc, cała ta wizyta w słabo oświetlonym pomieszczeniu rysuje się w mojej pamięci mniej niż wyraźnie. Mogę się jedynie powoływać na psychiczne – i fizyczne – napięcie, związane z taką jak ta ekspedycją i ufać, że moi przełożeni przy orzekaniu kary w pełni uwzględnią moją szczerość.

Mam nadzieję, że będą również pamiętać nieocenioną pomoc mego towarzysza i uhonorują go odpowiednią nagrodą, gdy ta planeta stanie się pełnoprawnym członkiem Wspólnoty Mieczaków.

A jako że znowu znajdujemy się w klatce, z dala od wścibskich oczu przedstawicieli dominującego gatunku, powrócę do prób skomunikowania się z moim towarzyszem. Tak oczywiście rozpoznanie przez niego języka ogromnie mnie do tego zachęciło. Z pewnością przełom jest już bliski. Więcej następnym razem.

Straciłem już rachubę nagrań, które wyświetliłem memu towarzyszowi. Opracowałem nawet kilka własnych, używając ogromnego potencjału symboliki nasze-

go języka, połączonego z kilkoma skromnymi, stworzonymi komputerowo ilustracjami, opartymi na naszym otoczeniu. Miałem nadzieję, że adekwatność tego materiału poskutkuje tam, gdzie zawiodły profesjonalne programy edukacyjne, które memu towarzyszowi mogą się wydawać najzupełniej obce. Jednak w dalszym ciągu jego reakcje są w najlepszym razie przypadkowe. Czuję, że chyba znajdujemy się w impasie. Jednak nie mogę się poddawać. Nie mogę. Więcej następnym razem.

Siedzimy, mój towarzysz i ja, po przeciwnych stro- nach klatki. Wygląda naprawdę czarująco, spoczywając wśród roślin, a jego delikatne usta żują, nieustannie żują. Oczywiście musi często jadać, jeżeli jedyna dostępna dieta jest tak uboga w proteiny – mimo tego teraz dostrzegam, że jedzenie jest jego podstawową życiową pasją. Jedzenie i, oczywiście, seks. Z pewnymi oporami, ale jednak doszedłem do przekonania, że mój towarzysz jest osobnikiem o inteligencji niższej niż przeciętna. Po prostu nie jest w stanie zrozumieć moich wysiłków, zmierzających do porozumienia się z nim.

A jednak, nawet jeśli jest on tak ograniczony, jego pogoda, wspaniała obecność jest mi bardziej miła niż potrafię to oddać słowami. Mam swoje porozumienie, jakkolwiek nie jest ono intelektualne, i ja tego nie żałuję.

Odwiedziliśmy jeszcze raz słabo oświetlone po- mieszczenie i tym razem zdałem sobie sprawę, że, jakkolwiek moja początkowa hipoteza na temat jego przeznaczenia może rzeczywiście być prawdziwa, to jednak nie wziąłem pod uwagę innego – chociaż znacznie dwuczynniejszego – wytłumaczenia dla odbywających się tam tak często zgromadzeń dla wielu należących do dominującego gatunku osobników. Mimo że wydaje się to nieprawdopodobne, pomieszczenie to może być miejscem spożywania wspólnych posiłków. Zamiast jadać w małych, prywatnych grupach rodzinnych czy przyjacielskich, te istoty najwyraźniej wolą wchłaniać swoje substancje spożywcze całkowicie publicznie. Cóż innego mogłoby tłumaczyć niemal nieustającą tam konsumpcję tych różnokolorowych płynów? Nie są to tylko napoje orzeźwiające, jakie my moglibyśmy podawać na którymś z naszych zebrań politycznych. Przeciwnie, najwyraźniej są one podstawowym składnikiem diety tego gatunku i, podobnie jak rośliny, które stanowią zasadnicze pożywienie mieczaków, są zatrważająco ubogie w proteiny, co zmusza poszczególne osobniki do konsumowania ogromnych ilości tych płynów w celu osiągnięcia odpowiedniego nasycenia. W nadziei, że nasi naukowcy będą w stanie otrzymać wysokoproteinowe odpowiedniki jednego lub kilku z nich, pobrałem dalsze próbki, wypełniając pojemniki 1030 do 1254. Z pewnością ich przyjemny smak, zmieniający się w zależności od płynu od nieco gorzkiego do lekko słodkiego, równie łatwo znajdzie zwolenników wśród naszego ludu, jak znalazł wśród tubylców. Ja oczywiście swoje posiłki uzupełniam syntetykami.

Czy muszę mówić, gdzie byliśmy? Kiedy nie znajdujemy się w klatce, to jesteśmy w słabo oświetlonym pomieszczeniu. Jeśli nawet osobnik, który nas schwytal chodzi gdziekolwiek indziej, to nie zabiera nas ze sobą. Muszę jednak wyznać, że ta sytuacja mi odpowiada, nawet jeżeli tak niewielka ruchliwość sprzeciwia się duchowi naszej ekspedycji. Wiem, że powinienem uciec z tego uwięzienia i kontynuować moje badania; powinienem zacząć wykorzystywać noc do szybkiego przenoszenia się z miejsca na miejsce, podczas dnia nadal udając nautiloida, a jednak stwierdziłem, że nie mogę odejść, gdyż to oznaczałoby pozostawienie mego towarzysza. Mego drogiego towarzysza.

Nigdy nie darzyłem takimi uczuciami żadnego innego mieczaka. Jesteśmy różnymi istotami, on i ja, różnymi się

Phyllis EISENSTEIN

Młoda autorka amerykańska, która od pierwszych swoich utworów zwróciła uwagę wydawców i czytelników. Żartobliwie, a jednak wcale nie błahe opowiadanie o kontakcie międzykulturowym stanowi dobrą próbkę jej talentu.

rasą i intelektem, jednak mamy pokrewne dusze. Zaczęłam go darzyć uczuciem nie tylko ze względu na piękne ukształtowanie jego muszli, na delikatność jego szypułek, na falujące mięśnie jego stopy, ale również z powodu czulego, łagodnego ciepła, które odbieram za każdym razem, gdy on dotyka moich czułek. Prawde mówiąc, zdecydowałam – mimo że jest to przeciwne wszelkim przepisom i niewątpliwie ściąganie na mnie nieustające potępienie ze strony moich przełożonych, a być może nawet wydalenie ze Służby – zdecydowałam zabrać mego towarzysza na punkt kontaktowy, a potem na naszą rodzinną planetę. Wiem, że moja rodzina i przyjaciele mogą mieć pewne trudności z przyzwyczajeniem do moich stosunków z istotą tak różną od nich, ale ufam, że z czasem się z tym pogodzą i pojmą, że bliskość, zrozumienie i cicha wzajemna zależność, które są naszym udziałem rekompensują mi wszelkie uszczerbki, jakie mogła ponieść moja kariera.

Oczywiście nadal będę wysyłał raporty i zbierał próbki – tak długo, jak każde z tych działań będzie wydawało się konieczne. I będę miał nadzieję, że moi koledzy-badacze w swej pracowności zapełnią lukę, którą ja muszę zostawić.

Znowu słabo oświetlone pomieszczenie. Pobrałam kilka dodatkowych próbek płynów. Być może po zwolnieniu ze Służby zostanie przedsiębiorca i zrobię fortunę, wprowadzając te znakomite napoje w społecznościach mięczaków w całej galaktyce. Wtedy już nikt nie będzie szydził z byłego badacza, który posłubił cudzoziemca. Tak, zrobię fortunę.

Znowu słabo oświetlone pomieszczenie. Dodatkowe próbki. Różnorodność smaków jest oszałamiająca. Ośmielałam się przewidywać, że odkrycie tych płynów może stać się najważniejszym osiągnięciem całej tej ekspedycji. Ośmielałam się przewidywać, że to uczyni mego towarzysza i mnie sławnymi. Będziemy sławni, szczęśliwi i bogaci. Które z rzeczy, ofiarowywanych przez Służbę mogą się z tym równać? Żadne. Absolutnie żadne.

Stało się coś strasznego. Nie potrafię teraz o tym mówić. Coś strasznego.

To było tak nagle, tak nieoczekiwane. Tak przerażające. Mój drogi towarzysz – nie mogę dłużej mówić. Więcej potem.

Czuwam przy ciele. Czuwam już od dwóch okresów ciemności. A może trzech. Zastanawiam się czy według ich tradycji to wystarczy?

Byliśmy w słabo oświetlonym pomieszczeniu. Jak zwykle. Popijaliśmy z tej samej kałuży. W jednym momencie jego szypułka falowała radośnie, usta chleptały chłodną cieczą, muskularna stopa falowała spokojnym rytmem, a w następnym leżał bezwładnie obok mnie. Traciłem go łagodnie, ale się nie poruszył i wtedy już wiedziałem. Wiedziałem.

Minęło dużo czasu. Powiedziałem wam ile, ale zdaje się, że umocowałem chronometr w niewłaściwym miejscu. W każdym razie dużo. W końcu nasz opiekun zabrał nas obu i zaniósł z powrotem do klatki. Od tej pory już jej nie opuszczaliśmy. Przypuszczam, że nasz opiekun przygotowuje stos pogrzebowy. Zastanawiam się – czy pozwolą mi nań wskoczyć?

W końcu usnąłem, wyczerpany, a po przebudzeniu stwierdziłem, że ciało mego drogiego towarzysza zniknęło. Sądze, że osobnik, który mnie więził, odprawił wszelkie wymagane przez ich tradycje obrzędy pogrzebowe. Żałuję jednak, że mnie nie obudził, abym w nich uczestniczył. Czy choćby tylko się poprzyglądał. Tylko to. Jeżeli już muszę nadal żyć, miałbym przynajmniej to ostatnie wspomnienie, które mógłbym na zawsze zachować.

A więc jestem sam. Klatka wydaje się za duża dla mnie jednego. Wody i roślinnego pożywienia jest pod dostatkiem. Gdyby mój towarzysz żył, wskazywałby mi co bardziej soczyste rośliny i dzieliłbyśmy te porcje między siebie, bok przy boku, w milczącej jedności. Gdyby.

Stwierdzam, że, właśnie teraz, nie jestem zbyt szczęśliwy.

Znowu odwiedziłam słabo oświetlone pomieszczenie mój opiekun i ja. Robimy to dość często. Miesiąc z którym wiążę się tak wiele pięknych wspomnień. Za każ-

dym razem, gdy tam idziemy, nie mogę nie myśleć o moim droгим towarzyszu; czasem nawet zapominam się na chwilę i odwracam głowę, spodziewając się zobaczyć go, chlepczącego błądy płyn z kałuży lub, być może, wspinającego się na ścianę pojemnika. Przez krótką chwilę szukam wzrokiem tych subtelnych szypułek, kołyszących się do mnie, tej delikatnej głowy, przesyłającej mi swe słodkie, znajome zaproszenie. A potem, nagle, przypominam sobie. I wtedy pragnę być z powrotem w klatce, nigdy już nie przychodzić w to miejsce, w którym nawiedza mnie tak wiele wspomnień. Ale oczywiście nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia. Mój opiekun mnie zabiera.

Słabo oświetlone pomieszczenie.

Samotny na gładkiej płaszczyźnie, sączą się płyny, które kiedyś konsumowaliśmy wspólnie. Nie wiem jak dałbym sobie radę bez tych płynów. Zdają się w jakiś sposób stępić ostrze mego smutku. Ale nie zawsze. Nie zawsze.

Praca zajęłaby mi myśli. Wiem o tym. Jestem teraz w klatce; osobnika, który mnie więził nie ma nigdzie w pobliżu; powinienem skorzystać z tej okazji, żeby uciec. I myślę, że uciekłbym, gdyby nie to, że zamek okazał się nieco bardziej wymyślny, niż początkowo przypuszczałem i zwykłymi manipulacjami nie byłbym w stanie go otworzyć. Wsadziłbym go po prostu moim działkiem laserowym, ale najwyraźniej zapomniałem o jakimś podstawowym aspekcie posługiwania się tą bronią. A może potrzebne jest tylko jej dostrojenie. Wiem, że gdzieś tu powinienem mieć narzędzia. Gdzieś. Ale kiedy ich szukam, stwierdzam, że pojemniki wypełnione są tylko płynami. Z wyjątkiem tych, które są puste.

Być może po prostu potrzebny mi odpoczynek. Tak, odpoczne trochę. Więcej następnym razem.

Rozmyślałem. Mam dużo czasu na rozmyślanie, samotny w mojej klatce. Albo w słabo oświetlonym pomieszczeniu. Niemal już nie zauważam panującego tam hałasu i mocnych zapachów. Jedyną dla mnie różnicą między tym pomieszczeniem a klatką stanowi fakt, że tam mogę dostać cudowne napoje, a w klatce jest tylko woda. W mojej pustej klatce.

Czy już wspominałem, że rozmyślałem? Tak musiałem już to powiedzieć. Tak. Rozmyślałem nad tym, że w tej planecie jest coś niezwykłego. Coś nieuchwytnego i zdradliwego, coś, co tłumy wyższe funkcje mózgu, co oddziałuje na pamięć i zdrowy rozsądek, a nawet koordynację ruchów. Być może jest to jakiś śladowy składnik atmosfery. Możliwe, że działa tylko na mięczaki – tłumaczyłoby to fakt, że nie są one tutaj gatunkiem dominującym. A być może wpływa na każdą istotę na tej planecie. Wiem, że na mnie wpłynęło to bardzo poważnie. Tak. Mam ogromnie ograniczoną zdolność koordynacji ruchów. Nie mogę uchwycić nawet zamka tej klatki. Moje czułki nie trafiają lub zeslizgują się, i trzęsą się tak bardzo, że nie mogę znieść ich widoku. A mój umysł – skupienie uwagi na czymkolwiek stało się dla mnie ogromnym wysiłkiem. Przez większość czasu jestem oszołomiony.

Mogę tylko mieć nadzieję, że moje ostrzeżenie dotrze dostatecznie wcześnie, żeby uratować moich kolegów-badaczy. Natychmiast wezwijcie wszystkich na punkty kontaktowe. Przedmuchać im skrzydła naszym czystym powietrzem. Wpływ tej planety może być odwracalny. Może jeszcze nie jest za późno. Teraz już wiem, że nie będę w stanie wrócić na punkt kontaktowy. Nie potrafię uciec z klatki, a nie będę narażał na szwank naszej misji, uciekając, na oczach przedstawicieli dominującego gatunku, w jakiś skuteczny, ale nienaturalny dla tubylców sposób. I tak nie jestem pewien czy potrafiłbym tego dokonać; nie mogę sobie przypomnieć jak wyłączyć piąty bieg.

Jednak wszyscy, czyż nie?, podczas tej ekspedycji zdawali sobie sprawę, że jako jednostki się nie liczymy i możemy być poświęceni.

A więc żegnajcie, koledzy, i pamiętajcie o mnie, gdy już będziecie w domu, zadowoleni i bezpieczni wśród swych bliskich. Pamiętajcie o mnie, siedzącym w tej samotnej, samotnej klatce gdzieś daleko.

W tej samotnej, samotnej klatce.

Mam nadzieję, że mój opiekun przyniesie wkrótce innego nautlóida.

Piotr Łopalewski



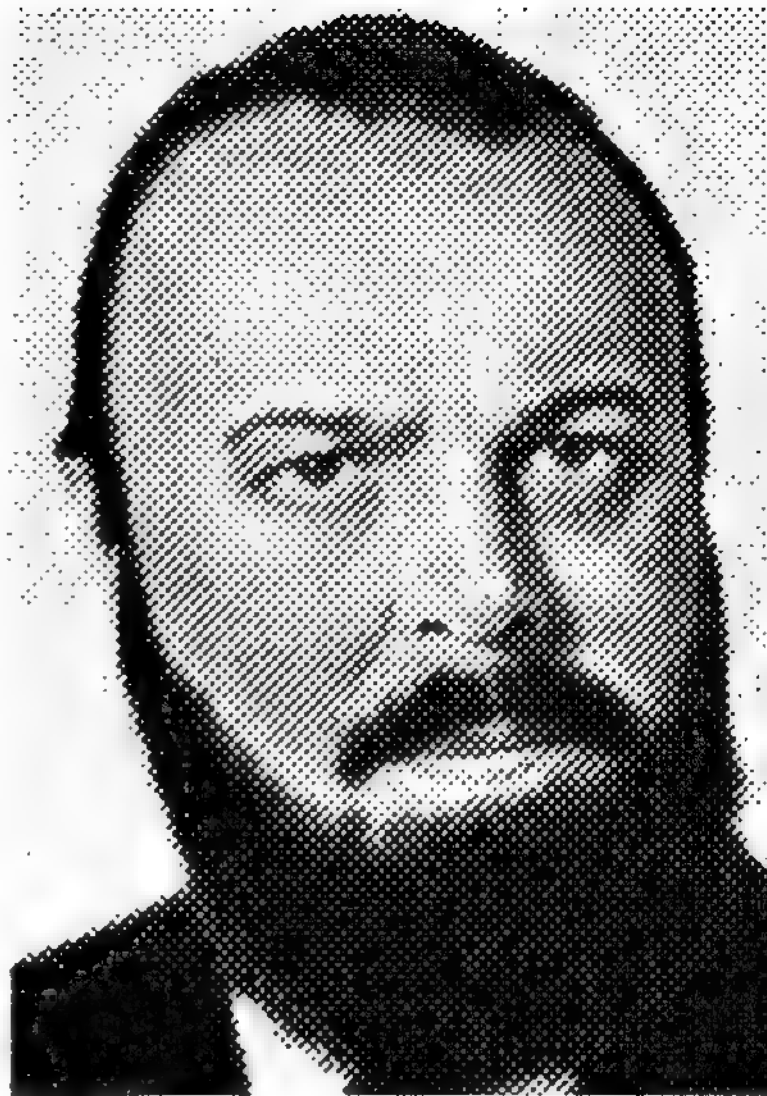
W lipcu, w wieku 54 lat, zmarł Dmitrij Bilenkin.

Oszedł utalentowany pisarz-fantasta, obdarzony zmysłem obserwacji, wielką wrażliwością, poczuciem humoru – jeden z twórców, który przyczynił się do rozkwitu radzieckiej fantastyki w latach sześćdziesiątych – a jednocześnie sympatyk polskiej fantastyki, przyjaciel naszego pisma.

Wiedzieliśmy o Jego ciężkiej chorobie serca, o przebytych zawałach, ale wiedzieliśmy również, że działa, tworzy, pracuje z młodym pokoleniem radzieckich fantastów. 29 maja Dmitrij Bilenkin prowadził spotkanie z okazji jubileuszu sześćdziesięciolecia Georgija Gurewicza. Przekazaliśmy mu wtedy zaproszenie na tegoroczny POLCON i do naszej redakcji. Powiedział, że chciałby ponownie do nas przyjechać, ale nie wie, czy mu zdrowie pozwoli...

Dmitrij Bilenkin był z wykształcenia geologiem-geochemikiem. Przez wiele lat pracował jako dziennikarz, opublikował wiele tekstów popularnonaukowych. W 1958 roku wydrukował swoje pierwsze opowiadania fantastyczno-naukowe i od tej pory Jego nazwisko na trwałe związało się z obrazem radzieckiej fantastyki. Był między innymi autorem tomików SF: „Marsjanskij priboj”, „Nocz kontrabandoj”, „Prowierka na razumnost’”, „Lico w tołpie”, „Siła silnych”. Jego twórczość to najczęściej „przygody myśli”, „dramaty idei” – etycznej, psychologicznej i socjologicznej – osadzone w tradycyjnie rozumianej, atrakcyjnej fabule.

Jego opowiadania i nowele tłumaczone były na wiele języków obcych, m.in. wybór Jego opowiadań ukazał się w Stanach Zjednoczonych. Polscy czytelnicy znają utwory Bilenkina z „Problemów”, „Kroków w nie-



znane” i „Stało się jutro”, z serii zeszytowej „Iskier”. Również „Fantastyka” opublikowała Jego opowiadania: „Wybacz odchodzącym” (nr 11/84) oraz „Remont elektronów” (1/86).

W czasie ostatniej z Nim rozmowy nie chciał już mówić o swoich planach twórczych. Może przeczuwał, że nie zdoła już ich zrealizować. Zachowajmy Go w pamięci.

Redakcja

Dmitrij Bilenkin

WIEŻY BÓLU

(Uży boli)

Nie rzucające się w oczy drzwi cicho wypuściły człowieka w ciemność opadającej łagodnie uliczki. Na jej przeciwległej stronie, trochę bardziej na lewo i w dół, świeciły się okna umieszczonej w półsuterynie knajpy. Dobiegały stamtąd apetyczne zapachy sosów, przez stłumiony gwar słychać było pobrzekiwanie szklanek. Przez ukosne smugi światła przebiegał

kot; z mroku bacznie popatrzył na człowieka jego fosforyzujące oczy.

Człowiek odczekał chwilę i ruszył w dół ulicy, mijając knapę. Gdzieś za glinianymi ścianami leniwie zaszczekał pies. Szczekanie podchwyciły inne psy i ich niezgrabny chór dobiegał jeszcze z towarzyszył przechodniowi. Wyso-

Na skrzyżowaniu człowiek skreślił w stronę śródmieścia i po pół godzinie znalazł się w tej części miasta, gdzie pomiędzy ciągnącymi się po obu stronach alei wspaniałymi wystawami widniały ponure fasady rządowych gmachów i banków. W tym właśnie miejscu, widziany przez licznych przechodniów, w zdradzieckim świetle lamp i jaskrawych rozbłyskach reklam człowiek zaczął dziwnie się zachowywać. Zatrzymał się przy oblepionym afiszami stendzie, wyjął z zanadru arkusik papieru z niewyraźnym tekstem i zrezygnując się klejącą taśmą przykleił go na obnażonej piersi artystki. Kiedy to zrobił, włożył ręce do kieszeni i stał przez chwilę, jakby oceniając wykonaną pracę. W czasie, kiedy przyklejał papier i potem oglądał go, minęło go pięć osób i dwoje z nich, najwyraźniej podejrzewając, że święci się tu coś niedobrego, przyspieszyło kroku. Nikt jednak nie zatrzymał naklejającego człowieka, nikt nie powiedział doń ani słowa, zupełnie jakby nic się nie działo.

Za następną przecznicą wszystko się powtórzyło. Nie opodal szeptała fontanna, policjant na rogu dyrygował stadem parskających samochodów, po asfalcie stukwały damskie obcasy kobiet, na ławeczkach, za ścianą żywopłotu rozbłyskiwały ogniki papierosów, ale człowiek wykonywał swoje czynności tak, jakby sądził, że jest niewidzialny.

Przy ogrodzeniu parku dogoniły mężczyznę szybkie kroki. Minęła go kobieta otoczona zapachem perfum i pudru, mignęła jej napięta, z czarnymi jamami wymalowanych warg twarz i usłyszał urywany szept: „Pełno tu szpiclów, idioto!” Uśmiechnął się z wdzięcznością. Kobieta szybko odchodziła od niego z wymęczoną rutyną kotysząc biodrami. Jej jasna bluzka wkrótce rozpułyła się w dal.

Miasto było jego sojusznikiem, wiedział o tym już wcześniej. Mimo wszystko jednak przyjemnie było usłyszeć ostrzeżenie. Nawet jeżeli ostrzegała go prostytutka. Szczególnie, jeżeli ostrzegała go prostytutka.

Ale wśród przechodniów, wśród zaciągających się papierosami mężczyzn i szczebioczących melodyjnie dziewcząt, kryli się, rzecz jasna i wrogowie. Czyjeś uważne spojrzenie prędzej czy później przyłgnie do niego. Później czy później. Żeby już prędzej się to stało...

Przykleił jeszcze trzy ulotki, ale nic się nie zdarzyło. Czy to noc, czy zuchwalstwo osłaniały go swoim płaszczem? Upał, jaki panował w dzień, dawno już minął, ale on był cały mokry od potu. Papieros nie przyniósł ulgi. Zgrzytający tramwaj strzelił na zakręcie snopem iskiei. Człowieka ogarnęło szaleńcze pragnienie, by wskoczyć na stopień i odjechać w przezroczystym, pełnym ludzi wnętrzu wagonu gdzieś, byle dalej od wspaniałych światel śródmieścia. Gdzieś, do portu, gdzie pluska pokryta olejami woda i gdzie wśród sagów drzewa, na suchym, słonym piasku mrok nocy jest gesty jak zapomnienie.

Przecież, ostatecznie nie jest żadnym bohaterem. Jest po prostu człowiekiem, który wie, że tak trzeba i boi się. Żył tak krótko!

Kiosk ze świecącym napisem „Napoje” przyciągnął jego uwagę. Musi się napić, ktoś może wiedzieć, co będzie potem. Obojętny sprzedawca o błyszczącej tłusto twarzy odliczył resztę za trzy szklanki. Miedziaki były mokre i przyjemnie chłodziły gorącą dłoń.

Kolejną ulotkę beczelnie przykleił u wejścia do gmachu poczty. Ludzi w tym miejscu było dużo i natychmiast poczuł jak fala strachu zmywa stamtąd grupkę osób.

Jak wygląda ten wyczekiwany zdrajca? Czy jest młody, czy stary? Czy to pieniądze zatruty jego serce, zawiść, strach, fanatyczna głupota? A może jego postępkami kieruje rutyna służbisty? Zapewne nigdy go nie zobaczy. Ich drogi skrzyżują się w stratosferycznym mroku, rozejdą się niepostrzeżenie i nie rozpozna go w świetle dnia, tak jak nie sposób rozpoznać pocisk, ukryty w niewinnym kawałku ołowianej rudy. Ale na razie panował spokój.

Wydawać się mogło, że nie zasypiające nigdy oko tajnej policji oślepiło.

Zapewne jutro po mieście rozpełzną się pogłoski: Wszyscy mogli to widzieć... Dwa kroki od policji... Tak, tak, ulotki! Nie bez kozery ośmielili się... A więc, coś się zaczyna dziać... A więc... Psst!

No cóż, dobre i to. Ale najwyższy już czas na rozstrzygnięcie. Jak długo można czekać na nieuniknione, dreczyć się nadzieją, którą on sam powinien był wykluczyć?

Kolejnej ulotki już nie zdążył nakleić. Nagle, przystając sobą cały świat, z ciemności wyskoczył samochód. Zatrzymał się przy krawężniku jak wmurowany. Promień reflektora rozpiął go jak na krzyżu, z uniesionymi rękami, w których trzymał przyszykowaną do naklejenia kartkę!

Gdy go schwycili, szarpnął się. Cios pałki był szybki i celny. Dwa okrzyki zlały się w jeden. Tajniak wypuścił pałkę i schwyciwszy się za głowę upadł na chodnik.

Nikt niczego nie zrozumiał, ale reakcja na powstałe zamieszanie była błyskawiczna. Nowy cios zadano pięścią i to z taką siłą, że zatrzymanemu pociemniało w oczach. Ale ten, który zadał cios, również zwinął się z bólu.

Wszystko spletało się w jęczący kłęb.

O wydarzeniach tych nie zameldowano dowództwu ze względu na ich całkowitą bezsensowność oraz dezorientację uczestników operacji. Dostarczyli oghuszonego przestępcę do celi, ale sami byli oghuszeni w nie mniejszym stopniu. Doszli do siebie całkowicie dopiero w barze, przy kieliszku. Lecz ich próby ustalenia co i jak wprowadziły taki galimatias, że by odzyskać równowagę ducha zmuszeni byli zamówić nową butelkę.

Jeden z poszkodowanych tajniaków zapewnił, że zatrzymany przyładował mu iskrą elektryczną, która wyleciała mu prosto z oczu. Drugi zaklinał się na wszystko, że widział unoszącego się człowieka z pałką – człowiek i pałka byli na wpół przezroczyści, ale uderzenia były celne. Trzeci oznajmił, że niczego takiego nie zauważył, ale na pewno były to jakieś diabelskie sztuczki – faktem jest, że obaj jego przyjaciele, po tym jak przyłożyli przestępcy, nie z gruszki nie z pietruszki polecieł na asfalt i musiał zaciągnąć ich do samochodu. „Aleście się nabuzowali!” – pokiwał głową siedzący obok inny tajniak. Wszyscy trzej straszliwie się oburzyli i zaczęli wyjaśniać mu całą rzecz od początku. Ponieważ wypili już wystarczająco dużo, to zaczęli gadać takie bzdury, w które już nikt nie uwierzył. Mimo to jednak po komendzie szybko rozpełzał się zło-wieszczy słuch o widmie z elektrycznymi oczyma.

Sprawca zamieszania został tymczasem dostarczony do dyżurnego śledczego, który poziewając siedział nad papierzyskami. Strażnik – opięte w mundur, jak zwykle spocone cielsko – siedział naprzeciwko. Zza drzwi dobiegał trzask maszyny do pisania. Potem ucichł nagle i zapadła taka cisza, jakby cały budynek przeniósł się w jakiś inny, pozagrobowy wymiar.

Śledczy oderwał się wreszcie od papierów, zapalił papierosa i wydmuchnąwszy dym w kierunku sufitu, spojrzął na aresztowanego. Śledczy miał około pięćdziesiątki i w jego spojrzeniu malowało się mniej więcej tyle samo zainteresowania ofiarą, co w jego ślubnej obrączce na palcu.

– Imię, nazwisko?

Strażnik, kołyszając nogą, przyglądał się z upodobaniem odbłaskom światła na czubku buta.

Aresztowany milczał.

– Możemy pomóc stać się rozmownym. Możemy pomóc... Imię?

– Roukar.

- Wszystko, wszystko...

- Wystarczy.

Śledczy nic nie odpowiedział i ziewnął powoli. W przy-mrużonych oczach błysnęła białka.

- Nie strugajcie tu z siebie... - Jeszcze raz ziewnął i poruszał palcami. - Powtarzam...

- Usiądź, jeśli pan pozwoli.

- I tak już siedzicie. U nas. A więc nie radzę.

Roukar podszedł do krzesła. Wyraz twarzy śledczego nie uległ zmianie, ale strażnik był czujny - leniwie wstał, bez pośpiechu schwycił Roukara za kołnierz, uśmiechnął się krzywo...

- Idioto, poparzysz się! - zawołał Roukar błędnie.

Strażnik przyglądał się mu jak przedmiotowi. Wybie-rał miejsce, w które uderzyć, a kiedy wybrał, zadał błyskawiczny cios w usta, który w komendzie nazywano „zakąską”.

Jakby wybuchła między nimi bomba. Odlecieli od siebie z jednakowym krzykiem, z jednakowo wykrzywio-nymi twarzami i tylko po podbródku strażnika nie pły-nęła krew.

- Co się dzieje, sierżancie? - W głosie śledczego zgrzyt-nał jakiś trybik. - Jeżeli zwichnieliście paluszek, to po pierwsze, nie ma się czym chwalić, a po drugie...

- Posłuchaj, durniu! - odezwał się ostrym tonem Roukar. - I tak usiądź, a wy możecie spróbować mnie ruszyć, możecie spróbować, jeżeli nie żal wam waszej skóry!

Usiadł, patrząc wyzywająco na śledczego. Ten mrug-nął lekko.

- No, sierżancie...

Mógł tego nie mówić. Purpurowy z wściekłości sier-żant już podchodził do Roukara. Mignęła ciężka jak z oło-wiu pięść.

Krzesło wraz z Roukarem wyrzuciło w ścianę i rozle-ciało się. Natomiast strażnika obróciło o sto osiemdziesiąt stopni. Przez chwilę stał z wytrzeszczonymi oczyma, a potem z głuchym jękiem złożył się w pół i runął, prze-wracając stół. Ale wszystkie dźwięki zagłuszył wrzask śledczego - oszalały, przeraźliwy wrzask przerażenia i bólu.

Pułkownik, pod którego dowództwem znajdowała się tajna policja lubił pracować nocami. O tej porze świat jest bardziej spokojny niż w dzień. Nie ma szalenczego natłoku barw, dźwięków, ruchu, mrok niesie wraz ze sobą porządek, wszystko, co niepotrzebne śpi, światło lamp jest surowe i niezawodne, ponieważ całkowicie uzależnione jest od woli człowieka.

Kiedy wreszcie zameldowano pułkownikowi o tym co się stało, nie uwierzył, ale się zainteresował. Doprowa-dzony do historii śledczy, który jak wiadomo odznaczał się wrażliwością betoniarki - taka historia zasługiwała na uwagę. Każde naruszenie porządku było wyzwaniem tych sił, z którymi pułkownik walczył bez ustanku, jak budowniczy tamy walczy z każdym przeciekami po-jawiającym się w jego dziele. Była to nie kończąca się nigdy, ale niezbędna praca, która już dawno stała się fundamentem egzystencji pułkownika i czynnikiem ce-mentującym jego całą władzę.

Aresztowanego doprowadzono do gabinetu. Pułkow-nik obrzucił go spojrzeniem i poczuł coś w rodzaju roz-czarowania. Błada, porozbijana piesciami twarz dwu-dziesiątka, rozszerzone, pełne napięcia źrenice, wi-doczna w nich mroczna nienawiść - wszystko to było do tego stopnia znane, że pułkownik z góry wiedział, jakie z setki razy słyszanych słów będą wypowiedziane, jakim tonem i kiedy. Romantyk, zidentyfikował natychmiast. Powariowali, czy co... pomyślał, zapalając bez pośpie-chu cygaro.

- Siadaj - skinął aresztowanemu głową.

Roukara popchnięto na fotel, który miękko przyjął go w swoje objęcia. Fotel, jak wszystko zresztą w gabinecie,

odgrywał swoją rolę, choć pukownik niczego tu nie wy-myslał, wszystko było wynikiem przez wieki gromadzo-nego doświadczenia. Rozmówca tonął w miękkim i nis-kim fotelu, natomiast biurko górowało nad nim jak po-stument, czyniąc postać gospodarza szczególnie majesta-tyczną. Wrażenie to potęgowały jeszcze mundur pułkow-nika, złoto jego epoletów, bateria telefonów koło łokcia, całe wyposażenie wnętrza, w którym każdy przedmiot, choćby biblioteczna szafa z rzędami masywnych tomów ze złożonymi grzbietami lub dębowe framugi drzwi, wy-głądały solidnie, trwale i oficjalnie.

Pułkownik nie spieszył się, bowiem doskonale znał miazdzący ciężar oczekiwania. Ten człowieczek u pod-noża jego biurka sam z siebie nie budził w nim zacieka-wienia. Natomiast bezsensowne okoliczności, z którymi był związany, owszem. Ale nie on sam. Żaden z pracow-ników tajnej policji nie mógłby owocnie pracować, gdy-by w swojej ofercie widział jednostkę ludzką. Nawet nie-nawisć była tu przeszkodą. Pułkownik, podobnie jak jego podwładni, robił swoje, pracował z żywym materiałem i emocje były tu równie nie na miejscu jak przy gwintowa-niu nakrętek, czy przy układaniu cegieł.

- Cóż za oklepane metody! - odezwał się nagle are-sztowany. - Sprzykrzyła mi się już wasza tępota i żeby jak najszybciej zrozumiał pan sytuację, proszę, oto moja reka. Niech pan ją dotknie końcem cygara.

Jego gest, wydawało się, nie został zauważony. Puł-kownik w milczeniu, nie zmieniając wyrazu twarzy pa-trzył na Roukara. Płynęły długie sekundy milczenia. Wreszcie stało się to, co powinno się było stać - palce are-sztowanego zaczęły lekko dygotać.

Wtedy pułkownik przysunął do rozwartej dłoni cyga-ro. Wycelował bez pośpiechu - i nagle strząsnął popiół na rekę Roukara.

Reka drgnęła. Pułkownik roześmiał się leniwie wi-dząc, jak wykrzywiła się twarz więźnia.

- Otóż to - powiedział spokojnie. - A teraz jeszcze jed-na mała lekcja.

Dał znak. Dwoch przypominających posągi straźni-ków zrobiło krok w stronę fotela, jednakowo szcękają-wszy czymś metalowym.

- Bedziemy rozmawiać normalnie, czy inaczej?

- Nie - odpowiedź była ledwo słyszalna. - Nie będzie-my.

Ręce strażników spotkały się na potylicy Roukara.

Krzyknęli wszyscy czterej. Cztery pobladłe twarze spoglądały na siebie, ale na jednej z nich, oprócz bólu, malował się tryumf.

Pierwszy przyszedł do siebie pułkownik.

- Won... Strażnicy - won!

Krótkie zamieszanie; strażnicy, którzy utracili swój po-sagowy wygląd, nierówno wykonali w tył zwrot i gabinet opustoszał.

- Rozsądnie - powiedział aresztowany. - Po coś zby-teczni świadkowie bezradności przełożonych?

Pułkownik wyszarpnął pistolet z szuflady biurka.

- Porozmawiamy - powiedział z pogróżką w głosie.

- Jeżeli zechce - dodał aresztowany.

- Zastrzeżę pana!

- A czy pan nie pomyślał, pułkowniku, że to jeszcze bardziej niebezpieczne niż przemoc?

Pułkownik gwałtownie zaciągnął się dymem cygara. Jego spojrzenie błędziło po twarzy przeciwnika. Teraz dostrzegał w aresztowanym godnego partnera, osobo-wość, którą należało rozszyfrować.

- Cygaro? - zaproponował nieoczekiwanie.

- Nic. Im prędzej się rozstaniemy, tym lepiej dla nas obu.

Pułkownik skinął głową.

Jestem realistą - powiedział przyciszonym głosem. - Sytuacja uległa zmianie, to dla mnie oczywiste. A co z tego wynika?

To już lepiej - rzekł Roukar. - A więc, na początek niewielki wykład...

Przyjrzał się pomieszczeniu i na ile pozwalały mu rozbite wargi i napięte nerwy, usmiechnął się.

- Wykład w tajnej policji. Zabawne! No dobrze. Proszę dobrze to zapamiętać. Każde działanie fizyczne czy też umysłowe - poprzedza odpowiedni impuls nerwowy. Akt przemocy również. Organizm generuje drgania elektromagnetyczne... Coś w rodzaju bezdźwięcznego krzyku, czy to rozumiecie? Metody, jaką to osiągnęliśmy, nie musi pan znać. Ale jej sens zawiera się w następującym. Mój organizm nastrojony jest w taki sposób, że odbiera on obcy impuls przemocy. Przy tym, systemy nerwowe kata i ofiary łączą się ze sobą jak żarówki w sieci elektrycznej. Jeżeli w ślad za impulsem nie nastąpi działanie, nic się nie stanie, podobnie jak nie zapalą się żarówki, jeżeli nie włączymy elektryczności. Ale jakże szybko po myślowym rozkazie następuje cios... Moje ciało przeszywa ból i dokładnie taki sam ból przeszywa wasze! I nie ma znaczenia, co stało się przyczyną bólu - pańska pięść, czy but pńskiego podwładnego. Kat i ofiara skuci są jednym lancuchem tak silnie, że teoretycznie wszyscy powinni czuć to samo. Praktycznie jednak wspólny staje się tylko ból, ponieważ on jest najsilniejszym impulsem. Jakże tak, pyta pan. Aresztowanego złomotali, boli go całe ciało, ja natomiast tego nie czuję, choć powinienem, jeżeli to co słyszałem jest prawdą. Sekret jest prosty - mogę osłabiać lub wzmacniać powstałą między nami łączność. Teraz ją wzmacniam. No i co?

Twarz pułkownika wykrzywiła się bolesnie. Na jego czoło wystąpiły kropelki potu, dłoń zacisnęła się mimowolnie. Przez parę chwil szef tajnej policji i aresztowany patrzyli w swe zaciemione bolem zrenice.

Trzecia zasada dynamiki Newtona - tryumfalnie oznajmił Roukar. - Każdemu działaniu towarzyszy równe, lecz wprost przeciwne oddziaływanie. Teraz zasada ta będzie działać między ludźmi w równie jawny sposób, jak w fizyce! Kiedyż do tej pory ofiara mogła odplacić katu tą samą miarą, na meczarnie meczarnią? Cierpi pan... Dostę, z przemocą już koniec!

- Władza nie istnieje bez przemocy - pułkownik rozchylił zbiałe wargi. Niszcząc władzę, niszczy pan prawo, porządek, samo społeczeństwo...

Panskie społeczeństwo! - Dzwiecznym głosem zawołał Roukar. - Pan... pan jest po prostu gangsterem, który dorwał się do władzy... I ma pan czelność mówić o prawie?

Roukar westchnął. Poczuł, jak w piersi zakotłował się znajomy ciezar wszystkiego w konspiracyjnym laboratorium impulsatora, który odbierał, sortował, wzmacniał i przesyłał z powrotem sygnały swojej i obcej tkanki nerwowej. Pułkownik nie powinien o nim wiedzieć, w przeciwnym bowiem razie natychmiast wypatroszono by go pod narkozą. Co innego jutro, kiedy całe to plugastwo przepadnie. Wtedy nie obawiając się rewizji, każdy będzie mógł nosić impulsator po prostu w kieszeni i już nikt nie osmieleł się sprawić nikomu bólu. Nastąpi koniec przemocy. Raz i na zawsze!

- Ma pan możliwość wyboru - Roukar odwrócił się do pułkownika. - Albo pan i cała ta panska szajka łupieżców i tepaków natychmiast umknie wraz ze swoimi walizkami, albo ruszą na was moi, tak samo uzbrojeni towarzysze. Wtedy ból, który sprawiacie nam stawiając opór, zabije was samych! Jesteśmy przeciwnikami zbyt uczciwych ofiar, chociaż jesteśmy też gotowi oddać życie za wolność. Ostrzegłem pana - wynoscie się!

Pełen zapal głos Roukara umilkł. W odpowiedzi zapadła cisza. Twarz pułkownika, którego wola napędliała przerażeniem cały kraj, zastęglą jak woskowa maska. Pałaca, nie do wytrzymania ciekawości przemogła w Roukarze ból, zdenerwowanie, śmiertelne zmeczenie. Przemoc istnieje tak dawno, jak istnieje świat. Jakże będzie jej ostatnie słowo?

Roukar nawet uwolnił pułkownika od bólu. Ten jed-

nak opadł jak worek w fotel i wciąż milczał jak przedmiot, który zapomniano wynieść z gabinetu. Zupełnie jakby nie miał pod ręką guzików, za pomocą których mógł w mgnieniu oka wprawić w ruch swoich zbrojów, lotnictwo i czołgi.

A więc to tak, z tryumfem ale i rozczarowaniem pomyślał Roukar. Zwyczajny, bezmózgi dinozaur w pulapce...

Daje trzy minuty do namysłu - powiedział z obrzydzeniem i znowu odwrócił się w stronę okna.

Płynął już stamtąd odświeżający chłód, za potężnymi bryłami budynków rozpałał się świt. W parku ogłuszająco spiewały ptaki. Miasto spało, nie przeczuwając nawet, co się dzieje, nie widząc chudego, wymęczonego, pobitego chłopaka, który w tej chwili słyszał szelest nowej, już uchylonej karty historii.

Ale pułkownik jak bokser, który zbiera siły po nokaucie, w tym samym czasie szybko i beznamietnie analizował swój plan działania. Ten nawiedzony romantyk już go nie interesował. Pułkownik od razu spostrzegł największe grożące mu niebezpieczeństwo. Kryło się ono nie w groźbie spetania jego poczynąć lancuchem cierpienia i śmierci, bowiem efekt każdego działania (wiedział o tym bez uczonych) ulegał osłabieniu wraz ze wzrostem odległości (wniosek - należy dowodzić akcją z dystansu, przy czym nie ma potrzeby informować o tym pozostałych współzadających. Pojawia się kusząca sposobność usunąć konkurentów cudzymi rękami). Główne niebezpieczeństwo kryło się również nie w tym, że na ulice wyjdzie tak niezwykle uzbrojona (przekięta nauka!) grupka geniuszy o umysłowości dziecka. Cokolwiek by się nie krzychało o wzajemnych słabych punktach, człowiek przede wszystkim wierzy swojemu własnemu doświadczeniu i w związku z tym, żołnierze skoszą buntowników najpierw, zanim padną sami, a ci zaś, którzy ocaleją, zanim zdołają się połączyć. Naprawdę straszliwą rzeczą była detonacja. Wystąpienie tych przemądrzałych niemowlaków, dziwna śmierć żołnierzy, wieść o fatalnej wrażliwości tych, którzy karząc zadają ból - wszystko to razem wzięte, a także po prostu sam fakt ofiarniczej odwagi romantyków - tych z siwizną i tych bez - bez trudu mógł się stać zapalnikiem ukrytego niezadowolenia. A kiedy powstają masy, sprawa zawsze przybiera zły obrót.

Nie ma bardziej naiwnych i niebezpiecznych ludzi, niż bezinteresowni, pozbawieni życiowego sprytu fanatycy idei! - pomyślał z rozdrażnieniem pułkownik. Natychmiast jednak opanował rozprasające go emocje. I błyskawicznie przemyślał przydatność usypiających bez bólu pocisków i gazu, rozważył, jak szybko zdoła uzbroić w nie tych, kogo trzeba. Gdy dokonał obliczeń, w tej samej chwili nacisnął guzik i zerknął na zegarek. Z danych mu do namysłu minut minęły tylko dwie. Do rozpoczęcia jego własnych działań pozostało kilkadziesiąt sekund i pułkownik pobieżnie przeanalizował rysujące się przed nim dalsze perspektywy - należy bezzwłocznie uzupełnić etaty takimi, którzy lubią jednocześnie zadawać i odczuwać ból... A poza tym, czyż środki przymusu ograniczają się jedynie do przymusu fizycznego?

Nie, cokolwiek wykombinowali ci uczeni, jego przyszłość jako władcy zależała nie od nich.

Roukar nie zauważył ruchu ręki pułkownika. W jego umęczonym umyśle wyraziście malowały się obrazy bliskiej już przyszłości, kiedy sukcesy neurotechniki połączą ludzi wieziami tak ściśle wspólnoty, że każdy z premedytacją zadany ból, jak bumerang powracając do sprawcy, zmusi, by wszyscy troszczyli się o szczęście każdego. Na twarz Roukara padł pierwszy promień wschodzącego słońca, on zaś, wznosząc skute kajdankami ręce, gotów był z radosnym uniesieniem objąć cały, oczyszczony światłem świat.

Przełożył Sławomir Kedzierski

Bierzecie państwo najzwyczajniejszy drut, wsuwacie go pomiędzy bieguny magnesu i bez żadnych cudów otrzymujecie elektryczność. Składacie rozmaite cewki, oporniki, tranzystory i cały ten chłam, odchrząknawszy, nagle informuje was o przebiegu kampanii siewnej, albo o opadach w ciągu najbliższej doby. W czasie pełni księżyca włączacie obok spektrometru mas generator wysokich częstotliwości i...

Przed Sania, przewracając taboret, pojawił się diabeł. Jego oczy płonęły gniewem, rozdwojony koniec ogona kołysał się ze swistem, a lewo kopyto nerwowo stukalo o pokrytą kafelkami podłogę.

- B-b-bydle! - telepatycznie oznajmił diabeł.

Sania osłupiał nieco i chcąc sprawdzić stan swego umysłu spróbował przypomnieć sobie przekształcenie Lorentza. Udało mu się, ale diabeł nie zniknął.

- Co? - z zakłopotaniem zapytał Sania.

- Bydle - z jakby mniejszą pewnością siebie powtórzył diabeł.

- Założmy, że wymyślać to i ja potrafię - cofając się za taboret ostrożnie zaprotestował Sania. - Co pana tu sprawdza?

- Dusza...

- Bzdura - szybko odparł Sania. - Żadnej duszy nie ma.

- Cooo? - diabeł aż się zachłysnął z oburzenia. - Duszy... nie ma?



Tomasz Tomaszewski

Dmitrij Bilenkin

CZY ISTNIEJE CZŁOWIEK?

(Suszczestwujet li człowiek?)

- Oczywiście.

- Coż za bezczelność! Coż za niestychana obłuda... Oczywiście, że nie ma! Ale inni choć udawali, że jest!

- Nie odpowiadam za średniowiecze.

Diabeł zrobił się liliowy i napeczęniał jak banka mydła. Zapachniało czymś nie z tej ziemi. Sania na wszelki wypadek schwycił ze stołu solidny tom.

- Biblia? - zapytał podejrzliwie diabeł.

- „Wprowadzenie do mechaniki subkwantowej”! A bo co?

- I działa?

- Jeszcze jak! Nie gorzej niż cegła.

- Jak pan sobie życzy, ale kara będzie niechybna. Siły piekielne...

- Bardzo proszę, tylko bez demagogii. Lepiej wyjaśnijmy sobie wszystko. Czego pan ode mnie chce?

- Ja? To pan chce!

Oczywiście, oczywiście. Wdarł się tu pan nieproszony, zaprzepścił doświadczenie, wymyśla pan - i to wszystko jest mi, w rzeczy samej, niezbędnie potrzebne.

- Ale przecież pan mnie porwał!

- Przepraszam, pan sam się tu zjawił.

- Ach, więc to tak! Sam się zjawiłem... Najgorszemu wrogowi bym nie życzył tak się zjawić. Hipokrycy przekleci... A ja, dureń, nie wierzyłem. - Przykrył pysk szponiastą łapą i ciągnął dalej, kołysząc się w tył i w przód. Uważałem to za ciemnotę, przesąd, którym się straszycie dzieci... Wpaść w człowiecze łapy! Nie sen, nie mara, nie wymysł - oto i on, wróg rodu diabelskiego...

Na kafelki upadła i zapłonęła ognista iza.

Sańce okulary powędrowały na czoło.

- Nie zjawił się pan tu w celu nawiązania kontaktu?! - palnął ni w piec ni w dziewięć.

- Jestem diabłem - odparł diabeł pochlipując. - Pańskim, niech pan będzie przeklęty, więzieniem.

Sania drżącą ręką dotknął swoją głowę. Okazało się, że głowa jest na swoim miejscu.

- Proszę posłuchać... e... mister diabeł! To jakieś nieporozumienie... To pan jest przesadą! To wami straszono dzieci! To pana uważano za wroga rodzaju ludzkiego!

- Tak, jestem waszym wrogiem. - Diabeł niespodzie-

wanie wyprostował się i z jego oczu strzeliła błyskawica.

- Teraz i po wieki wieków.

- Oj - rzekł Sania. - Proszę tu nie udawać butelki lejdeckiej. Zastanówmy się spokojnie. O ile dobrze zrozumiałem, wy, diabły, uważacie, że my, ludzie, porywamy was... Skąd, jeśli wolno spytać?

- Z piekła. Z naszej milej, przytulnej planety, która...

- Wspaniale! Sam fakt pańskiego pojawienia się tutaj świadczy, że w tych bałamuctwach jest racjonalne jądro. Proszę powiedzieć, czy wy nigdy nie porywaliście ludzi?

- Nigdy. Jesteśmy pokojowo...

- Dobrze, dobrze. Zarysowuje się robocza hipoteza. Przepraszam, kim pan jest z zawodu?

- Księgowym.

- Nno tak, to może utrudnić porozumienie... Mimo wszystko, spróbujemy. Hipoteza brzmi jak następuje. Z pańskiej planety na naszą możliwe jest przejście nadprzestrzenne, inaczej mówiąc, transgresja. Na Ziemi, w dawnych czasach, komuś również udawało się przeprowadzić operację przeniesienia diabłów, która w naszym pojęciu sprawiała wrażenie zbrodniczego występu. Oczywiście, ludzie uważali was za siłę nieczystą i natychmiast zaczęli sprzedawać swoje dusze za garnki złota, tytuły i temu podobne bzdury. Tak to wyglądało?

- To wasza interpretacja - ostrożnie odparł diabeł. - Gwałt, niewola i na dodatek oszustwo - tacy są ludzie.

- Ale przecież żadnej nieśmiertelności, oczywiście, nie mogliście zapewnić...

Oczywiście, że nie!

- I złota również.

- A to dlaczego? Nasza ślina posiada własności katalizujące...

- Aaa! To wiele wyjaśnia. No i co pan sądzi o mojej hipotezie?

- Żałosna próba samousprawiedliwienia - burknął diabeł. - Albo, co gorsza, kolejne pastwienie się...

Proszę posłuchać, jest pan przecież inteligentnym diabłem! Jeżeli nie podoba się panu moja hipoteza, proszę przedstawić swoją. Czy też woli się pan stoczyć w bagno mistyki?

Chcę wrócić do domu.

- No to wszystkiego najlepszego! Proszę bardzo! Choć w tej chwili!

- Co? Nie żąda pan ode mnie podpisanego krwią cytografu, który odda mnie panu w poddianstwo, albo złota, albo tytułu barona...

- Jeszcze czego! Szkoda, że nie udało się nam rozmowa. Zaprzeczona taka możliwość! No cóż, nauka poczeka. Zaraz wykalapultuję pana z powrotem

- Bez żadnych warunków?!

- Hm, gdyby zechciał pan zatrzymać się jeszcze chwilę, byłbym panu niezmiernie wdzięczny

- Aha! Więc jednak przysługa...

- Co też pan! Po prostu zdołałbym przygotować jakąś aparaturę. Zarejestrowanie choćby parametrów panskiego przejścia do piekła byłoby bardzo interesujące. Przecież, sam pan rozumie, to niezwykle.

Zamyślony diabeł zawiązał ogon w pętlę Moebiusa.

- Zdaje się, że chciał pan wiedzieć, co o tym wszystkim sądzi - rzekł po chwili.

- Tak, byłoby ciekawie porównać punkty widzenia. nie rozumiem, gdzie przepadł tester!

- Proszę wybaczyć, zdaje się, że na nim usiadłem...

- Rzeczywiście! Dziękuję bardzo. Co więc chciał pan powiedzieć?

- Niezbyt dobrze orientuje się w fizyce, ale z moralnego punktu widzenia...

- Tak, tak, słucham pana - powiedział Sania wyciągając z wysiłkiem spod stołu przenośny psychotensometr.

- Nas, ofiary, przedstawiać jako pomiot piekielny. Można to wyjaśnić tylko w jeden sposób - przeniesienie na nas swoje najgorsze cechy, żeby usprawiedliwić swoje własne akty gwałtu i barbarzyństwa.

- Sądze, że ma pan rację - z rozlgnięciem odparł Sania rozglądając się w kółko. - Magnetometr, teraz dobrze by było magnetometr...

- Zgadza się więc pan z moją oceną? Może jeszcze pan przeprosi?

- To przecież zrozumiałe. Słowo honoru, że nie chciałem! Gotów jestem zrekompensować czym tylko mogę.

- No proszę. A jeżeli wezmę pana za słowo i żądam zgody na przeniesienie się wraz ze mną do piekła?

- Z przyjemnością. Jak widzę mieszkają tam zupełnie rozsądne diablę. Przepraszam! Przecież miałem wrażenie, że mówił pan jakoby diablę nigdy...

- Założmy, że nauczyliśmy się. Założmy, że wystarczy, bym wysłał telepatem, a pana również... jak się to nazywało... transgresują.

- Ale to przecież wspaniałe! Przyznam się - oznajmił Sania konfidencjonalnym szeptem - że transgresowałem pana przypadkowo. Czysła, wstyd powiedzieć, empiria... No, ale to nic - dodał wesóło - teraz porównamy metody, zestawimy teorie i wszystko ruszy!

Diabeł nic nie odpowiedział. Jego oczy już od dawna nie plonęły. Ogon spokojnie leżał na ramieniu, a jego rozdwojony koniuszek pełnym zamyslenia gestem drał go w policzek.

- To dziwne - powiedział wreszcie. - Mam wrażenie, że jest pan nie człowiekiem, lecz moim starym znajomym, magistrem nauk okultystyczno-fizycznych. Ten sam sposób bycia... Nie, nie mogę uwierzyć! Tyle było legend o ludzkiej perfidii...

- No, no, niech pan nie przenosi na nas swoich najgorszych cech. My również mamy sporo legend i zwalczanie przesądów, sam pan rozumie, to szlachetny cel. A więc, jestem gotów! Co prawda, terminal trochę nawala, ale mam wrażenie, że wytrzyma.

Sania poprawił okulary i przyglądał włosy. Diabeł z jakiegoś powodu odwrócił wzrok. W zapadłej nagle chwili niezręcznego milczenia, że zle zakreconego kranu do umywalki spadała z trzaskiem kropla wody.

Diabeł z irytacją zerknął w bok i jednym ruchem ogona dokreślił kran.

- Muszę pana przeprosić - oznajmił urywającym głosem. - Nie potrafimy przenosić ludzi do piekła, jeszcze się nie nauczyliśmy.

Sania achnął.

- Po co więc...

- Ech, młody człowieku, młody człowieku... Dusze, czy to co ja tam zastępuje, również należy wypróbować. Gdyby pan wiedział, jakiego niebezpieczeństwa pan uniknął, jeszcze by mi pan podziękował!

- Co? Proszę pana, czyżby te bajdy o kotłach piekielnych...

- Czort z nimi! - Koniuszki rozdwojonego ogona machnęły jednocześnie. Teraz, dzięki Bezebubowi, nie żyjemy w ciemnym średniowieczu, za kogo nas pan uważa? Obecnie - diabeł przyciszył głos - należy się obawiać naukowych uprzedzeń i pośpiechu. Przecież problem transgresji, jak mi to wyjaśnił mój przyjaciel fizyk, rzeczywiście jest bliski rozwiązania. I proszę sobie wyobrazić - nagle diablę przekonują się o prawdziwości mitów i... Któż może zareczyć, że pamięć minionych

krzywd nie wywoła nowego zła? Niestety, uczucia tak często biorą górę nad rozumem!

- Słusznie - przytaknął ze smutkiem Sania. - Okazuje się więc - jego oczy rozbiły - okazuje się więc, że spotkaliśmy się w samą porę!

- I ja tak sądzę! - Diabeł rozpromieniał się. - Nie, nie, nie chce mówić nic złego o naszych doskonale wykształconych młodych naukowcach, ale zbytńia popedliwość, niedostatek doświadczenia życiowego, swego rodzaju, wie pan, pewność siebie. Czy mamy wystarczająco dużo czasu, by przeprowadzić rzeczową i już, mam nadzieję, przyjacielską rozmowę?

Sania podskoczył do okna, a następnie spojrzął na przybory.

- Tak! Księżyc w odpowiedniej fazie, przyrzady działają normalnie, do kurów... Chociaż, co tu mają do rzeczy kury? Przecież nawet ich nie ma w miescie. Proszę pana, mamy mnóstwo czasu!

- Ach, jak wspaniale! - Diabeł zataił łapy i wygodnie skrzyżował kopyta. - Spokojna wymiana informacji, przyjacielska rozmowa po północy z inteligentnym człowiekiem, nawiązany wreszcie kontakt braci w rozumie - coż może być lepszego?!

- Otoż to! - z zapalem podchwycił Sania. - Oczywiście, nie jesteśmy aniołami...

- Kchrr! - Diabeł wykrzywił się bolesnie.

- Co się z panem dzieje?!

- Nie. To nic, to nic... Przyjacielu, niech pan nie wzywa aniołów nadaremnie!

- A więc to tak... - wyszeptał Sania. - Okazuje się, że anioły również...

- Oczywiście - diabeł wzdrygnął się. - Niech pan posłucha, czy nie znalazłoby się u pana czegoś... hmm... na rozgrzewkę?

Jego ogon mimowolnie skreślił się w korkociąg.

- Nie ma sprawy! - Sania podskoczył do polki. - Dla pana, przypuszczam, siarkowy skoncentrowany?

- Proszę wybaczyć - uśmiechnął się diabeł - to już trochę przestarzałe. Gdyby miał pan fluorowy...

Fluorowy udało się znaleźć bez trudu. Diabeł (Sania wzdrygnął się) jednym haustem opróżnił tygielek i odyskał równowagę ducha.

- Proszę wybaczyć - powiedział z zakłopotaniem. - Nerwy, sam pan rozumie, ale wszystko już w porządku i wreszcie możemy rozpo... A!

Ściana nagle wygięła się, pekała jak bańka mydlana i pomiędzy rozmowcami, przewracając ich wraz z taboretami, pojawiła się skrzydlata, śnieżnobiała istota o spoj-rzeniu, od którego zadymity kafele.

- Dobry sobie - rzekła istota. - Obdzwońłam już wszystkie zaswiaty, biesy na nogi postawiłam, a ten tu sobie siedzi!

- Ależ, aniele moi... - wyjąkał diabeł. - Rozumiesz, wy-nikła taka historia...

- A fluorowym od ciebie zajeżdża! - Szponiasty palec przygwozdził diabla.

- Obejrzyj się! - wrzasnął diabeł. - Masz przed sobą człowieka. Tu, na podłodze!

- A choćby i w niebie. Ja, mój drogi, nie jestem anioł-kiem, żeby wierzyć w bajeczki.

- Proszę wybaczyć - wymamrotał oszołomiony Sania.

- Ja, nawiasem mówiąc, rzeczywiście... eee... Istnieje. O, proszę!

Zerwał się, otrząpał i nawet nie wiadomo po co stuknął obcasami.

- No i co? Przekonałeś się? - z tryumfem w głosie zapy-tał diabeł.

- Widzę. Nie jestem ślepa. Zwyczajny hologram, nic szczególnego.

- Co? - diablówi rozjechały się kopyta, Sania zaś u-siadł tam, gdzie stał. - Opamiętaj się. Przecie on jest rea-ly. Żywy! Dotknij go!

- Taak - skrzydlata zalopotała złowieszczo. - Zniknął, pił fluorowy, a teraz... Myślisz, że skoro nie mam wykształ-cenia, to we wszystko uwierzę? Mylisz się, mój drogi. Oglądam wszystkie audycje „Niewiarygodne wokół nas” i dobrze wiem, co w przyrodzie jest realne, a czego w niej być nie może.

- Ale przecież to Ziemia! Zrozum, inna cywilizacja, inny ro...

- Niezręcznie wymyślasz, przyjacielu, straciłeś kon-takt z nauką. Niedawno doktor Mefistofeles udowodnił matematycznie, że jesteś samotni we Wszechświecie! Ale ty! Ignorancja nikomu nie przyniosła nic dobrego, oł co. No co, sam przepadniesz, czy mam ci pomóc?

- Proszę poczekać! - krzyknął Sania.

Było już jednak za późno. Skrzydła machnęły, powie-trze zawirowało, strzałki przyrządów oszalały i oboje zniknęli.

Nauka ma wiele tajemnic, nie wiadomo czemu zawi-ro-wało w głowie Sani. Nauka ma wiele tajemnic...

Przełożył Sławomir Kędzierski

Piotr Łopalewski

GALERIA



z polskiej fantastyki

Opowiadanie to, którego inspiracją stała się bezsensowna śmierć w pojedynku genialnego młodego matematyka, Ewarysta Galois, nie ma na celu rekonstrukcji faktów. Całkowite odrealnienie przedstawionego świata (przy zachowaniu podstawowych elementów historycznego tła) w zamierzeniu autora powinno uwydatnić pewną właściwość historii, zwaną przez myślicieli „ironią”.

PRZYPADEK EWARYSTA

Marek Pąckiński

Pewnego razu, gdy przebywałem w Paryżu, gdzie mnie ojciec do Sorbon tamtejszych wysłał na nauki, znalazłem się w oberży. Z tej Sorbony to prawie nic nie wyszło, jedynie z zewnątrz obejrzałem jej mury, co są, owszem, szacowne, ale dla szlachcica niezachęcające, bo życia nijakiego tam nie uświadczysz. Tym widokiem zrażony, oddaliłem się niezwłocznie, przyrzekając sobie nigdy już tam nie zaglądać. Swoje kroki skierowałem w rejony, gdzie mnie wabiła młodzieńcza krew szlachecka.

Nie muszę chyba nadmieniać, jakie to były rejony; dość powiedzieć, że ojcowską rentę, udzieloną mi na rok nauki, w miesiąc niecały przeżułem z kretelem. Na próżno siałem do domu dramatyczne epistoły pełne skarg na wzrost uczelnianego czynszu; widać przebiegły pater z jakichś ciemnych źródeł zdołał zmiarkować, jak się rzeczy naprawdę mają. Otrzymałem z domu jedynie nic nie znaczącą sumę wraz ze srogim ostrzeżeniem, iż pieniądze przeznaczone są jedynie na natychmiastowy powrót do Polski. W przeciwnym razie mam się liczyć z całkowitym pozbawieniem mnie synowskich praw.

Za bardzo jednak zasmakowałem w tutejszym życiu, aby mnie ojcowskie groźby mogły przerazić. Woląłem żywot pariasa na tutejszym bruku niż nudny dostatek ojcowskiego majątku, wieczne borykanie się z dzierzawcami, życie, w którym codzienny przegląd prasy przy porannej kawie jedyną jest rozrywką. (W polowaniach nie gustowałem) W ten sposób studiować zacząłem, ale na tej lepszej, bo życiowej Sorbonie; tak też, pozbawiony czasowo środków do życia, zmuszony byłem zasiadać do stołu w oberży na przedmieściu, bo tu, wśród łachmaniarzy, mój w miarę przyzwoity wygląd mógł się zdać rekojmią wypłacalności.

Któregoś wieczoru, po dniu spędzonym biednie lecz hucznie, przysiadło się do mego stołu jakieś dziwne indywiduum. Że było mi już wówczas obojętne, z kim piję, nie protestowałem, zresztą łachmaniarski wygląd nowo przybyłego nie zdołał mnie zwiesić, wzrok miał żywy i inteligentny. I tak sobie miło popijając doszliśmy wprost do zwierzeń całkiem osobistych. Ja mu opowiedziałem, skąd się tu wziąłem w Paryżu i jaka jest moja sytuacja. (Że jestem cudzoziemcem, wyczuł z akcentu). Aż nagle zmiarkowałem, że ja mu o sobie rzekłem prawie wszystko, on zaś prawie nic. Zaraz też postanowiłem bardziej na niego uważać, a pilnować się w rozmowie, bo indywiduum to jakieś dziwne, okazało się nadzwyczaj bystrzym.

(Dałbym głowę, że mówiliśmy tyle samo, a ja zostałem nagle goły, on zaś całkiem zakryty). Zdecydowałem się uderzyć wprost.

- Słuchaj - rzekłem - tyle ci już o sobie naopowiadałem, że mógłbyś z tego bez łamania głowy złożyć dość dokładną biografię. Opowiedz coś i ty, bo na tym świecie przysługa dawana jest za przysługę, a zaufanie wymaga zaufania.

On na to odezwał się w te słowa:

- Istotnie, panie, nie będę ukrywał, że wyciągnąłem z ciebie niemal wszystko; nie będę też ukrywał, iż uczyniłem to z zawodowego niejako nawyku. Byłem bowiem jednym z wybitniejszych agentów szlachetnego pana ministra Fouché, dopóki przewodziła nam gwiazda ukochanego cesarza, prowadząc ku wolności. Chroniłem Bonapartego, mając oczy i uszy stale szeroko otwarte. Byłem przy udaremnieniu zamachu na jego życie, zorganizowanego po 18 brumaire'a przez stu pięćdziesięciu jakobinów i republikanów. Śledziłem uczestników spisku, którzy wylądowali 20 sierpnia koło Biville pod dowództwem Georges'a Cadoudala. To ja byłem słynnym obywatelem Armandem, który w 1805 roku zademonstrował kupca Dubois, a naprawdę rojalistycznego agenta, Edwarda Boessulana.

Zmiarkowałem, że albo kłamie w żywe oczy, albo też mówi prawdę; jeśli zachodzi ta pierwsza możliwość, znaczy to, że musiał długo przygotowywać się do swej roli, studiując akta policji. To z kolei wydało mi się nieprawdopodobne. Gorzej, jeśli był agentem rojalistycznym, zainteresowanym mną z tego względu, iż jak wiadomo wielu Polaków ma sympatie republikańskie. Postanowiłem dyskretnie go wy badać, co było o tyle trudne, iż w takim ślaniu rzeczy badający byłby badany, zaś badany - badającym. Nie wiedziałem też, o co go zapytać, jako że ja sam osobiście spraw tajnej policji nie znam nazbyt dokładnie.

- Słuchaj no, wędrowcze - zacząłem z innej beczki - a od niedawna towarzyszu mój winny oraz intrygujący rozmówco! A nie przyszło ci czasem do głowy, że powierając swoją historię nieznajomemu, sam narażasz się na denuncjację? Nie sądzisz, że mógłbym pojąć teraz tam, dokąd ty zwykłeś chadzać jeszcze jako agent, i powiedzieć o tobie parę ciekawych rzeczy? Myśle, że dziejami ministerstwa pana Fouchego są ci panu dość znane i interesowne.

Sądziłem, że zdenerwuje go tak obcesowym dictum. Odrzekł jednak spokojnie:

- Nie mylisz się panie, pomyślałem o tym. Coż z tego, że poszedłbyś tam, skoro naraziłbyś się jedynie na ośmieszenie? Policja nigdy nie uwierzy, że znany wszystkim „głupi Jacques”, którego ludzie wysmiewają na ulicy, był kiedyś agentem w służbie cesarstwa! Nawet gdyby sam poszedł i zaczął wszystko opowiadać, zostałoby to uznane za jeszcze jeden przejaw oczywistego obłędu. Może o tym nie wiedziałeś, panie, ale dobry agent potrafi zmienić się w mgnieniu oka.

W tym momencie mój rozmowca przeszedł niesamowite przeobrażenie, istotnie jak w owidiuszowych „Metamorfozach”. Wzrok przygaś, oczy wyszły na wierzch. Cała twarz pokryła się zmarszczkami, jakby była dzieśniętą lat starsza. Wargi wywinęły się na zewnątrz, całe oblicze przybrało sinawy odcień. Wyglądał jak jeden z tych dziwacznych stworów na katedrze Notre Dame, które tubylcy nazywają „chimerami”. Zmiarkowałem nagle, czemu siedzący w oberży ludzie popatrują na nas z dziwnymi uśmieszkami.

Poza tym – dodał po chwili, już wyglądziwszy oblicze – nie myślę, byś pokwapił się zawrzeć znajomość z policją. Cudzoziemiec, który je i pije w oberży, nie płacąc przez tydzień ani jednego sous, może być łatwo uznany za zwykłego oszusta.

Zagryzłem wargi. Dłoń moja bezwiednie poszukała rekojści karabeli.

Jestem szlachcicem! – wydusiłem z siebie.

- Coż z tego, panie, coż z tego... – odparł lekko, z wyraźnym rozbawieniem na twarzy. – Nie zapominaj, że Francja jest krajem jakobinów...

Zapędził mnie, łobuz, w kozi róg. Poczulem mrowienie w krzyżu. Ten fałszywy opętaniec był bardziej niebezpieczny, niż mogłem przypuścić. Podniosłem ze stołu szklankę wina i z trudem przełknąłem potężny haust. On również przepił, spokojnie i statecznie.

...Tak... – rzekł w tonie zamyslenia. – I jedyna chyba sprawa, która z perspektywy lat zdaje się dwuznaczna, to nieszczęśliwa decyzja egzekucji księcia d'Enghien. – Uczynił taki gest, jakby opędał się od przykrych wspomnień. – Ale nie wierze, żeby mój minister był tego przychylną, to sprawa Talleyranda.

Przez jakiś czas milczał, zapatrzony gdzieś w przestrzeń. Ja zaś umyśliłem sobie po prostu odejść, bo choć mnie intrygował (poznawszy jego możliwości, uwierzyłem, że istotnie był w tajnej policji) czułem, że z tej znajomości mogą wynikać dla mnie jakieś złe rzeczy. Już ruszyłem się, żeby wstać, ale powstrzymał mnie, kładąc rękę na ramieniu.

- Zaczekaj, panie – powiedział, znów z nutą pokory w głosie – Nie przysiadłem się do ciebie i nie piłem z tobą po to tylko, aby ujawnić kim byłem. Nawet nie dlatego, że jesteś cudzoziemcem, a wśród ludzi tutejszych pragnę zachować incognito. Chciałem opowiedzieć ci o tym, jak udaremniłem spisek na życie szlachetnego pana Ewarysta Galois, do którego uzdolnień we wzniosłej dziedzinie matematyki na zawsze zachowam cześć i szacunek.

Usiadłem, nie tyle przymuszony jego wzrokiem, jak znowu zaintrygowany. Różnorakie myśli klebiły mi się w głowie, zmieszane z oparami ciężkiego wina.

Pan Galois – zaczął mój rozmowca – mieszkał niedaleko stąd. Studiował matematykę. To było w niespokojnych czasach, kiedy pod przywództwem bankiera Lafitte'a wybuchła rewolucja przeciwko Karolowi X. Dla mnie nie miało to już znaczenia. Ale niektórzy patrzyli z nadzieją na ten ruch, widząc w nim szansę dla republiki. Należał do nich szlachetny pan Galois, który uczestniczył w zebraniach kółka wolnomyslicieli. Zbierali się tam... nie wiem dokładnie, w jakim celu, ale na pewno dyskutowali jakieś plany, projekty. Nie wiem też, czy chodziło im o wzniesienie jeszcze jednej rewolucji bądź zamieszek; pan Galois brał udział w tych zebraniach ze szlachetnego, choć naiwnego porywu serca. Ja oczywiście wiedziałem, że prawdziwie skuteczną rewolucję robi się w całkowicie inny sposób – powiedział to z odcieniem dumy oraz ironicznym błyskiem w oku.

- Dlaczego zwróciłeś na niego uwagę? Czy znałeś go już przedtem? – spytałem, korzystając z chwili przerwy w monologu.

Bardzo rzuciło się w oczy, że ten młodzieniec włożył swą siłą w jakiś szlachetną a zarazem niepospolitą spra-

wę. Ja sam próbowałem zwąchać się z tymi, których zwie się „opozycją”; obawiałem się jednak spotkać kogoś ze swoich dawnych znajomych, rozumiesz, panie – rzucił mi znaczące spojrzenie. – Dlatego śledziłem pana Ewarysta dość dyskretnie, aby niczego się nie domyslał. Miarowałem, jakim by tu sposobem dotrzeć do kółła młodych republikanów, wśród których się obracał. Towarzyszyłem dyskretnie panu Galois w drodze na wykłady, a później w jego spotkaniach; spostrzegłem, że ma kilku znajomych, z którymi spotyka się stale. Była tam też pewna młoda kobieta. („Jak w każdym dobrym romansie” – pomyślałem).

Z głębi sali, gdzie wśród dymu, winnych oparów i wrzawy klócili się drobni kupcy, oszuści, jacyś malarze-amatorzy i inne osoby w tym rodzaju, dobiegły nas nagle odgłosy szamotaniny. Dwóch spośród nich, prawdopodobnie przy kartach się pokłóciwszy, rwało się do bitki; siedzący wspólnie z nimi przy stole kompani powstrzymywali ich jednak. W tej chwili dostrzegłem dziwne zachowanie mojego rozmowcy; cały jakby rozbił się wewnętrznym, chcąc chyba w tych karczemnych zmaganiach wziąć udział, bo ja zresztą wiem? Już wstawał, jakby go ktoś tam ciągnął niewidzialnym sznurem, ale, widząc że antagoniści uspokoili się nieco, zastygł w półruchu. Potem usiadł wygodnie, rozluźnił się, na jego twarzy zagostcił szczery uśmiech. Nie był już tym gołowym do skoku zwierzęciem (mechanizmem?), które widziałem parę chwil temu.

- Zdziwiłeś się, panie? – rzekł jak ktoś, kto całkiem już opanował zdarzenia. – Musisz wiedzieć, że choć nie jestem awanturnikiem, gdy widzę takie sceny, szybciej krąży we mnie krew.

Aby nie wyjść na łchórze (co największą byłoby hańbą dla szlachcica) przytaknąłem mu, roześmiał się sobie choć nieszczerze, bo w głębi duszy do śmiechu wcale mi nie było. Nie mogłem zapomnieć jak szybko zmieniła się moja rola z łaskawego dawcy napiwków na pokornego w gruncie rzeczy słuchacza.

No, ale teraz słuchaj, panie – podjął. – Otóż pewnego dnia odkryłem, że nie jestem jedynym, który śledzi szlachetnego Ewarysta Galois. Towarzyszyłem mu właśnie w pewnej oczywiście odległości – do domu tej kobiety, którą z powodzeniem możemy nazwać Anną lub Ewelina...

- Była piękna? – wtrąciłem pytanie.

- Tak, bardzo piękna – odpowiedział bez śladu rozmarzenia na twarzy. Od razu też kontynuował: – I otóż tego samego dnia, w którym pan Ewaryst zatrzymał się u niej na trochę dłużej, dostrzegłem, iż jest on obserwowany przez jakichś ludzi; mógłbym im przypisać cechy diabelskie, gdybym był przesadny. Pierwsza myśl, która mi się nasunęła, była taka, iż grają oni rolę w jakimś nieprawdopodobnym przedstawieniu teatralnym. Jeden z nich – daje na to słowo, ja stary wywiadowca i weszyciel – był skryty w olbrzymim liściu drzewa, które rosło pod domem, gdzie mieszkał pan Ewaryst. Przechodziłem akurat pod tym drzewem i coś mignęło mi nagłym błyskiem nad głową. Obejrzałem się i zobaczyłem wiszące nade mną białe stopy. Zaraz też zniknęły, ale wtedy spostrzegłem, że jeden z liści jest większy od pozostałych. Przemysliwałem nawet, czy by go nie naciąć, ale zdało mi się to pomysłem zbyt pochopnym. Myśle – nachylił się ku mnie tak, aby słowa jedynie do mnie docierały – że ów człowiek-liść pochodził z Wenus, gdzie wszystkie przedmioty są tworami atmosfery, a więc nie mają raz ustalonego kształtu. Człowiek może równie dobrze stać się liściem jak i chmurą.

Zmilczałem te oczywiste banialuki. Pomyślałem, iż jednak mam do czynienia z niebezpiecznym szalencem.

- Z Wenus? – spytałem na wszelki wypadek, rzucając okiem ku wyjściu z tej matni.

- Tak, z Wenus, gdzie padają deszcze z siarki – potwierdził. – Dziwisz się, że wiem coś na ten temat?

- Dziwię się temu, co usłyszałem.

- Nie dziw się. Już Lukian...

Zbyłem to machnięciem ręki.

- Wiem, wiem, znam to wszystko – nie wytrzymałem. – Haniebne wymysły, które mają się do rzeczywistości jak pusty worek do worka pełnego zboża.

- Nie byłbym tego taki pewien – przez moment patrzył na mnie ironicznie. – Dość powiedzieć, że jednego z nich napotkałem w kształtach lampy, stojącej na biurku Ewa-

rysta. Jesliś, panie, czytał Lukiana, na pewno słyszałeś o tak zwanych „lampowcach”...

Przytaknąłem w milczeniu, bo szalencowi nie należy się sprzeciwiać.

Obejrzałem go sobie, przebywając w domu pana Ewarysta, do którego wtargnąłem niepostrzeżenie, podkradając klucz nocnemu stróżowi. Nie znalazłem tam właściwie niczego ważnego, jedynie jakieś liberalne odczyny i obliczenia matematyczne. Za tydzień później... Dość powiedzieć, że napotkałem trop chyba najdonioślejszy dla rozwiązania tej zagadki. (- Jakiej zagadki? - pomyślałem sennie, rozleniwiony przez wino i przez poczucie, że mój rozmowca jest szalencem i nie warto przywiązywać wagi do jego słów). Najpierw jednak musiałem stoczyć walkę z lampowcem. Otóż po szybkim przeszukaniu pokoju pana Ewarysta miałem już wychodzić, gdyż lokator mógł wrócić za chwilę. Wtem z tyłu usłyszałem chrobot, lampowiec zamienił się w uzbrojonego od stóp do głów wojownika.

- Czym jest coś, co nie jest ani czymś, ani też niczym? - rzucił pytanie skrzekliwym głosem.

- Sobą - odparłem natychmiast, bo tylko to przyszło mi do głowy.

Lampowiec zniknął z cichym syknieniem. To jedyna forma ich śmierci, a jest nią śmierć przez samozawstydzenie. Do gatunku lampowców należał również niejaki Sfinks, który działał w Tebach. Gatunek lampowców należy do potężnej i rozgałęzionej rodziny potworów. Interesujesz się systematyką potworów? - rzucił nagle pyłanie.

- Nie na tyle, aby...

Właśnie - przerwał mi. - A rodzina potworów należy ogólnie rzecz biorąc do wszechobecnej i strasznej dziedziny aklorstwa. Musisz o tym wiedzieć, skoro zamierzasz działać na tej trudnej i niebezpiecznej niwie.

- Ależ ja nie zamierzam być aktorem! - wybuchnąłem.

- Moją drogą, nikt nie ustrzeże się przed tą koniecznością - stwierdziła bestia, już coraz otwarciej przyznająca się do komitowy ze mną. Jeszcze pół godziny temu rozbiłbym mu za to łeb kuflem, ale teraz ogarnęło mnie jakieś dziwne osłabienie. Co gorsza, pewne odkształcenia otaczających mnie przedmiotów skłaniały do wniosku, iż potwór zyskuje z każdą chwilą większą władzę nade mną. Paszczeka domniemanego agenta policji osiągnęła rozmiary planetarne. Gdzieś w cichym zakątku mej mózgowej galarety zrodziło się znowu rozważanie nad nim. Kim był naprawdę? Diabłem?

- Ten Sfinks w gruncie rzeczy rządził Tebami - kontynuował dziwoląg. A potem musiał zginąć, bo ktoś znalazł rozwiązanie jego zagadki. Zwykła i jakże częsta zmiana władcy.

(Nie miałem siły wgłębiać się w ukryte znaczenie jego słów).

W końcu, do stu diabłów, byłem szlachcicem, a nie profesorem Sorbony! Musiałem jednak pofolgować z tymi niewczesnym rozważaniami, gdyż w moim zgłębianiu sprawy pana Ewarysta Galois pojawiły się nowe, intrygujące elementy. Otóż jego miłość do Anny lub Eweliny zdała mi się nagle czymś do szalenstwa koniecznym. Ten człowiek przebywający stale wśród abstrakcji musiał ją stworzyć, aby sam się określić, aby poznać sam siebie. Poza tym musiał być wolny; gdyby jej nie poznał i nie pokochał, byłoby to ograniczeniem wolności. Tak to wolny umysł stworzył niewolną istotę, która naprawdę była wolna, bo mogła wedle upodobania istnieć lub nie istnieć; stworzył ją tylko w dziedzinie jej miłości ku niemu. On zaś był już ograniczony, ponieważ musiał ją kochać. Ale zaraz, o czym to ja?...

Pan Galois, spotykając się z radykalnymi republikanami, nigdy właściwie nie ujrzał ich wodza, tego, który kierował całą akcją. Tamten ukrywał się, podsuwając mu jedynie swych współpracowników. (Do takiego wniosku doszedłem, rozpatrując polityczne związki Ewarysty.) Co ciekawe, do pewnego momentu spotykał się on z różnymi ludźmi, wśród których było również kilku dawnych jakobinów. O ile zdołałem to zgłębić, rozmawiali o utopijnych projektach przebudowy całej społeczności, o jakimś całkowitym przemieszaniu społecznych warstw.

Gdy to podsłuchiłem (skryty tym razem w szafie, skąd musiałem przedtem wygnać, złowszy skore, pewnego

agenta z Saturna, udającego płaszcz) poczułem niejasny niepokój a nawet lek.

- Ten projekt całkowitego zrównania warstw społecznych budzi we mnie niejasny niepokój, a nawet lek - usłyszałem zdanie jednego ze spiskowców.

- Dlaczego? - zapytał inny.

- Wszyscy wiedzą, jak to się skończyło w wypadku Komitetu Ocalenia Publicznego. Ważne jest jednak właśnie to pytanie, które zadałeś: dlaczego? Otóż dlatego, myśle, iż ludzie posiadli niewyczerpane zdolności nasładowania się wzajem, zaś przejawiają się one najsilniej w dążeniu do posiadania bogactw oraz folgowania swym namietnościami. Gdy ktoś widzi, że czyni to jego bliźni, natychmiast chce czynić tak samo. Jeśli wszyscy są sobie równi, nie ma barier w tym nasładowaniu, pojmujesz?

Dyskusja została gwałtownie przerwana, ponieważ ktoś powiedział, iż policja weszła wokół domu. Ja zaś poczułem, że wiem nareszcie, dlaczego patrząc w lustro odczuwam zawsze mdłący zawrót głowy.

Udało mi się później wśliznąć nawet do tej wspaniałej, pięknej i cnotliwej kobiety, zwanej Anną lub Ewelina. Właściwie zacząłem już wtedy mieć wątpliwości co do jej cnoty (choć nie do piękna). W gruncie rzeczy, wstyd przyznać, była sprytną kurtyzaną. Lubilem przebywać u niej pod łóżkiem, co, choć nie licowało z moim szlachectwem, było w rzeczy samej dość intrygujące. Podsłuchiwanie intymnych rozmów Ewarysta również zdało mi się początkowo czymś niegodnym, szybko jednak wythumaczyłem sobie, że to dla dobra sprawy.

- Kocham cie, Ewelino - mówił matematyk. - Bez ciebie nie mogę istnieć, tworzyć, podobnie jak ty - uwierz w to - nie możesz istnieć beze mnie. Podtrzymujemy się wzajemnie w istnieniu. W miarę jak posuwają się moje badania nad rozwiązaniami wielomianów, moja zależność od ciebie wzrasta. Czy zdajesz sobie z tego sprawę? Jakże ubogo ludzie istnieją dla siebie! Tylko takie chwile, jak nasza, mają naprawdę znaczenie. A ja tylko dzięki tobie mam siłę grać kolejno wszystkie role w tym przedstawieniu.

Sprytna kobieta milczała. Ja zaś zastanawiałem się długo nad wypowiedzianym przez Ewarysta zdaniem o „graniu kolejno wszystkich ról”. Nic sensownego na ten temat wykonypować nie mogłem.

Kiedy Galois wyszedł od niej, wyczekiwałem nadal. Mówiąc szczerze, przyszło mi to bez trudu, w pewnym momencie bowiem skonstatowałem z niepokojem, iż zamienilem się w jedną z deseczek, podtrzymujących od spodu całą konstrukcję łoża. Kiedy w popiochu zastanawiałem się nad swoją obecną kondycją, Ewelina poprawiała makijaż; potem wyszła z domu.

Podążyłem za nią. Od tej chwili przyszło mi przyzwyczaić się do metamorfozy, będącej wyższą formą egzystencji szpiega. Wszakże nic nie pomogłaby mi tu długotrwała praktyka, gdyby nie wsparcie duchów planetarnych, o które przecież wcale nie zabiegałem. Mogłem jednak stwierdzić z dużą dozą pewności, iż udzieliły mi one swej pomocy w zamian za milczenie o ich istnieniu. Była to więc z ich strony niejako oferta.

Na razie nie myślałem o tym, zajęty śledzeniem Eweliny. Kluczyła przez dłuższy czas uliczkami Montparnasse, w widoczny sposób odwracając twarz od przechodniów. Wreszcie weszła w bramę jakiejś niczym nie wyróżniającej się kamieniczki. Po jakimś czasie wniknąłem tam i ja. Dziedziniec był obskurny, takż i wewnątrz domu. Szedłem w górę po schodach w całkowitej ciszy, którą mać tylko odgłos moich kroków. (Przez rozłargnienie nie zamienilem się w coś bardziej lotnego). W końcu dotarłem do drzwi, zaopatrzonych w starą, rozpadającą się tabliczkę:

AMB...SADA K...LESTWA
WENUS

Nie zdziwiłem się nawet zbytnio. Istnienie przedstawicielstw obcych planet nie było tajemnicą, na przykład dla pewnych kregów masonerii. Mówiło się, że Mirabeau utrzymywał z nimi ożywione kontakty.

Zamieniony w kłód dymu, przeniknąłem przez dziurkę od klucza. Nawet pod tą postacią nie byłem tu jednak bezpieczny. Jak wiadomo (a wiedział to już Lukian) mieszkańcy planet rozpoznają życie pod każdą postacią. Znalazłem się w długim korytarzu. Światło było tu przyćmione. Do mojego wyostrzonego teraz słuchu nie dobiegał żaden dźwięk, żaden szmer rozmowy. W pokojach o

spokość tłum. Każdy miał swoje własne zdanie i zaczęto rzucać najbardziej niewiarygodne oskarżenia.

- Z zawiści otrulią swoją siostrę - krzyknęła łysa i bezzębna starucha.
- Rzuconym urokiem zgładziła pół wioski - z tłumy uniósł się inny głos.

I jeszcze raz stary Naguh.

- Czy wiecie, co ma między nogami ta lalka, wyglądająca jak niewinna sarenka? Pułapkę! Uzębioną pułapkę, by okaleczyć nieszczęsnika, który ulegnie jej pokusom.

Nadeszła odpowiednia chwila do działania. Gavor obnażył miecz, spał Ucięte Ucho i wpadł w sam środek tłumy, rozdzielając rąk na prawo i lewo, aż znalazł się przy podestach. Schwycił prowadzącego licytację i rzucił go za ogrodzenie dla handlarzy, kopniakami rozpedził pomocnicę i służki, które natychmiast czmychnęły.

- Gavor! - był to głos Duny, zdławiony z zaskoczenia i emocji.

Nie starczyło nawet czasu na to, żeby na nią spojrzeć. Wciągnął ją na grzbiet konia, który nerwowo przestępował z nogi na nogę obok podestu, nakazał jej trzymać się mocno i znowu spał konia, oddalając się szybkim klusem. Zaskoczony i strwożony tłum rozwiierał się przed nim, jakby przepolowany ostrym klinem. Jakis olbrzym, zapewne zbierający na usługach starego Fallaha, ucpił się munsztuku Uciętego Ucha z niewątpliwym zamiarem powstrzymania konia, ale potężny kopniak Gavora dosięgnął jego podbródek i zmusił do rozluźnienia chwytu.

- Zróbcie miejsce czarownicy! - krzyczały kobiety z Górnej Medyny. - Niech wraca tam, skąd przyszedł, razem z tym swoim pyszałkiem.

- Przepuscie ich - darli się niedzarze. - Niech zło wyniesie się z naszego miasta.

Im dalej od placu, tym tłum rzędził i ucieczka stawała się coraz szybsza. Kiedy wreszcie dotarli do zachodniej bramy miasta wznosiły się za nimi jedynie tumany kurzu.

- Dościgną nas - westchnęła dziewczyna, wciąż jeszcze przerażona. - Ta hiena Fallah wysłał już za nami swoje bezlitosne strażce...

- Nie obawiaj się - zapewnił ją Gavor. - Ktoś postara się zmylić pościg.

Ucięte Ucho aż do zachodu galopował po złotych łąkach, które rozciągały się między Górną Medyną a czarnymi wzgórzami. Po dwakroć Gavor zsiadał z konia i z drżeniem serca przykładał ucho do ziemi, czy aby nie posłyszysz odległego tetentu kopyt i po dwakroć unosił się z radością w oczach, wiedząc, że niebezpieczeństwo zostało daleko za nimi.

- Czarodziej - mówiła mu Duna, zarzucając ramiona na szyję. - Czarodziej i cudotwórca.

Koń jechał teraz stępą po zboczach wzgórz. Czerwone słońce gasło, tłumione zielenią traw i wieczorną mgiełką. Słychać było nawoływanie nocnego ptactwa, poszczekiwanie lisów, odległe pochrząkiwanie szukających legowiska dzików.

Kiedy znaleźli się po drugiej stronie wzgórz, ponad horyzontem przelizgiwała się jeszcze wąska strużka światła.

- Tutaj jesteśmy bezpieczni - powiedział Gavor, wstrzymując konia na skraju lasu. Zrzucił namiot i kiedy Duna rozpalala ogień, przygotował schronienie na noc.

- Długo siedzieli przy ogniu, patrząc sobie w oczy. Potem Gavor powiedział:

- Postawimy nowy dom, naprawimy to wszystko, co Thungusi zburzyli. Ale nim to nastąpi, czeka nas dzieło o wiele większe... Odmienimy świat - wyjaśnił Gavor, muskając jej włosy.

Duna wpatrywała się w niego urzeczona. Bo nadszedł czas miłości, a świat... tej nocy świat mógł poczekać za namiotem.

Wtedy też zza czarnych wzgórz Górnej Medyny wychylił się księżyc, ogromna kula fioletowego światła wśród zmutyfikowanych drzew. I na chwilę, na długą i niepowtarzalną chwilę, orzom Gavora ukazał się on biały, czysty jak śnieg, biały jak skóra Duny, jak wymarzony księżyc Meklura, czysty i promienny jak sen ludzi uczciwych.

KONIEC

Rozdział XIV

O świcie obudził go gwałtowny metaliczny odgłos, oghuszający i przeciągły. Ktoś walił żelaznym przedmiotem w dno kotła, ktoś inny przeciągnął drągiem po kratkach w oknie. Hałas ustał równie nagle, zaczęły otwierać się wrota nocnego schronienia i pojawili się strażnicy, uwalniając więźniów z łańcuchów.

Gavor rozmasował zziębnięte członki. Nareszcie mógł przyjrzeć się twarzom towarzyszy niedoli, wymizerowanym więźniom z Me-Ghir, wśród których nieszczęsnymi kolejami losu znaleźli się również i on.

Niemal wszyscy byli przerazliwie chudzi, w wieku niemożliwym do określenia, obdarci i brudni. Gavor ujrzał długie, posklejane brudem brody, zapadłe oczy, członki pokryte straszными bliznami, otwartymi ranami i krostami. Niektórzy wyraźnie kuleli. Inni poruszali się zgarbieni, ze sztywnymi, opuszczonymi wzdłuż ciała ramionami.

Zerknął na więźnia, znajdującego się po jego prawej stronie. Miał orlą twarz i gestą, siwą czuprynę. Gavorowi zdało się, że musiał już widzieć tego człowieka. I kiedy nieszczęsnik obrócił się i ruszył w stronę ustawionego szeregu, ukazując fioletową plamę na policzku, jego wątpliwości prysnęły. Był to herszł bandy, która napadła go pięć miesięcy wcześniej, na drodze do Tharab. Zwał się Botro. Zabrał mu konia, którego otrzymał od Andiraa, amulet i pieniądze.

Z trudem powstrzymał się, by nie skoczyć mu do gardła. Nie była to odpowiednia chwila do wyrównania rachunków na oczach bacznie obserwujących cały ten harmider strażników.

Skazańcy w szeregu wyszli z pomieszczenia i zostali poprowadzeni w kierunku kamieniołomu. Botro szedł tuż przed nim. Gavor mocno uderzył go dwoma palcami po plecach.

Świat jest mały, przyjacielu. Nie jest aż taką znowu niespodzianką spotkać ciebie tutaj, w Me-Ghir, idealnym kresie podróży złodziei i oprychów.

Botro nie odwrócił się. Szedł wyprostowany ze spojrzeniem skierowanym prosto przed siebie. Poirytowany Gavor uderzył go więc ponownie między łopatki.

- Uspokój się, chłopcze - wyszeptał skazaniec, nie odwracając się nawet. - Ja też rozpoznałem cie wczoraj wieczorem, ledwie się tutaj znalazłeś. Botro zawsze śpi tylko jednym okiem. Popatrz, popatrz! powiedziałem sobie. Oto i naiwniaczek, który dał się ogłocić na drodze do Tharab. Coż takiego chcesz uczynić? Zabic mnie? Przeszłość już się nie liczy, chłopcze. Znaleźliśmy się w łajnie obydwaj i nim nastanie korzystniejsza pora roku zostaną z ciebie tylko skóra i kości. Wszyscy, nawet najsłabsi, zdechniemy w tych przeklętych kamieniołomach z głodu, z pracy ponad siły i wysuszeni piekącym słońcem.

Do końca marszu Gavor nie odezwał się. Kiedy dotarli już do kamieniołomu, strażnicy rozsiedli się na wystających odlamkach skalnych, skąd z łukami i strzałami w dłoniach mogli dogodnie nadzorować pracę. Nowo przybyłym, jeszcze krępkim mężczyznom, przydzielono najcięższą pracę. Ogromne bloki, wyrwane przez nich z boków wzgórz desperackimi i uporczywymi uderzeniami oskardów, za pomocą drewnianych drągów były spuszczone na sam dół zbocza. Inni skazańcy, już na dole, segregowali bloki zależnie od kształtu i wielkości, natomiast najstarsi i najsłabsi szuflami zgarniali tłuczeń.

Wozy nieustannie krążyły tam i z powrotem. Kiedy słońce stało już wysoko, Gavor, zły potem mimo pochmurnego dnia i powietrza, w którym niemal czuło się deszcz, zwrócił się do pracującego obok człowieka, starca o suchych, choć krępkich jeszcze ramionach.

- Kiedy dostaniemy coś do jedzenia?

Starzec skrzywił się w grubiańskim uśmiechu, ukazując resztki żółtych i czarnych zębów, sterczących z niebieskosinych dziąseł. Wzruszył ramionami i wymamrotał ponuro:

- Jeszcze czas, zaciśnij pas, a w południe dostaniesz dwa suchary

Gavor miał silne i nawyk do pracy ramiona, ale na dłoniach i w zagłębieniach między kciukiem a palcem wskazującym wyskoczyły mu pecherze. I paliły niemilosierdzie.

Spojrzał w dół. W grupie skazanców, uwijających się wokół wozów ujrzał Jednookiego: poznał go po czarnej opasce na oku. W jego pobliżu pracował również Botro. Gavor zauważył, że tak zrecznie przebiera łopatą, żeby nabierać jak najmniej żwiru i nie męczyć się nadmiernie.

Zanościło się na deszcz. Szary horyzont przecięła nawet błyskawica, chmury jednak rozstąpiły się gnane wiatrem, który spadł najpierw w dół całym swoim impetem, by po chwili uruchnić, jakby stracił nagle skrzydła.

Wreszcie strażnik, siedzący wysoko na występie skalnym, zadał w rog, dając znać, że nadszedł czas posiłku. Więźniowie pracujący na stromym zboczu też odłożyli swoje narzędzia, zeszli na sam dół i ustawieni w szeregu oczekiwali na należną im porcję strawy.

Posrodku placu znajdowała się cysterna, którą ostatnie opady napłynęły wodą deszczową. Wokół niej półkolem tłoczyli się najstarsi, najmniej cierpliwi więźniowie, chcąc zmieścić się w wodzie swoje suchary.

Gavor przykucnął na uboczu, zachłannie krusząc zębami swoją porcję. Jednooki trzymał się niezbyt od niego daleko i bacznie go obserwował. Po chwili, ostrożnie, przysunął się do niego Botro.

- Co robisz? - gniewnie zasyczał rabuś. - Zwanowales?

Gavor spojrzał na niego z otwartymi ustami.

- Pracujesz ze zbytym zapalem - wyjaśnił Botro. - Jeśli nie uspokoisz się, będzie z ciebie trup nim minie miesiąc. Trzeba być sprytnym, chłopcze! Rob jak ja: oszczędzaj siły, a jeszcze długo pociągniesz.

Gavor potrzaskał głową.

- Powiedziano mi, że z kamieniołomów w Me-Ghir nie wychodzi się żywym. Na cóż więc trwać?

- Głupiec! - bezlitosnie fuknął Botro. - Póki jest życie, jest i nadzieja.

Cien zmierzchu okrył wzgórze Me-Ghir, a fioletowe światło księżyca sączyło się przez kraty, kreśląc dziwaczne odbłaski wewnątrz pomieszczenia dla więźniów.

Gavor leżał wycieńczony na ohydnej stercie słomy, między Botrem, który wypoczywał w milczeniu, a innym więźniem, chrapiącym niezmordowanie. Pozostali więźniowie również pogrążeni byli w głębokim śnie. Niekiedy, ze spowitych mrokiem zakątków pomieszczenia unosiły się jęki i rzucone w poleśnie przekleństwa, charchenia, donosne odgłosy niezdrowych trzewi. Ponury loch drżał niczym schwytywane w sidła ogromne zwierzę.

Zdarte do krwi rece Gavora paliły niczym ogień. Pare razy przeciągnął po nich językiem, żeby usmierzyc ból, wreszcie ułożył się na boku i zneruchomiał, wyczekując na sen, który wymykał się niczym wegór. Doskonale widział profil twarzy Botra, odcinający się w blasku księżyca.

- Spisz?

- Jednym okiem - natychmiast odparł Botro.

- Co zrobisz z moim koniem?

- Hejże, chłopcze. To był stary fłomer, dychawiczny i z kiepskimi podkowami. Sprzedałem go za pare soldów..

- A mój amulet? Ten wisiołek, który miałem na szyi...

- O tym mówisz. Zdążyłem go ukryć z całym moim zawinątkiem, nim te zbiry mnie dopadły.

- To dobrze - powiedział Gavor. - Kon i pieniądze nie obchodzą mnie wiele. Ale amulet chcę z powrotem. A teraz słuchaj uważnie, zboju. Czy rzeczywiście w żaden sposób nie można ułotnić się z tych kamieniołomów?

W mrocznym pomieszczeniu zabrzmiał ostry, lecz przytłumiony śmiech Botra.

- Spokojnie, chłopcze. Jeszcze w południe nie było w łobie krzyki nadziei. Nadchodzi wieczór, a ty, zamiast spać, zaczynasz marzyć z otwartymi oczami... Nie jest łatwo uciec, wielu już próbowało, ale wszyscy zgineli.

- Jakis jednak sposób musi się znaleźć - nalegał Gavor.

- Mów ciszej - przestrzegał Botro. - Może i jest sposób, ale potrzeba cierpliwości i dużo poświęcenia.

wedrowni śpiewacy. Gracze w kosci, ci najbardziej zatwardziali, usunęli się w cien i choć skryci pod straganami, nie przerwali swojej obsesyjnej gry.

Wnet pojawili się sprzedawcy jedwabi i brokatów, złotnicy, handlarze dywanami i tłum streczycieli, wróżbitów, chłopaczków z piętnem zepsucia w oczach, beczelne megierzy, bezwstydnie nierządnic, garbaci i karły, za parę soldów obnoszący swoje ułomności.

Taką była Gorna Medina: gniazdo zepsucia i upadku, przyozdobione jaskrawymi barwami i otoczka zgłębliwej muzyki.

Wreszcie na podest wszedł ponury typ, cały ubrany na czerwono i donosnym głosem obwiescił początek licytacji niewolnic.

Gavor zobaczył całą procesję szczupłych dziewcząt i otyłych piękności, zwiedłych już kobiet i ledwo co rozkwitłych młodek, egzotycznych istot skrytych za welonami i niechlujnych kobiet z twarzami wymalowanymi ołowianą bielą i bistro. Niektóre miały oczy spuszczone, nieruchome, nieczułe na usilne starania pomocnic, które kuksancami próbowały zmusić je, żeby się obracały, ukazując swoje wdzięki; inne niewolnice rozpaczliwie płakały, a jeszcze inne, weteranki tysiąca targów, pluły w tłum lub z upodobaniem prowokowały widzów bezwstydnymi gestami. A tłum, kłębiący się pod nimi, odpowiadał gromkim śmiechem, szyderstwami i drwinami.

A polem zaczęła się licytacja. Dziesięć sztuk srebra, dwie złote monety, pięć srebrnych, cztery srebrne i złoto... Co chwila stawki podbijano to z jednej, to z drugiej strony placu. Handlarze zajmujący należne im z przywileju miejsce w pobliżu podestu spoglądali na to obojętnie. Kiedy jednak pojawiły się cenniejsze niewolnice ożywili się również oni i zaczęli zapalczywie gestykulować.

Wspaniała dziewczyna o jasnych włosach została oszacowana na dziewięć złotych monet. Służący handlarza, który rzucił ostatnią, decydującą stawkę, wszedł na podest i przywiązał na rece dziewczyny znak swojego pana. Trochę później za młodszą dziewczynę o ciemnej cerze i jedrnych piersiach zapłacono piętnaście monet.

Gavor, stojąc na uboczu, ze wstrem przyglądał się niezrozumiałym dla niego znakom, jakie handlarze dawali człowiekowi prowadzącemu licytację. Już od pewnego czasu odszukał wzrokiem ukrytego w tłumie starego Naguha oraz pozostałych niedzarzy, z którymi poprzedniego dnia w karczmie ustalili cały plan działania.

I oto, prowadzona przez dwie stare służące, pojawiła się drobna postać, skryta za różowym welonem. Gavorowi mocno zabilo serce. To była Duna, nie mogło być wątpliwości. Kiedy welon opadł, a rude włosy jego dziewczyny niczym płomień roziskrzyły się w zalewającym plac słońcu, z trudem powstrzymał desperacką chęć rzućcia się w stronę podestu.

- To ostatnia niewolnica wystawiana dziś na sprzedaż - dzwecznym głosem zachwalał prowadzący licytację. Przyznacie, że jest niebywałej urody. Licytacja zaczyna się od piętnastu złotych monet. Kto da więcej?

Przeciągły szmer przeszedł po placu. Cena wywoławcza była niezwykle wysoka i handlarze trącali się nawzajem i gorączkowo radzili podejrzliwie na siebie zerkając.

- Szesnastu monet - krzyknął jakiś tłusciuch z gładkimi, rumianymi policzkami.

- Siedemnastu! - odpowiedział drugi, dłuższy i chudy.

Wtedy właśnie stary Naguh zaczął działać. Unosił ramiona i zaczął wykrzykiwać co sił w płucach.

- Wszyscy chyba powariowaliście! Ta dumna geś, która mizdrzy się przed nami, nie jest żadną kobietą... to wcielone zło, sama istota podłości. Znam ją dobrze: to Duna, czarownica z lasów w Thune...

- Tak, my też ją znamy - podjęli dwaj niedzarze, stojący po przeciwnej stronie podestu. - To córka Łokisa, pastucha, czarownika jak i ona. Jeśli tylko zechce, może zmienić się w ropuchę lub nietoperza, zmieje albo skorpioną.

- Dzieci zaklina w kamień - wybuchnął jeszcze inny.

A nasłepny dodał

- Rozsiewa nieszczescia i w nicosc przemienia wszystko, na co spojrzysz.

Plac zawrzał. - Czarownica! - wrzeszczały kobiety, wyciągając w jej stronę zacisnięte pięści. - Co za zuchwalec przywiodł ją na ten plac! Który głupiec miał czelność naruszyć spokój Górnej Medyny!

Człowiek prowadzący licytację bezskutecznie wymachiwał ramionami, próbując przekrzyczeć i u-

Starzec zmrugał oczy i znów zaczął gładzić brodę. Potem odwrócił się do grupy przyjaciół i przywołał ich ruchem ręki.

Jakby tylko na to czekali, w jednej chwili wszyscy stłoczyli się wokół stołu Gavora jak bezpanskie psy nad kością.

- Przyjaciel potrzebuje informacji - wyjaśnił stary Naguh. I zwrócił się do Gavora:

Oni o wszystkim wiedzą, zawsze są tam, pod podestem, aż skrecają się z chętki i wzrokiem pozerają niewolnice. Nie opuszcili ani jednego targu, znają wszystkie jego tajniki...

Jeden z nędzarzy zapytał, co Gavor chce wiedzieć.

- Przede wszystkim cenę. Ile kosztować może niewolnica?

- To zależy - uśmiechnął się nędzarz, pocierając dłonią kark. - Zależy od wieku, urody...

- ...i od charakteru - dodał stary Naguh. - Niewolnica może być nawet niezwykle piękna, ale jeśli kaprysi, rzuca się, ordynarnie zachowuje, cena spada. Czyżbyś zamierzał kupić sobie niewolnicę?

- Tak, ale obawiam się, że mam za mało pieniędzy - westchnął Gavor.

- Niewolnice mogą być różne - wtrącił inny, z nosem pokrytym krostami. - Zwykle licytacja zaczyna się od dwóch sztuk złota. Ale spór między kupującymi niekiedy przeciąga się, a cena może podskoczyć bardzo wysoko.

- Nawet do dwudziestu sztuk złota - zapewnił staruszek z wybaluszonymi i zaropiatymi oczami.

- Dwudziestu sztuk złota nie mam - westchnął zniechęcony Gavor.

- Wiec weź tanszą - odpowiedział czwarty biedak, który dotychczas milczał. - Jeśli o to chodzi, wszystkie kobiety są takie same, w ciemności wszystkie są do siebie podobne.

Gavor zastanowił się chwilę. W jego zdesperowanej głowie zrodził się śmiały, wręcz zuchwały zamysł i zaczął go szczegółowo przedstawiać.

- Słuchajcie, ludzie. Nie szukam pierwszej lepszej niewolnicy. Szukam mojej kobiety. Kobiety, którą miałem poślubić, a którą Thungusi porwali jak jakąś jałowkę...

- Czy mówisz o tej rudowłosej niewolnicy? - powiedział stary Naguh, unosząc palec do jego piersi.

- Właśnie tak. Rudowłosa i piękniejsza od słońca. Nie mam takiego złota, za które można by ją kupić, z pewnością nie za moje, bo jest tego za mało, ale i nie za złoto innych, które jest brudne i złe jak sama otchłan zła. Jutro, kiedy moja kobieta będzie już na podestach, wystawiona na zachłanne spojrzenia handlarzy, odbije ją mieczem i pochwłartuje każdego, kto zechce mi w tym przeszkodzić.

Powiedział to z desperacką zapalczywością i całe towarzystwo nędzarzy aż zerwało się struchlałe. Gavor dostrzegł, jak zadrżeli ze strachu, usłyszeli ich trwożliwe skomlenie, drżące zastrzeżenia i powątpiewające uwagi. Nie odezwał się jednak głós potępienia.

- Potrzebuje jednak waszej pomocy - zakończył Gavor - Rozsupłał sakiewkę i wysypał na stół całą jej zawartość - To złoto może zamienić wasze łachmany w jedwab i zapewnić wino na wszystkie wasze dni. Przy tym wcale nie musicie się narażać.

- Co mamy robić? - odezwał się Naguh w imieniu wszystkich.

Gavor zamówił sześć dzbanów wina. Odczekał, aż karczmarz oddał się do stołu graczy w kości i nakazał nędzarzom skupić się wokół niego, a oni zaciesnili się nad nim jak korona kwiatu, kiedy gaśnie światło dnia.

- Słuchajcie uważnie - szeptał Gavor - opowiem wam swój plan ze wszystkimi szczegółami.

W Górnej Medynie domy pozbawione były okien, żeby nikt nic nie mógł widzieć, ani słyszeć. W Górnej Medynie ludzie nudzili się. Za dnia rozłożeni na matach w podcieniach dziedzińców, w cieniu, kołysani muzyką fletów, zatopieni w aromatycznej woni kadzidel. Pozywnym wieczorem, kiedy rzeźki podmuch wiatru omiatał ulice, opuszczali swoje domostwa i oblegali zaułki. Jedynie w dni targu, zwłaszcza zaś wtedy, gdy rychły początek nowej wędrowki księżycy po nieboskłonach obwieszczał, że czas rozpocząć licytację niewolnic, wszyscy zbiegali się jak jaszczurki. Zaniedbywali obrzędy w świątyniach i inne obowiązki, byle tylko nie opuścić widowiska, które od niepamiętnych czasów uważane było za wyjątkowe. Niektórzy zjawili się już o świcie, żeby zapewnić sobie najlepsze miejsce, przy samym podestach. Ci zaś, którzy przybyli zbyt późno, uciekali się do wszelkich sztuczek, chcąc znaleźć się jak najbliżej. Dla handlarzy wyznaczono odrębne miejsce, bez obawy mogli więc zjawić się w ostatniej chwili.

I oto na plac wystąpili linoskoczowie i połykacze ognia, żonglerzy, sprzedawcy cukrowej waty i

Jutro rano pokaz ręce dowódcy straży. Powiedz mu, że pewien czas nie będziesz mógł pracować kilofem i niech cię wysle na dół, do ładowania kamieni. Spróbuj znaleźć się w pobliżu mnie, byśmy mogli porozmawiać. Tutaj nie jest bezpiecznie, lepiej nie odzywaj się już do mnie. Zbyt wiele uszu. I pamiętaj poki jest życie, jest i nadzieja.

Następnego dnia pracę zakłócił wściekły wiatr, dmący z wrzosowisk Shillpan. Gavor, za radą Botra, przekonał dowódcę straży, żeby przydzielił mu pracę niżej, na placu, gdzie zatrzymywały się wozy z oczekiwaniu na załadunek. Znalazł się w pobliżu Botra, ale przez pierwsze pół dnia pracy nie zdołał zamienić z nim ani jednego słowa - niedaleko, tak ustawiony, żeby wiatr niesł nawet szeptu, znalazł się Jednooki.

Kiedy w południe zagrzmiął sygnał przerwy, skazanci odebrali swoje suchary i pobiegli schronić się za zachodnim nawisem skalnym, gdzie wiatr był słabszy. Jednooki pozostał w tyle, niezbyt szybko odebrał swoją rację i kiedy znalazł się pod osłoną skały, musiał zadowolic się miejscem na samym skraju, wystarczająco daleko od Botra i Gavora.

- To podły szpieg - powiedział szeptem Gavor. I w paru słowach strescił, jak to z winy Jednookiego nieszczerzy Zobra, zamiast cieszyć się wolnością, skończył na dnie rzeki, przeszyty dwoma strzałami.

- Tutaj, w Me-Ghir - skomentował Botro - donosiciele czeka krótki żywot. By zamknąć im raz na zawsze usta, zawsze znajdzie się jakiś drąg, który w odpowiednim momencie wysunie się z rak, lub głaz, który bez uprzedzenia stoczy się w dół. Rozumiesz, chłopcze? Ale w miejsce jednego zabitego z miejsca znajduje się dziesięciu gotowych, żeby go zastąpić. Wszystko przez ten głód. Tutaj niemal każdy za garść pożywienia gotów byłby zabić własną matkę. Ja nie dowierzam nikomu...

- Mnie jednak zawierzyles, jak mi się zdaje - ironicznie zauważył Gavor.

- Ale tylko dlatego, że nie zdążyłeś jeszcze zgłodnieć. Za dwa miesiące i ty będziesz wyglądał jak pozostali.

- Choc uciec stąd szybciej - uciął Gavor - Wieczorem dales mi do zrozumienia, że masz jakiś plan ucieczki. Posłuchajmy więc, co to takiego.

Botro rozejrział się uważnie i nieufnie. Potem pochylił się do ucha Gavora i wyszeptał:

- Przede wszystkim, jak już powiedziałem, musisz być cierpliwy. Kamieniolomy znajdują się w środku rejonu pustynnego, ponad pięćdziesiąt mil od jego skraju. Znaczący to, że, będąc tak słabi i wygłodzeni, uciekać możemy tylko wtedy, kiedy będziemy mieć zapas pożywienia. Ja odłożyłem już osiem sucharów, ty musisz zrobić to samo i każdego dnia coś odkładać...

- Rozumiem - zgodził się Gavor - Czy masz pewne miejsce, żeby je ukryć?

Botro pośpiesznie skinął głową.

- Słuchaj mnie dobrze - ciągnął. - Do granicy okręgu Shillpan jest prawie sto mil. Jednak kiedyś, sto lat temu, granica przechodziła właśnie wtedy, szczytem tych wzgórz. Odkryłem przejście, podziemny chodnik, którym zapewne przemysłownicy dostarczali swój towar. Wejście ukryte jest pod kopą krzewów. Sam tunel jest długi na jakieś dwadzieścia łokci, taki komin, który przechodził nieczym kłuska w brzuchu wzgórze. Ale wyjście zastawione jest blokiem skalnym, przeraziłwie ciężkim i grubym...

- Potrzebny jest drąg, żeby go ruszyć - odpowiedział podniecony Gavor.

- Już jest, wyniosłem go i ukryłem. Sam drąg jednak nie wystarczy. Potrzebne są silne ramiona, takie jak twoje, rozumiesz?

Było jeszcze tysiąc innych rzeczy, które Gavor chciał wiedzieć, ale w tej właśnie chwili strażnik trzykrotnie zadał w róg, dając skazancom znak do podjęcia pracy. Później, w krótkich przerwach między jednym wozem odjeżdżającym z ładunkiem a drugim, który dopiero nadjeżdżał, próbował dalej pytać Botra. Rabuś pozostał jednak głuchy na wszystkie jego zabiegi.

Nadszedł wieczór, a z nim odrażająca zupa, w której pływały dziwne kawałki mięsa, z pewnością z żab, szczurów i pokrajanych w kawałki węży. W ciemności pomieszczenia jakiś skazaniec zaczął wyc, inny płakać, jeszcze inny kłąć. Słychać było szczek łańcuchów, niby dzwonki karawany, głuche odgłosy, ciężkie westchnienia, z pewnością spowodowane razami. A potem, już w ciszy, ciężki chór oddechów ludzi złamanych wysiłkiem i żadnych snu.

Gavor wyciągnął wolną rekę w kierunku Botra. Chciał wiedzieć coś więcej o tajemnym przejściu, ciągnącym się pod wzgórzem. Dwa czy trzy razy dotknął jego ramienia, zachęcając do odwrócenia się. Botro zamiast odpowiedzi ciężko chrząknął i odwrócił się na drugi bok.

■

W następnych dniach rozpogodziło się. Kamieniołomy rozciągały się po południowej stronie wzgórz i promienie słońca oblewały je od świtu do zmierzchu, na nieszczęście dla skazańców, którzy w piekielnym upale musieli pracować z krótkimi tylko przerwami.

Raz jeszcze Gavor przekonał się, dlaczego Me-Ghir zyskało sławę miejsca bez powrotu. Najsilniejszy nawet mężczyzna nie był w stanie długo wytrzymać przy takim niedostatku pożywienia i w podobnym upodleniu. Zginie wszyscy nim przyjdzie lato, wcześniej jednak zastąpią nas inni i koło dziejów będzie mogło obracać się w nieskonńczoność, ku chwale władców, którzy do dna wysysają nasze żywoty.

Roslinność na wzgórzach stała się bardziej bujna i tworzyła prawdziwe oazy zielonego cienia. Skazanci zerkali w tamtych kierunkach, lecz czujna obecność strażników na wyżej położonych wystęgach skalnych powstrzymywała każdego, kto miał odwagę zamarzyć o chwili wytchnienia w orzeźwiającym chłodzie.

Pewnego dnia Botro z głośnym przeklenstwem odrzucił kij i spuścił spodnie na samym środku drogi. Strażnicy wybuchli śmiechem. Ryknęli śmiechem również skazańcy, niektórzy poszli nawet w ślady Botra. Już dziesięciu, a może i piętnastu przykuć do pełnym słońcu z zamiarem zaspokojenia własnej potrzeby. Gromki śmiech strażników zmieszał się z odgłosami towarzyszącymi tej zaimprovizowanej scenie i ordynarnymi uwagami przyglądających się współtowarzyszy.

Ten rodzaj zawieszenia broni między ofiarami a oprawcami trwał tylko chwilę. Ale wystarczyło to, żeby Gavor zniknął niezauważony. Błyskawicznie zsunął się pod skałę i stoczył w doł zaciemnionym zleblem, wśród niskich krzewów sumaka.

Botro dokładnie wyjaśnił mu, jak znaleźć wejście do podziemnego korytarza. Z pewnym trudem utworzył sobie drogę przez zagradzające wejście krzewy i po omacku zagłębił się w długą kiszka, prowadzącą w poprzek zbocza.

Botro nie nabrał go. On też ocenił długość chodnika na jakieś dwieście lokci. Gavor przebiegł go kierowany słabym światłem dochodzącym z głębi.

W końcowym odcinku wąski korytarz rozszerzał się, tworząc niewielką grołę o łukowatym sklepieniu. Blok tarasujący wyjście był ogromny, nieznacznie już przesunięty, nie na tyle jednak, żeby umożliwić przecisnąć się. W jednym rogu dojrzał dwa ludzkie szkielety, jeden leżący na brzuchu, drugi siedzący w groteskowej pozie, wsparty żebrami o ścianę. W oczodołach zagnieździły się karaluchy i skorpiony.

Drag, który przemycił Botro, leżał na ziemi, nie opodal szkieletów. Gavor spróbował podważyć blok skalny i po paru próbach zrozumiał, że sobie z nim poradzi, rzecz jasna z pomocą Botra. Z emocji serce waliło jak opętane.

Wrócił. Kiedy wyszedł z korytarza, ostrożnie wspiał się wzdłuż zlebu, uważając, żeby żaden ze strażników nie obserwował miejsca, z którego się wynurza. Doszły do niego chaotyczne krzyki, stłumione nawoływania i przekleństwa. Już ze swojego miejsca zauważył dziwne poruszenie. Nikt nie pracował, a strażnicy i więźniowie spoglądali w dół, w stronę placu, na który zajeżdżały wozy.

W pobliżu pierwszego wozu zebrał się tłum. Kiedy ludzie rozeszli się, Gavor zobaczył leżącego na ziemi Jednookiego, z rozrzuconymi ramionami i strzaskaną czaszką. Potem dostrzegł w gorze Botra, który rzucił mu porozumiewawcze spojrzenie.

Musiałem to zrobić – powiedział rabus, kiedy po zachodzie słońca zbliżył się do niego ze swoją miską.

Siedzieli na stercie kamieni, nieco na uboczu, tyle tylko, żeby móc spokojnie porozmawiać, bez podejrzliwych spojrzeń innych więźniów.

– Musiałem to zrobić – powtórzył Botro. – Ten śmieć spostrzegł, że się oddaliłeś i chciał powiadomić strażników. Wziąłem więc kamień i...

Oberżystka wzięła drugą monetę i podniosła się gwałtownie, chcąc odejść, lecz Gavor schwycił ją za nadgarstek.

- Gdzie go szukać?
- Kogo?
- Starego Fallaha. Gdzie mieszka?

- Za świątynią Bhalivy, bogini nowożeńców. Ale uważaj, chłopcze. Stary Fallah z nikim nie rozmawia, trzyma dziesięciu zbrojnych i sfere psów dzikszych od hien.

Świątynia Bhalivy wznosiła się po przeciwnej stronie miasta, otaczały ją bliźniaczo podobne domy bez okien chronione niemożliwymi do sforsowania murami. Bez trudu odnalazł dom handlarza niewolnicami: był większy i lepiej od pozostałych strzeżony, przed nimi zaś rozciągał się rozległy ogród z palmami i mnóstwem nieznanym mu roślin. Ciemna brama odcinała się od białego muru otaczającego dom: wrota zdawały się masywne, z pewnością wytrzymałyby nawet uderzenia tarana.

Gavor odczekał chwilę bez ruchu, skryty w cieniu. Po przeciwnej stronie muru słyszał ujadanie psów z pewnością puszczonej wolno po ogrodzie oraz ostre i gardłowe głosy zmieniających się strażników. Z głębi dziedzińców dochodziła melodia twardo podobna do dźwięków tabli, lecz bardziej jeszcze słodka i do omdlenia melancholijna, jak przesadnie kłiwa kotysanka.

Próba dostania się do środka byłaby bezsensowna. Nie po to jednak znalazł się tutaj, żeby dać się omamić absurdalnym złudzeniom. Przemknął tylko wokół murów, wiedząc, że Duna jest tam, w środku, czując w jakiś sposób jej bliskość i choć domyślał się jej rozpaczy, musiało mu to wystarczyć.

Jakis cien olał się o mur i zatrzymał u jego boku. Gavor oparł rękę na mieczu.

- Spokojnie, przyjacielu. Jestem biednym starcem i pragnę jedynie tyknąć nieco wina. Szynek wyrzucił mnie, bo za dużo mówię i naprzykrzam się gościom..

- Czego chcesz ode mnie?

- Odprowadź mnie tylko. Jesteś duży i silny, dobrze ubrany i nosisz miecz. Jeśli wejdziemy razem, szynkarz nie będzie mógł nic powiedzieć. Aż mnie pail z pragnienia.

- Gdzie ta knajpa?

- Tu, za rogiem. Wino mają tam świetne, a miejsce jest spokojne.

Może była to pułapka, ale Gavor nie tracił czasu na zastanawianie się. Przez cały dzień popijał syropy i jabłecznik. Starzec wspominał o winie, niemal nie istniejącym w Górnej Medynie i jego też naszała nieprzewidywana chęć wypicia dzbana.

- Ruszaj przodem – nakazał Gavor – ale uważaj: żadnych kawałów, bo cię podziurawie.

Karczma okazała się brudnym i cuchnącym miejscem, z nisko zawieszonym czarnym sufitem, murami oblepionymi ogromnymi zielonkawymi plamami.

- Przyprowadziłem przyjaciela – powiedział starzec, zwracając się do karczmarza. – Zna się na winach, więc przynieś najlepsze, jakie masz w piwnicy.

Karczmarz obsłużył ich w milczeniu i z powrotem przykuć na swoim stołku, za grupką niechlujnie wyglądających graczy w kosci.

Czterech obdarciuchów siedziało w kącie i popijając ze wspólnego dzbana zazdrośnie spoglądali w stronę Gavora i jego towarzysza.

Moi przyjaciele – odezwał się znów starzec. – Sami niedzarze, jak i ja.

I zaczął opowiadać, jak ciężkie jest życie w Górnej Medynie, zwłaszcza dla starców.

- Jest to miasto podejrzanym i ciemnym interesom, oszustów i zapamiętałych graczy. Handluje się tutaj kradzionym łowem, spleśniałym ziarnem, bydłem zagrabionym w pobliskich regionach. Kiedy nogi nasze były jeszcze szybkie, a rece zwinne, też mieliśmy z czego żyć i to bez kłopotu. Ale teraz... teraz musimy wykonywać najpodlejsze polecenia, uciekać się do najroźniejszych oszustw, albo...

- Albo naciągac takich głupców jak ja – dokonczył Gavor, lecz bez złośliwości.

Starzec uśmiechnął się. Wyglądał żółtawą brodę i wolał zmienić temat.

- Co robisz w Medynie? – zapytał od niechcienia. I ponieważ Gavor wzruszył jedynie ramionami, nieskory do zwierzeń, dodał:

- Na miłe widac, że jesteś w kłopotach. Może stary Naguh zdoła coś dla ciebie zrobić?

- Pij i siedź cicho – odparł Gavor. Albo powiedz mi jedną rzecz: jak wygląda targ niewolnic?

Z pewnością nie dla siebie – uśmiechnął się Gavor. Ale mógłbym znaleźć się tutaj z czyjego polecenia

Pod rozwiązanym kaftanem widać było oznaki Hospiunda. Starucha rzuciła jedno spojrzenie na znak wilka stojącego na tylnych łapach i nic nie odrzekła. Gavor tyknął jablecznika i oddalił się pieszo, trzymając konia za wodze.

Włóczył się po ulicach Górnej Medyny aż do zmierzchu. Na rogach ulic zapalano pierwsze pochodnie, ludzie wychodzili z domów przyodziani w przewiewne, jaskrawe szmaty, pokazywały się dziewczęta o ciemnej karnacji i dużych, czarnych jak noc oczach, ludzie nadęci niczym przepelnione worki z długimi cienkimi wąsami, zakreconymi niczym mysie ogony, i dzieci, wszystkie w świątecznych szatach, z terkoczącymi kołatkami i rozpalonymi purpurą chorągiewkami.

Wkrótce całe miasto rozgorzało mnóstwem dźwięków i okrzyków, a wielobarwne wiatraczki ożyły nawet najciemniejsze zaułki. Nad całym tym ggiełkiem unosiła się muzyka fletów. Dochodziła ona z centralnego placu jak i z wewnętrznych dziedzińców pozbawionych okien domów.

Nad wejściem do jednej z gospod falował unoszony lekkim pustynnym wietrzykiem długi jedwabny wąż. Gavor uwiązał konia i wszedł do środka.

Usiadł w rogu i bez większego apetytu jadł ryżowy plącek i drobne miodowniki, które wraz z karafką złotego syropu postawił przed nim karczmarz, ceremonialnie zginając się w pół.

Większość gości stanowili kupcy. Można ich było rozróżnić po wyszukanych gestach, z jakimi zamawiali potrawy i zabierali się do nich. Często odsuwali talerze z udawanym wstretłem, kazać z większą troską przygotować zamawiane potrawy. Wszyscy mieli ciekawe sakiewki i kiedy młode oberzyski z pełnymi talerzami pochylały się nad stołami, energicznie nimi potrząsały, żeby głośno rozbrzmiał srebrny dźwięk monet. A ich tłuste, ciężkie od piersieni łapy obmacywały dziewczyny bez umiaru, wsłizgując się nawet pod spodnice i za głębokie dekolty oberzyszek, które krótkimi okrzykami udawały płochliwość.

– Słuchaj – powiedział Gavor, łapiąc jedną z dziewczyn za ramię i zmuszając ją, żeby usiadła – Przyjechałem do Medyny na targ niewolnic

Dziewczyna gwałtownym ruchem odrzuciła w tył głowę, ciemne włosy i wybuchnęła śmiechem.

– I co z tego? W niczym nie różnisz się od innych. Chcesz kupić niewolnicę? Każdy przyjechał tutaj po niewolnicę, wielu jednak nie może sobie na to pozwolić. A skoro nie mogą, chcą za parę soldów zabawić się z nami...

– Poczekaj – nalegał Gavor. I wsunął jej w dłoń srebrną monetę.

Schlebiasz mi, cudzoziemcze. Jeszcze nikt tyle za mnie nie zapłacił.

Nie ciebie chce – zasyczał Gavor. – Chce jedynie informacji. Chce wiedzieć, czy wśród niewolnic, które jutro zostaną wystawione na sprzedaż, jest też dziewczyna z rudymi włosami.

Jak mogłabym to wiedzieć? – odparła dziewczyna. – Każdego miesiąca odbywa się targ i tutaj, do Medyny, zostają zwiezione niewolnice z całego regionu. Nikt nie może ich widzieć, nim nie zostaną pokazane na licytacji.

Tak, ale wy, tutejsze, o wszystkim możecie wiedzieć wcześniej – nie dawał za wygraną Gavor.

Ruda, mówisz? Nic nie wiem, ale...

Ale... Mów dalej

– Nie pamiętam dobrze, może druga moneta przywróci mi pamięć.

Mów, a dostaniesz ją – warknął Gavor z zacisniętymi zębami.

Dziewczyna rozejrzała się, udając ostrożność jak ktoś, kto zamierza wyjawic bog wie jaką tajemnicę. Jednocześnie niecierpliwymi gestami uspokajała kupców, którzy wymachiwali rękoma, przywołując ją do swojego stołu.

– Mogę powiedzieć ci tylko to, co słyszałam... Tak, zdaje się, że wśród niewolnic jest jedna z rudymi włosami, piękna pastereczka, którą Thungusi przywieźli tutaj pięć czy sześć dni temu po wypadzie na ziemie leżące za czarnymi wzgórzami

– U kogo ją zostawili? – chciał wiedzieć Gavor i potrząsał przy tym sakiewką zawieszoną przy pasie.

– U starego Fallaha, przynajmniej tak mówią. Zazwyczaj to on rozmawia z Thungusami.

– Pokój jego duszy – krótko ucał Gavor. – Przyjrzałem się korytarzowi i spróbowałem przesunąć głaz. Może uporałbym się z nim sam, ale z twoją pomocą rzecz będzie pewna, bez trudu stworzymy sobie wyjście.

– Dobrze – wymamrotał Botro, zanurzając usta w misce.

Kiedy odlatujemy? – zapytał Gavor.

– Cierpliwości, chłopcze. Już ci mówiłem.

– Tak, ale na co czekamy?

– Na burzę. Przyda nam się nagła ulewa, z grzmotami i piorunami. Wówczas strażnik stojący na szczycie opuści swoje miejsce, żeby się schronić, i nikt nie zwróci na nas uwagi. A poza tym chodzi o skałę, która tarasuje wyjście. Kiedy zepchniemy ją, stoczy się w dolinę po drugiej stronie, z hukiem jak trzesienie ziemi. Rozumiesz więc, dlaczego musimy poczekać na burzę?

– Rozumiem. Chcesz mieć pewność, że ten hałas stopi się z grzmotami i szumem deszczu...

Właśnie tak. Pilnuj się mnie, a kiedy pogoda będzie niepewna, bądź w pobliżu. Może za miesiąc, a może jutro, kto może wiedzieć. Niechaj bogowie deszczu nas wspierają

Rozdział XV

Utrzymywała się piękna pogoda i Gavor zaczął już wpadać w rozpacz. Czuł, że z dnia na dzień sły opuszczają go coraz bardziej.

Botro, zatwardziały zbój, który poznał już tysiąc wiezien i lochów, kiedy tylko mógł podnosił go na duchu, rozłączając przed nim obraz uczy, jaką sobie wyprawia już na wolności i w bezpiecznym miejscu.

Strażnicy na szczycie wzgórza urządzili sobie schronienie z gałęzi. Popijali wino i zrodlaną wodę, leniwie zjadali owoce i siedząc w cieniu od niechcenia nadzorowali przebieg prac.

– Tutaj nigdy nie będzie padać – kłął Gavor, zrozpaczony długim wyczekiwaniem.

Botro uśmiechał się jedynie.

– Już wkrótce spadnie z nieba tyle wody, że niemal się potopimy. Bądź czujny, chłopcze. Jeden fałszywy krok i możemy skończyć w gównie

Tymczasem najstarsi i najślabi marli jak muchy. Niektórzy spadali nagle ze zbocza wzgórza, inni kładli się na ziemi i tak zostawali, nieczuli na gwałtowne nawoływania strażników, gotowi raczej dać się zalić na śmierć, niż powrócić do pracy. Wtedy nadzorcy ściągali ich w dół, w pobliże magazynu i tam zostawiali, bez wody i bez pożywienia. Umierali, nim zapadł zmierzch, bez jęku protestu. Inni jeszcze umierali we śnie, nocą, z wycieńczenia, jakie długo się w nich gromadziło.

– Tutaj nigdy nie będzie padać – złorzeczył Gavor.

Lecz dzień potopu wreszcie nadszedł, tak jak przewidywał Botro. Najpierw spadły na nich ostre porywy wiatru, czarne i ciężkie chmury, szybkie jak sokoły, nadciągnęły tuż nad kamieniołomy. W oddali przecięła niebo piorun, za nim dalsze, coraz groźniejsze, i naraz na wzgórze spadł rzęsy deszcz, zalewając w mgnieniu oka cały płaskowyż i wszystkie ścieżki.

Wieżniowie pobiegli skryć się za wozami. Wiatr rozrucił niktę osłony strażników, zmuszając ich do szybkiego opuszczenia zajmowanych miejsc. Dla Botra i Gavora było już bagatelką zjechać po zlebie z przeciwnej strony, podczas gdy huk grzmotu zagłuszył wszelkie odgłosy i nawoływania.

Kiedy znaleźli się w podziemnym korytarzu, Botro wydostał spod ziemi płócienne zawiniątko. Znajdowały się w nim suchary, skrzętnie zbierane przez wszystkie dni męczącego wyczekiwania.

Szybko przemierzali chodnik, pokrzykując radośnie niby dzieci, ale na jego końcu Botro zrobił się poważny. Zaniepokojony, zmierzzył wzrokiem ogromny głaz i powiedział:

– Odwagi, przyjacielu. To rzecz w sam raz na twoje muskuły.

Gavor schwycił drag i zaparł się z całej siły. Głaz ani drgnął. Spróbował powtórnie, bezskutecznie.

– Na bogów – wyjąkał ogarnięty paniką. Przecież się poruszył. Przysięgam ci, że poprzednim razem zdołałem go trochę poruszyć.

– Uspokój się – nakazał Botro. – Odpocznij nieco i zbierz siły.

W półmroku groty Botro rozejrzał się, szukając czegoś. Wziął do ręki czaszkę i zważył ją w dłoni. Zirytowany, odrzucił. Wreszcie znalazł odpowiedni kamień i umieścił go u podstawy bloku skalnego, tak

żeby drąg wyrzucił go większą siłą. Natychmiast też oparł się o ramiona Gavora i skoczył ze złączonymi nogami na ten prosty przyrząd

- Odwagi, chłopcze, pomyśl o wolności i daj z siebie wszystko.

Wstrzymując oddech, Gavor naparł na drąg z desperacką siłą. Kamień umieszczony jako podpora zaskrzypiał, jakby chciał się rozsypać, ale głaz drgnął, zachwiał się. Ze zrećznością linoskoczek Botro, stojąc na drągu, zdołał przesunąć się o dłoń w stronę jego końca. Jeszcze jeden wspólny wysiłek i ogromny blok skalny z potężnym łoskotem stoczył się po zboczu wzgorza.

Rzucili się w dół po stoku, co rusz potykając się i ślaczając. Woda lała się strugami, wzbijając bryzgi czerwonego błota. Botro biegł pierwszy, nie zatrzymując się nawet na chwilę, kierowany niezawodnym instynktem, który zawsze pchał go we właściwym kierunku. Gavor deptał mu niemal po piętach, zdyszany i z trudem wytrzymujący szalency pęd ucieczki.

Po godzinie Botro zatrzymał się, dysząc ciężko. Pochylił się i zwymiotował zielonkawą pianą.

- Mielismy szczęście - powiedział Botro. - Burza rozszalała się w najbardziej odpowiednim momencie, po południowym posiłku. Dopiero wieczorem spostrzegą nasza ucieczkę, a z nastaniem zmroku trudno im będzie rozpocząć poszukiwania. Udało się nam, chłoprze. Przed nami sześć godzin dnia, i przez te sześć godzin zmierzac będziemy naprzód, z krótkimi przerwami na niewielki posiłek. Musimy odejść stąd jak tylko zdołamy najdalej.

- W jakim kierunku idziemy? - chciał wiedzieć Gavor.

- Na razie na północ. Półem wykreślimy na wschód, aż do granic Shillpan. A potem na południe, wzdłuż granicy...

- To jakieś błędne koło - zauważył Gavor.

- Wcale nie - zapewnił rabuś. - Kiedy moja banda rozpadła się, zakopałem moją zdobycz sto mil od kamieniołomów w Me-Chir, ale by tam się dostać, musimy obejść je w pewnej odległości, przemierzając dzikie i pustynne okolice. W razie czego w każdej chwili będziemy mogli przekroczyć granicę i skryć się na terytorium Shillpan.

Słuszność jego planu była oczywista i nic nie można było mu zarzucić.

- Zgoda - powiedział Gavor. - Chcę tylko odzyskać mój amulet. Zaprowadź mnie tam, gdzie go zakopałeś, a zapewniam cię, że będę wdzięczny do końca życia.

★

Ukryty w listowiu słowik śpiewał żalosnie, zwiastując świt. Gavor gwałtownie przebudził się ze snu pełnego nierealnych i groteskowych istot, które dreczyły go przez całą noc, nie pozwalając na chwilę wytchnienia. Opuszcł naprędce przygotowane legowisko z galezi i liści, zrywając się na równe nogi, jakby zawisło nad nim nagle niebezpieczeństwo.

Różowe światło saczyło się przez wysokie pędy robinii. Botro spał jeszcze, skulony nirzym koł. Gavor zbudził go, trąc go nogą w bok.

- Jestem głodny - powiedział. - Daj mi suchara.

Botro przetarł oczy.

- Później - odpowiadał ziewając. - Czekaj nas długa droga, musimy oszczędzać nasze zapasy.

Podążali przed siebie cały dzień, przemierzając dębowe i brzoźowe lasy, trawiaste równiny, i znowu lasy, ponure pustkowia, wrzosowiska. Następnego dnia spostrzegli w oddali stado owiec. Botro skrzywił się, zaniepokojony.

- Odtąd będziemy musieli unikać otwartych przestrzeni - powiedział. - Owczarze też mogą okazać się podstępni. Żeby uniknąć przykrych spotkań, przez jakiś czas będziemy się poruszać lasami, nawet jeżeli trzeba będzie nadłożyć drogi.

O zmierzchu dotarli nad brzeg strumyka, zmienionego przez ostatnie deszcze w rwący potok. Woda wylała się z naturalnego koryta, tworząc w zagłębieniach niewielkie bajory.

- Mamy ryby! - wykrzyknął Botro, tocząc wokół baczny spojrzeniem człowieka przywykłego do odludnego życia.

Pochylony, zaczął brodzić w bajorku długim na osiem łokci, namawiając Gavora, żeby poszedł w jego ślady. Ryby były już otepiałe i bez trudu można je było chwycić rękoma.

- Kto przejął jego miejsce?

- Jego przyboczny, Griva.

- Prowadźcie mnie do niego. Muszę z nim mówić.

Griva nie wyglądał dobrze: reke miał obandażowaną, nogę nabrzmiałą i bezwładną.

- Przybywam w imieniu Meklura - oznajmił Gavor, ledwo znalazł się sam na sam z Grivą.

Griva nie okazał nawet cienia zdumienia.

- Nie musisz mówić więcej - powiedział spokojnym głosem. - Posłaniec Kroneba zdążył nas już powiadomić, a zresztą nie było takiej potrzeby: od dawna Grumak i ja domyślaliśmy się twojego związku z białym księżycem.

Gavor uśmiechnął się. Zerknął na ramię i nogę Grivy i spytał:

- Ilu was zostało?

- Dwudziestu pięciu, tutaj w zamku. I drugie tyle rozstawionych w wysuniętych punktach regionu. Tym razem Thungusi podeszli nas sprytem. Udali, że atakują od południa, a my jak stado baranów poleciliśmy tam, gdzie Bha-Gur wydawało się najłatwiejsze do sforsowania. A oni uderzyli bezpośrednio na Thune, które zostało bez obrońców.

- A oddziały w Górnej Medynie? Też zostały rozbite?

Griva potrząsnął głową.

- Nie. Najemnicy z Górnej Medyny porozumieli się tym razem z Thungusami. Przepuścili ich, nie wiadomo co otrzymując w zamian.

- Przekleci! - zaklął Gavor zaciskając zęby. - Bądź jednak pewien, że srogo za to zapłacą. Wyruszę teraz do Medyny. Muszę odzyskać moją kobietę, a gdy księżyc rozpocznie nową wedrowkę, będę z powrotem w Bhakrze, żeby dopełnić wielkiej rewolty. Ilu z twoich jest po naszej stronie?

- Prawie połowa, choć niewiele rozumieją. Powiedz lepiej, jaki los zgotujemy Nurko?

- Nurko?

- Tak, syn Khavla. Przeżył rzez, ale wielu z naszych chciałoby go zabić, choćby za okrucieństwa jego ojca.

- To jeszcze dziecko - westchnął Gavor. - Opowiedzcie mu o białym księżycu i opiekujcie się nim.

Rozdział XXIII

Oglądana z daleka i pod palącymi promieniami słońca Gorna Medina wyglądała jak ogromny, wypalony szkielet w samym sercu pustyni. Rząd białych domów z rozłożystymi tarasami i oslepiająco białymi, pozbawionymi okien murami, gdzieś tam przerywany był rzucającymi głębokie cienie kolumnadami i ogromnymi palmami.

Gavor napoił konia przy wodotrysku na głównym placu. Była pora sjeści i plac opustoszał. Sprzedawcy siedzieli znużeni w cieniu rozpostartych markiz, niektórzy grali w karty, inni leniwie przewracali zakamarki koszuł, wydłubując pchły i przepędzając insekty, które w tej skwarnej godzinie cięły ze zdwojoną energią.

Panowała niemal absolutna cisza. Słychać było jedynie potrząsane w kubku kości, brzęczenie much i stłumione przekleństwa znudzonych graczy.

Gavor uwiązał konia do pretów wodotrysku i zanurzył głowę w wodzie. Przez chwilę zabawił się jak dziecko.

Obok przechodził starzec wspierający się na sekątem kiju, okryty lachmanami.

- Kiedy zaczniesz się targ niewolnic? - zapytał Gavor.

Dzied rozdrażał sobie kark i zaczął bełkotac tak bezzadnie, że Gavor wolal dar mu spokój.

Nieco później powtórzył pytanie jakiejs starej megierze, która sprzedawała wino z jabłek.

- Targ niewolnic? Licytacja ma się odbyć jutro późnym rankiem.

- Gdzie?

Tutaj, na tym placu, jak zawsze - uściśliła starucha. Zmarszczyła czoło i utkwila w nim wzrok pełen niedowierzania i podejrzliwości.

- Jesteś młody i przystojny - powiedziała. - Chcesz, żebym uwierzyła, że przybyłeś do Medyny kupić sobie niewolnicę?

Jak okrutny jest mój los! westchnął z żalem. – Walczyłem z Thungusami całe dwa miesiące, żeby utrzymać ich z dala od Shillpan. Byłoby lepiej ulec im i pozwolić, żeby złupili ziemie Hosplunda. Jakież byłem głupi i ślepy! Opierałem się im, nieświadomy, że tym samym zgutowałem śmierć swoim bliskim. Powiedz mi, dlaczego Thune padła nie próbując się bronić? Gdzie były straża Khavla?

– Thungusi są jak szakale, sprytniejsi od pustynnych lisów. Udał, że atakuja od południa i Khavlo wyruszył z głównymi siłami w stronę granic Górnej Mediny, tam zresztą wpadł w zasadzkę i dosięgnęła go śmierć. Wioska i zamek zostały bezbronne. Pozostał jedynie Grumak z garstką obrońców. Wszyscy padli. Kapitan miał jedną strzałę w plecach, drugą w łędce, lecz nim padł, zdołał pozbawić życia dobrego tużin tych dzikusów. A potem, kiedy zdawało się, że na nas wszystkich przyszedł kres, Thungusi nagle odeszli.

Zawsze tak robią – potwierdził Gavor. – To ich taktyka: uderzają znienacka i znienacka wycofują się. Powiedz mi teraz, co z Duną.

Sjebe wymknął się gest znużenia.

– Już ci mówiłem: Duna żyje, nie zrobili jej najmniejszej krzywdy. Powiedziałem ci też, dlaczego Thungusi są przesadni. Nigdy, ale to nigdy nie mogliby dotknąć, ani tym bardziej zabić kobiety z rudymi włosami. Są przekonani, że sprowadziliby na siebie tysiące nieszczęść. Oszczędzili ją więc, ale zabrali ze sobą, by ją sprzedać handlarzom niewolników na targu w Górnej Medynie. Tak utrzymuje twój brat Thurno, który słyszał jak wspomnieli o tym, nim wyruszyli...

– Obudz go! – powiedział Gavor wskazując głową na siennik, na którym leżał Thurno. – Chce usłyszeć to od niego.

– Twój brat żyje jeszcze koszmarem tego, co widział. Wiele dni będzie musiało upłynąć, nim powróci mu mowa. Pozwól mu wypoczywać, Gavor. I zaufaj moim słowom.

Przez chwilę Gavor trwał w milczeniu, po czym spojrzał przyjacielowi prosto w oczy.

– Dbaj o niego – powiedział. – Ja ruszam do Górnej Mediny.

– Teraz?

– Tak, ruszam natychmiast.

– Jesteś szalony – wykrzyknął zaniepokojony Sjebe. – Jest środek nocy, a droga długa i pełna zasadzek.

– Ruszam natychmiast – powiedział Gavor.

Sjebe unosił się gwałtownie i szybko przesunął do wyjścia z chaty, przesłaniając je całym swoim ciałem.

– Żeby wyjść, będziesz musiał najpierw mnie zabić.

Gavor patrzył na niego otepalym wzrokiem.

Jesteś wycieńczony – ciągnął Sjebe – O twoim ślaniu ducha lepiej nie mówić, a twój organizm jest u kresu wytrzymałości. Potrzebujesz wypoczynku, Gavor.

Być może Sjebe mówił rozsądnie. Jeśli dobrze się zastanowić, nie było celu gnać do Górnej Mediny: jeśli Thungusi sprzedali Dunę handlarzom niewolników, ci wystawią ją na sprzedaż dopiero wtedy, kiedy księżyc wejdzie w ostatnią kwadrę, zgodnie z dawnym obyczajem. Miał więc trzy lub cztery dni na dotarcie do miasta i odzyskanie dziewczyny, w sakiewce chował siedem złotych monet, a jeśli złota miałoby nie starczyć, zawsze będzie mógł rzucić na wagę swój miecz. W ten czy inny sposób dostanie dziewczynę.

– Masz rację – wymamrotał sennym głosem. – Konieczne muszę wypocząć.

Wstał od stołu, chwytając się ze zmęczenia dowłókł się do posłania i padł bezwładnie.

W przebiegłości świadomości poczuł jeszcze, że Sjebe ściąga mu buty.

★

Następnego dnia Gavor ruszył ścieżką wiodącą do zamku Khavla. Kiedy był w połowie wzgórza, drogę zastąpił mu oddział zbrojnych. Niektórzy rozpoznali go i ze zdumieniem spoglądali na miecz u boku oraz przewieszony przez ramię łuk, a insygnia Hosplunda na jego kaftanie wywoływały zmieszanie i nieufność.

– Kto wam rozkazuje? – stanowczym głosem zapytał Gavor.

– Khavlo poległ – odparł dowódca oddziału. – Poległ też Grumak, nasz kapitan.

Wydawało się niemożliwością oczyszczenie ich bez noża, lecz Botro, pomagając sobie zagietą gałązką, poradził sobie z tym, wyciągając wnętrześci przez pyszczek.

Gavor przyglądał mu się z podziwem.

– Pięknie, ale zjeść je surowe i bez krzty soli nie będzie proste, nawet dla tak wygłodniałych ludzi jak my.

Botro roześmiał się. Poszperał w obszarpanej koszuli i z zaszytego brzegu wyciągnął krzemień.

– Nigdy się z tym nie rozstawałem. Schowałbym sobie nawet do tyłka.

Pół godziny później ryby były już usmażone nad żarem niewielkiego ogniska ułożonego z suchych pedów krzewów i uciekinierzy mogli zaspokoić głód, zachowując suchary na dalszą drogę.

– Szkoda, że nie mamy wina – westchnął rabus między jednym a drugim bekniciem. I dodał:

– Granica Shillpan jest już niedaleko. Jutro ruszamy dalej, zakrecając na południe. Przed nami jeszcze cztery lub pięć dni marszu.

Gavor ledwie go słuchał. Wyciągnął się obok tłącego się żaru i twardy sen pociągnął go w otchłan bez czucia.

■

Podążali wzdłuż strumyka niemal do samych jego źródeł. W miarę jak posuwali się na południe, okolica stawała się mniej dzika: zbliżali się do żyznych rejonów i nawet niekiedy dostrzegali w oddali pojedyncze zabudowania i skrawki uprawianych pól.

Suchary skończyły się. Ale doświadczony oko Botra dostrzegło na skraju rowów grona wodnych kasztanów i wielkie jadalne bulwy, które rosły w pobliżu dziwnych, pnących się lian obwieszonych żółtymi kwiatami.

Raz, pellicą splecioną z powoju i czerwoną marchwią jako przynętą, udało mu się schwycić dzikiego królika. Cierpliwie ponacinał zębami skórę wokół szyi i ściągnął ją jednym długim szarpnięciem, podczas gdy Gavor przytrzymał łeb zwierzęcia.

Dawno już tak się nie najedli. Botro tarzał się szczęśliwy w trawie, marząc o miarce wina, którego już wkrótce będzie mógł skosztować. „Upiję się jak jeszcze nigdy w życiu” – powtarzał.

– Bedziemy potrzebowali ubrań – zauważył Gavor. – Nie możemy pokazać się ludziom boso i w tych łachmanach. Od razu pojeli by, że uciekliśmy z kamieniołomów Me-Ghir.

– Wszystko w swoim czasie, chłopcze. Już coraz więcej zabudowań w okolicy, a w ogrodach zawsze znajdzie się sznur z rozwieszonymi na słoncu ubraniami. Ale najpierw chcę znaleźć się jak najbliżej mojego skarbu.

– Jak daleko jeszcze? – niecierpliwie zapytał Gavor.

– Ze dwa dni.

– W takim razie odtąd i ja spie tylko jednym okiem.

Botro unosił szydercze spojrzenie.

– Nie ufasz mi? Powiedz prawdę, boisz się, że kiedy będziemy już blisko, zostawię cię jak bezradne piskle i sam osiągnę cel naszej wędrowki.

– Właśnie tak, przyjacielu.

Mylisz się. Te podróże rozpoczęliśmy wspólnie i wspólnie ją zakończymy.

Chciałem cię tylko ostrzec – uscisł Gavor. – Jesteś sprytny, i to aż za bardzo. Z łatwością mogłbyś wywieść mnie w pole. Tak, mogłbyś spróbować zgubić mnie gdzieś w drodze. Ale odnalazłbym cię, nawet gdybym musiał ścigać cię na sam koniec świata i jedną ręką przetrzącałbym ci kark.

– Daj spokój – bronił się Botro. – Na mnie możesz polegać, jestem uczciwym rabusiem.

Schodzili kretą ścieżką, ledwie widoczną wśród ciągnących się w nieskończoność krzaków i może chcąc zmienić temat, Botro zaczął pleść jakieś głupawe historyjki.

Gavor stanowczym gestem przerwał mu w pół słowa. Ktoś wspinał się ścieżką w ich kierunku. Gavor i Botro zerwali się niczym dwa zające i zniknęli w gestych zaroślach.

Obok nich przeszedł z siekierą na ramieniu barczysty mężczyzna z siwą brodą i zaspanymi oczyma. Za nim podążał chłopiec: prowadził na krotkim sznurku szczeniaka, a z tyłu spodni zwisał mu sierpak do przycinania galezi.

Kiedy znaleźli się w pobliżu Gavora i Botra, psiak zaczął szczeleć i weszyć. Szczęściem chłopiec szarpnął go, pociągając za sobą.

– Idą po drzewo – szepnął Botro. – Ich chata musi być gdzieś blisko. Może już przed zmierzchem dostaniemy nowe ubrania

Odczekali chwilę i wyszli z zarośli, zbiegając ścieżką w dół.

Botro nie mylił się. Wiejskie chaty ukazały im się nagle, na skraju łąki, ledwie pół mili od nich, schłodzone i czerwone, jak złudzenie. A obok domu nieodłączny sznur suszących się ubrań.

– Miejmy nadzieję, że to nie same spodnice – zaśmiał się Botro, mruczając szelmowsko oczy.

■

Koszula była w sam raz, ale zbyt szerokie spodnie musiał podtrzymać uplecionym naprędce paskiem z łożyny. Natomiast na wychudzonego i suchego jak szczapa Botra ubranie, prawdopodobnie chłopca, pasowało doskonale.

Przez cały następny dzień posuwali się jeszcze na południe. Botro ponaglał, nie chciał nawet tracić czasu na złapanie paru ryb czy jakiegoś krolika, także i dlatego, że nierozważne wydało mu się rozpalanie w tych stronach ognia. Tego wieczoru musieli więc zadowolić się lesnymi jagodami i korzonkami.

Ale cel ich wędrowki był już blisko.

– Jutro będziemy na miejscu – zapewnił Botro. – O zmierzchu.

Na noc zaszyli się w krzakach czarnego bzu. Leżeli stykając się ramionami w niewielkim zagłębieniu terenu.

– Powiedz mi – odezwał się Botro, który wyjątkowo długo nie mógł zmrużyć oczu – jakim sposobem znalazłeś się w kamieniołomach Me-Ghir?

Tym razem Botro nie dotrzymał reguł. Nigdy nie należy pytać o przyczynę skazania. Można odczekać jedynie aż współtowarzysz sam zdecyduje się na takie zwierzenie, być może w wybuchu wściekłości Gavor też pozostawał skryty wobec wszystkich. A oto teraz Botro postawił mu bezpośrednie pytanie i trudno było odpowiedzieć wymijająco.

Spróbował je przemilczeć, wydając z siebie senne pochrząkiwania. Lecz Botro nalegał.

– Nie wyglądasz mi na zdolnego do nieprawości. Może kłusowałeś?

– Drobną sprzeczka – od niechcenia rzucił Gavor. – Coś jakbym za dużo powiedział na rynku w Kongarab. Trafili się paru strażników, z nimi jakiś pajacowaty oficer. Wystąpiłem w obronie starca, który chyba nikomu nie przeszkadzał. Słowem, skończyło się bijatyką i z miejsca mnie aresztowano.

– Nie trafia się do Me-Ghir z powodu jakiejś bijatyki – mruknął Botro.

– No tak... Skończyłoby się paroma dniami lochu. Ale strażnik wiezienny był wyjątkowo okrutny... Rzeźnik, który z upodobaniem pastwił się nad najsłabszymi więźniami, więc ja... A potem, nierozsądnie, próbowałem uciekać.

– Jasne – przerwał mu Botro – Właśnie tak, jak myślałem. Teraz spij chłopcze. Jutrzejszy etap, już ostatni, będzie długi i ciężki.

■

Przez cały dzień podążali na południe wzdłuż granicy Shillpan, pozwalając sobie na krótkie tylko odpoczynki, żeby posilić się znalezionymi jagodami i wybrać parę bażancich jaj.

Kiedy słońce dawno minęło już zenit, Botro zawahał się chwilę. Rozejrzał się wokół bacznie, stroskany wzrokiem obserwując krajobraz. Parę razy powracali do tego samego miejsca, próbując coraz to nowych ścieżek. Posuwali się tak, zygzakiem, ponad godzinę, aż wreszcie twarz rabusia rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Jesteśmy na miejscu – uradował się. – Teraz doskonale rozpoznaję to miejsce. To tutaj, w tych stronach zeszłej jesieni schwytali mnie siepacze. Ledwie zdążyłem ukryć zawiniątko w piwnicy zburzonego domu.

– Nie widzę tu żadnego zburzonego domu – zaśmiał się Gavor ledwie z krztą zrozumienia w głosie.

Pohamuj niecierpliwość, chłopcze. Za pół godziny będziemy na miejscu

pieczono owce wyłapywane w trakcie ich dzikiego najazdu, widział ruiny domostw czarne od dymu i ognia.

Natknął się na trupy czterech żołnierzy Khavla, leżących nie opodal strzeżonego przez nich awanportu. I dalej spalone pola, plony i uprawy, które przemieniły się w czarną magmę spienionych węgli.

Skrzyło go czarne skrzydło rozpacz, opadając na niego jak żałobny płaszcz.

Wydał przeraźliwy okrzyk wściekłości. Poderwał chmurę czarnych kruków, które obsiadły zwęglone ścierniska. Spał wierzchowca jak nigdy przedtem i Uciele Ucho morderczym galopem uniósł go w najbardziej ponure piekło.

Pędził cały dzień, nie stanął nawet na popas, nie posłał się żaden dotarcia do Thune przed zmierzchem, żywiąc w sercu nadzieję ostatecznego zwycięstwa wojaków Khavla i wycofania się Thungusów za płaskowzgórze, za pustynne ziemie, za Gorną Medinę.

A potem w oddali dostrzegł warownię w Thune. I ujrzał nagie drzewce chorągwi, ogolone z oznak i herbów i spowijającą blanki i baszty zniszczonego zamku gęstą, oleistą mgłą.

Serce waliło mu jak oszalałe, kiedy ukazał mu się ten obraz śmierci. Poza obrebem murów całe jedno zbocze doliny jawiło się jak otchłan usiana czarnymi stosami, gdzieś tam jeszcze dymiącymi. Tam, gdzie wznosił się jego dom, pozostała korona zmarszałych murów i zwęglonych belek, rozsianych w morzu popiołów.

Parę kobiet w czerni kreciło się wśród zgłiszcz i Gavor od razu zrozumiał, że chowają zmarłych. Zsiadł z konia ledwo trzymając się na nogach. Zobaczył spaloną stodołę, wypatroszony warsztat Obhera i Rakla, podsienie, pod którym stawiał pierwsze kroki pod baczynym okiem Hedryny, matki kochającej i łagodnej. I ujrzał w oddali dom Duny, po którym zostało pogorzelisko.

Chciał krzyczeć, ale coś twardego i gorzkiego ścisnęło mu gardło. Jedna z kobiet dostrzegła go – może nawet i rozpoznała, lecz potrząsała jedynie głową w desperackim i nieodwołalnym znaku zaprzeczenia.

Po cóż ją pytać. Kobieta, przerażona i skamieniała, owinięta szalem niczym całunem śmierci, nigdy, ale to nigdy, nie odezwałaby się, nieme pozostała też wszystkie inne.

★

– Pierwszy zginął twój ojciec – jakby śplewając mówił jego przyjaciel Sjebe. – Kiedy Thungusi spostrzegli jego skorzany fartuch i znak kowala nad wejściem, wzięli dwie podkowy i przybili mu je do rąk Hedryna była w ogrodzie i kiedy krzycząc wbiegła na podwórze, herszt Thungusów jednym cięciem szablą ściął jej głowę. Potem przyszła kolej na Obhera, który zdążył już długim szpikulcem i widłami zakłuc paru lajdaków. Wzieli siodło, nasmarowali je, na nim posadzili związanego postronkami Obhera i podłożyli ogień...

– A Agla? – zdławionym głosem pytał Gavor. – Jak skończyła moja siostra Agla?

Sjebe potrząsnął głową i zamilkł. Podsycający wołowym tłuszczem knot żarzył się w kącie lepianki. Na słomianym sienniku pod ścianą spał niespokojnie jego młodszy brat Thurno.

– Powiedz o Agli – nalegał Gavor. – Chcę wiedzieć wszystko...

– Wszystko już się skończyło – westchnął Sjebe. – Dlaczego chcesz zagłębiać sztylet w ranę? Miej litość nad sobą i nade mną, gdyż kochałem twoją siostrę.

Gavor schwył go za ramię i ścisnął tak mocno, że Sjebe niemal krzyknął

– Mnie przy tym nie było, mój druhu. Byłem o piec mil stąd, polowałem na kroliki poza terenami łowieckimi Khavla, nie miałem nawet możności przyjść im z pomocą. Wszystko co wiem, słyszałem z ust twojego brata Thurno, który, skryty za słomianymi belami podsieni, miał w sobie dość siły, żeby być przy tej rzezi.

– Opowiadaj – nieubłaganie powtórzył Gavor

Zdarli z niej ubranie i wbrew sobie ciągnął Sjebe zdławionym głosem – Gonili ją i przerzucali sobie po całym podwórze. I wreszcie, jeden z przywódców schwycił ją w poł, jedną ręką złamał jej kark i cisnął niby szmacianego stracha na wroble o mur warsztatu.

Gavor przesłonił dłonią oczy. Knot dogorywał, może kończył się już tłuszcz. Słabiutki drżący płomyk rzucił na ściany niewiarygodne cienie.

Powoli uniósł się na łokciu. Słońce stało już wysoko, a jego kon past się w pobliżu. Nadbiegł pies, z wywieszonym językiem i świecącymi ślepiami, ukrytymi za długą, kędzierzawą sierścią.

Było ich dwóch, niskich i owiniętych w grube szaty, ich nosy splaszczone, a twarze ogorzałe od słońca i wiatru. Gavor spoglądał na nich obojętnymi rozespanymi oczami, oni zaś odwzajemniali się podobnie znużonym spojrzeniem, skrywającym cien nieufności.

Barwna zieba przeleciała obok niego i może zwabiona połyskliwym przedmiotem, siadła na rekojeści porzuconego w trawie miecza Gavora.

Widząc to, Gavor usmiechnął się. Owczarze też zaczęli się śmiać, ukazując duże zęby.

- Bądź zdrow żołnierzu - powiedział jeden z nich. - Co robisz w tym odludnym miejscu, piekielnej ziemi owczarzy?

- Zmierzam do Thune - wyjaśnił Gavor i skłamał: - Wiozę pisma do zamku Khavla, od Hosplunda, pana Shillpan.

- Pospiesz się więc - radzili owczarze. - Pospiesz się, nim do Thune nie przybędą Thungusi.

- Thungusi zostali pokonani jak zawsze - zapewnił Gavor. - Odepchneliśmy ich na ich ziemię, za Shill-Gur.

Ale pojawili się tutaj, na południu. A my, aby uniknąć niebezpiecznych spotkań, opuściliśmy nasze pastwiska przy granicy i schroniliśmy się tutaj, w głębi regionu.

- Zbedna ostrożność - zauważył Gavor. - O tej porze roku, po obfitych deszczach, Bha-Gur przybiera. Thungusi są jak hieny pustyni, boją się wody...

Tak, ale dalej na południe rzeka jest wąska i brod staje się dostępny nawet dla hien. Jeśli podążasz do Thune, pospiesz się. Thungusi mogą zjawić się tam w każdej chwili.

Gavor nie dał im jednak wiary. Poprosił o mleko, przegryzł solonym miesem, dużym kawałem słoniny i chlebstwem chlebem.

Kiedy wyruszył w dalszą drogę, nie pozwolił koniowi na długie zrywy, do których Uciele Ucho był przywykły. Zmusił go do spokojnego chodu także i dlatego, że droga, którą zmierzał, sławała się coraz trudniejsza i bardziej obfitym zadrzewieniem. Przed sobą miał jeszcze dwa dni drogi i dla paru godzin wolał nie ryzykować upadkiem w przepaść, w której niechybnie skreciłby sobie kark.

Bha-Gur, w miarę jak Gavor podążał w górę biegu rzeki, sławała się weźsza, a jej nurt coraz łagodniejszy. Napotykał na miejsca, w których przekroczenie jej mogło być zadaniem łatwym nawet dla Thungusów, ludu niewprawnego w wyszukiwaniu brodów. Owczarze mieli więc sporo racji, ich niepokój okazał się całkowicie zrozumiały. Jednakże ludził się tysiącami wykretów, chcąc oddalić od siebie tę ponurą myśl.

Kiedy zapadła noc, rozstawił swój biwak w akacyjnym lasku. Zdjął z Ucielego Ucha ciężkie siodło i rozpalil niewielki ogień, bardziej z nawyku niż potrzeby: nie czuł chłodu, posiłku też nie musiał przygotowywać. Probował usnąć, ale sen okazał się jak zapomniane imię, które już, już znajduje się na czubku języka, lecz umyka w nicość, przytłoczone innymi obrazami i wizjami.

Czuł do siebie wstępl za to, jak potraktował wędrownego śpiewaka. Groził mu wręcz śmiercią i to tylko dlatego, że tamten, nieswiadom niczego, zasiał niepewność w jego sercu. Wystarczy więc przypasać miecz do boku, żeby ulec demonowi pychy i przemocy?

Noc spędził bezsenność, słuchając śpiewu nocnych ptaków i odgłosów małych zwierząt, które z cierpliwym sapaniem buszowały po lesie, weszac za odpowiednim lupem lub czmychając przed napastnikiem. A w głowie kołatały mu się myśli, które w innych okolicznościach uważałby za nieistotne i białe. Nie chciał myśleć o Thungusach: ci zachłanni niczym szakale koczownicy nie zapuścili się przecież nigdy tak daleko na południe, powstrzymywani być może przez strzegące ziem południowych zaręczne oddziały opłacane przez kupców z Górnej Medyny. Thune, położone wewnątrz regionu, jak zwykle powinno być bezpiecznym miejscem.

Już następnego dnia, kiedy jeszcze zaspany dotarł nad wielkie zakole Bha-Gur i ujrzał mglisty brzeg rzeki zryty śladami konskich kopyt, wstrząsnął nim przeciągły dreszcz. Miał przed sobą bezsprzeczny dowód, że Thungusi w tym właśnie miejscu przeprawili się przez rzekę, zmierzając z pewnością w głąb regionu. Widział ślady ognisk rozsiane po całej okolicy, resztki zainspirowanych obozowisk, na których

Wkrótce, jakby zaczarowane, ukazały się im mury domu, wyrastając z nad krzaków jeżyny i dzikiej gruszy.

Dach wyglądał, jakby od lat był zwałony, mury wyszczerbione i popękane, po oknach pozostały jedynie otwory, sterty gruzu dumnie porastał osel i jedynie węże przeslizgiwały się wzdłuż nasłonecznionych murów.

Dawniej była tutaj strażnica i komora celna - wyjaśnił Botro. Każdy podążający do Shillpan musiał tu opłacić cło.

- Dość tej gadaniny, przyjacielu. Zakasuj rekawy i rozkopuj to, co zakopałeś. Chcę odzyskać mój amulet.

Gavor przysiadł niedaleko, podczas gdy Botro na kolanach rozgarniał kamienie i ziemię, pogwizdując jak skowronek.

- Mam! - zawołał wreszcie.

Podniósł się z niewielkim zawiniątkiem z czarnego płotna. Rozwinał je szybko i w jego dłoni zabłysnął sztylet.

Gavor znajdował się o cztery łokcie od niego. Wzrok utkwil w skierowanym przeciw niemu ostrzu, nieruchomym i groźnym.

Mogłbym cię zabić - powiedział Botro przez zacisnięte zęby - i pozwolic, żeby twój trup gnil pomiędzy tymi murami, aż rozszarpałyby go sepy. Lecz Botro zawsze dotrzymuje słowa.

Rabus cofnął sztylet i wsunął go za koszulę, po czym rzucił pod nogi Gavora płócienne zawiniątko.

- Bierz co twoje, nim się rozmyślę.

Gavor rozwinał zawiniątko. Była tam garsc srebrnych monet i dwie sztuki złota, a także amulet.

Wziął swój wisiolek, potarł go palcami o koszulę, żeby nabrał połysku i zawiesił sobie na szyi.

- Wez też jedną złotą monetę - zachcił rabus.

- Za Homera i miedziaki, które mi zabrales na drodze do Tharab, wystarczą. Dwie sztuki srebra. Biorę to tylko, co należy do mnie.

- Jak chcesz - zaśmiał się Botro. - O niecałą godzinę marszu znajduje się wioska. Jest tam gospoda z winem, dobrym żarciem i pięknymi kobietami. Chodź, chłopcze. Idziemy się zabawić.

- Nie. Ja przekroczę granicę i ruszam do Shillpan, może tam znajde to, czego nie znalazłem w Kon-garab.

Jak chcesz - powtórzył Botro. - Nasz pakt konczy się tutaj i nawet tego żałuję. Ale to może lepiej. Ja jestem rzeźmieszkim, który napada i ograbia podróżnych. Moim domem są drogi, a moją rodziną banda. Myślę, że podaje w dot, do Bhakry i tam zadbam o to, żeby ściągają mnie ze wszystkich stron pielgrzymom było łatwiej. Ty zaś jesteś niewinny jak gołębia, uczciwy i czysty, mój przyjaciel, twoim losem jest naprawianie zła, a drogie wskazują ci obłoki i wiatr...

Dłonią musnął go po policzku, gestem niemal ojcowskim.

- Powodzenia, Gavor!

Nim zdolał odwzajemnić pozdrowienie, Botro zsunął się na drugą stronę zwałonych murów i już wspinał się zwinnym krokiem kozic. Gavor patrzył za nim, aż rozplynął się w oparach zachodu słońca i zniknął w oddali.

I naraz pozostał sam ze swoją niepewnością.

Rozdział XVI

Pod koniec wiosny wszystkie wody otaczające krainę Shillpan wezbrały gwałtownie i toczyły się wartko, przewalając wzdłuż brzegów kamienie, porywając z nurtem na wpol zanurzone galezie, żółtą glinę i kępy traw, niosąc to wszystko nie wiadomo skąd.

Ponad spienioną wodą zawisła ułotna, jasnająca tysiącami kropel mgielka, wokół rozciągały się dziewicze ziemie, mieniające się złotem i rubinową czerwienią jak sztandary wszechwładnego Hosplunda, władcy ludzi, pól, osad i stad.

Na polach złotem jasniało dojrziałe zboże, a czerwienią - gorejące kwiaty maków, którymi usiana była równina. Na sztandarach zaś złoto skrzyło się na zawieszonym w gorze hełmie. Poniżej, po lewej stro-

nie, mienili się lłkane czerwienią fale: rzeka krwi symbolizująca bezwzględne okrucieństwo wojsk władcy Shillpan.

Shillpan było właściwie wyspą: od północy toczyła wody Wielka Rzeka. Jej regularne wylewy niosły warstwy ciemnego mułu, który czynił te ziemie niebywale żyznymi.

- Wystarczy, że spluniesz, przyjacielu, a w Shillpan wyrosnie drzewo! - z dumą mówił mu Hozas, człowiek, którego spotkał w Kongarabh.

Na wschodzie płynęła Shill-Gur, od której wzięła nazwę stolica regionu. Niebywale ilości wody, jakie niosła przez tysiąclecia ukształtowały jej koryto niezwykle wyraziste, a ze szczytów wzgorz jej kręty, gigantyczny wąwóz wyglądał, jak ślad po tajemniczej bestii, która w dawno zapomnianych czasach przesuwała się tedy, znacząc drogę skamieniałą wydzieliną.

Na południu - ogromne jezioro Bhakra, znane z gwałtownych burz, dostarczało doskonałych ryb i legend wszystkim mieszkańcom krainy.

Od zachodu, w miejscu, w którym znalazł się Gavor, Phane-Gur uzupełniała krąg wodny otaczający Shillpan.

Żyzne plony oraz stada bydła stanowiły przynętę dla zachłannych hord barbarzyńców, dlatego też żadna inna kraina nie szczyciła się tak skutecznym systemem fortyfikacji jak Shillpan. Lecz umocnienia z samej ich natury zależne były od por roku: zimą i do późnej wiosny stanowiły zapórę nie do przebycia; natomiast latem, kiedy wody wysychały, granice Shillpan nie były już tak bezpieczne. Wówczas to każdy brod i każdy most, wiodący do serca regionu, obsadzany był zbrojnymi drużynami i dopiero po długiej, żmudnej procedurze oraz po opłaceniu myta można było przekroczyć granice terytorium. Pomnożone zostały w ten sposób fortuny całych już pokoleń przemysłowców, którzy zawsze potrafili znaleźć sposób, żeby przedostać się potajemnie, unikając urzędowej opłaty.

Gavor nie silił się nawet na to, by chytkiem wejść do miasta. Stawił się na jednym z obsadzonych wojskiem przejść i, o dziwo, został natychmiast wpuszczony, bez uiszczenia najmniejszej opłaty. Żołnierze, siedzący w niedbałych pozach obok drewnianej strażnicy, która miała stanowić jako takie schronienie przed kapryśnymi pogody, toczyli leniwe rozmowy, zując zdzbia słomy, spadające z kopyta naladowanych wozów, polerowali groty pik, probowali ostrze mieczy, napinali luki. Na byle jak skleconych podporach prowizorycznej strażnicy tkwiły przygwożdżone setki jaszczurek, z oczami zapadniętymi wewnątrz małych ciałek, zesztywniałych i zasuszonych w śmierci.

Lucznik, stojący na blankach baszty, dawał znak żołnierzom, kogo mogą przepuścić, z kogo ściągnąć opłatę, a kogo odesłać ma być z powrotem.

O dziwo, wszyscy mężczyźni, a zwłaszcza młodzi, bezkarnie wpuszczani byli do miasta, podobnie wozy ze zbożem i wszelkim prowiantem, a także kupcy z towarami; wysokie cło pobierano natomiast od całych rodzin, a jeśli przeważały kobiety lub dzieci, były one zmuszane do odwrotu.

I był to pierwszy znak, że dzieje się tu coś nienormalnego.

Drugim była ogromna ilość zbrojnych, sprężystym krokiem przemierzających wszystkie drogi.

A trzecim - samo Shillpan: miasto zdało się wrzącym, przepojonym trwogą mrowiskiem.

Gavor, ledwie znalazł się w mieście, spostrzegł wszechobecną panikę, nawet malenkie ciała jaszczurek, które z przerażającą stałością zdobiły wszystkie drzwi i wrota, świadczyły o dziwacznych ofiarach, składanych dla prześlągnięcia jakiegoś kapryśnego bóstwa.

- To boga letnich wód musimy sobie zjednać - wyjaśnił mu jakiś starzec, kiedy spostrzegł jego pełne zdziwienia spojrzenie. - Zwykle służą temu ofiary ze świni i jagniąt, lecz wówczas bóstwo umiera z niepożamowanego pragnienia. Jeśli natomiast posilac się będzie jaszczurkami, nie będzie miał takiego pragnienia i nie wypije całej wody z naszych rzek, jak czyni to zazwyczaj. Potrzebujemy dużo wody tego roku, bo mówi się, że Thungusi już ruszyli.

Nazwa ta groźnym echem pobrzmiwała w ciepłym powietrzu miasta.

- Choć przecież - ciągnął starzec, potrząsając głową - po tylu bezskutecznych próbach powinniśmy już wiedzieć, że na bogów nie wpłyną żadne ofiary, czyni ani prosby ludzi.

- Dlaczego więc? - zapytał Gavor, wskazując na małe, zasuszone zwierzątka.

Starzec zaśmiał się.

Gavor załrzymał się urzeczony. Ale słowa pieśni były niewyraźne. Wszedł więc do gospody; muzyka i śpiew ustały natychmiast. Zażądał dzbaną winą.

Karczmarka, chuda i niska kobieta, niemal karlica, obsłużyła go, wyraźnie strwożona jego barchystą postacią i wiszącym u boku mieczem.

Trzy zapalone świece rzucały niepewny blask i Gavor nie zdołał rozróżnić wśród nielicznej grupki gości śpiewaka i muzykanta. Wszyscy zamilkli i znieruchomieli, jakby zmrożeni jego nagłym wtargnięciem.

- Na drodze słyszałem piękny głos i dobrą muzykę. Chcę jeszcze raz posłuchać tej pieśni - rzucił Gavor.

Ktos odwrócił się i świeca rozjaśniła jego suchą i gładką twarz. Na chwilę uniósł się też drugi mężczyzna, z przewieszonym tablą i pustym wzrokiem blakającym się po suficie rudery.

Gavor rozpoznał ich z miejsca: byli to wędrowni śpiewak Mhuma i jego niewidomy towarzysz, których spotkał w gospodzie Daimy i Hibli, w Kusko-Ghoreb, wkrótce po wyruszeniu z Thune. Rozpoznał ich natychmiast, ale nie zdradził się z tym.

Przechylił dzban i czekał w milczeniu, podczas gdy ślepiec przebiegał palcami po instrumencie, szukając odpowiednich dźwięków. Po chwili w pomieszczeniu rozległ się łagodny i mocny głos Mhumi:

Duna mówiła głosem zmęczonym
nieszczęsny miły mój, dokąd wyruszysz,
księżyc po cóż uczyniłeś białym,
nieszczęsny miły mój wszystkó utracisz,
Piękna, on mówił płacząc,
biel jego odnajde,
Duna, dla ciebie jedynie,
Duna, powrocie...

Ale nie wracasz, mnie strapioną rzuciłeś,
nieszczęsny, miły mój, co czynić mi,
księżyc białym po cóż uczyniłeś,
nieszczęsny, miły mój, umrzeć przyjdzie mi...

- Dość! - krzyknął Gavor unosząc się gwałtownie. Utkwił w śpiewaku ostre, złowrogie spojrzenie. Opuścił swoje miejsce i zbliżywszy się do Mhumi schwył go za ubranie.

- Gdzie nauczyłeś się tej pieśni? Mów, psi synu, jeśli nie chcesz, bym przeszył cię mieczem.

Mhuma spuścił oczy.

- Jestem tylko wędrownym śpiewakiem - powiedział drżącym głosem. - Słucham tego, co mówią ludzie, a potem układam moje ballady. Jestem włóczęgą, artystą, chcę jedynie rozweselać, bez urażenia kogokolwiek. Jeżeli moja pieśń ci się nie spodobała, proszę o wybaczenie...

Gavor pusił go. Grający na tabli był ślepy i z pewnością go nie rozpoznał. Podobnie i Mhuma, który latem tego wieczoru był zupełnie pijany.

Zapłacił i wyszedł w samym środku nocy. Aż do świtu popędzał konia po niekonczących się ścieżkach, wrzosowiskach i łąkach. Galop konia zlał się z rytmem pieśni wędrownego śpiewaka Mhumi. Słowa ballady smagały go niczym bicz lub jak bezlitosne pchnięcie sztyltem i kołatały mu się w czaszce, ostre i twarde jak kamienie, które wyrastały nagle pod kopyłami Uciatego Ucha.

Pierwsze promienie słońca zastały go wciąż na grzbiecie wierzchowca, ale Uciete Ucho nie reagował już na jego popędzanie. Kon załrzymał się nagle, zarzał przeciągle i zwałił się w trawę, wyczerpany.

Znużony snem Gavor powoli zsunął się z siodła i leżał na zroszonej trawie, z głową i ramionami złożonymi na boku spoconego konia.

Rozdział XXII

W oddali poszczekiwanie psów. Nawoływania i pogwizdywania owczarzy, uporczywe i jednostajne beczenie stada wszędzie wokół. Gavor otworzył oczy, przebudzony wilgotną i słodkawą pieśczęcią kozy, która liżała go po twarzy.

Czytelnicy i „Fantastyka”

Trzeci sondaż opinii Czytelników miał jedynie charakter ankiety, podsumowującej nasze działania w roku 1986. Jego wyniki, przypadające na pięciolecie naszego pisma, są jednak o tyle ważne, że to ostatnie wnikliwe spojrzenie wstecz przed wkroczeniem w nowy okres, w czasie którego będziemy próbowali poszerzać krąg naszych odbiorców, wydając obok macierzystego pisma dwa samodzielne dodatki: „Małą Fantastykę” i „Komiks-Fantastykę”.

Byliśmy w związku z tym, nowymi perspektywami ciekawi, czy mimo ograniczonego nakładu pisma zdobywamy nowych Czytelników, co wbrew pozorom jest jednak możliwe, gdyż wiele osób – nie mogąc dostać w kioskach czy w prenumeracie egzemplarzy „Fantastyki” – nabywa je we własnym obiegu, czy też korzysta z czytelni bibliotecznych. I oto okazuje się, że nasze przypuszczenia były trafne. Wiele uczestników naszego sondażu pisało, że czyta „Fantastykę” zaledwie od roku, dwóch i nie znając naszych pierwszych numerów stara się je zdobywać w antykwariatach, przez wymianę lub na różnych giełdach czy pchlich targach. Byli to najczęściej bardzo młodzi ludzie. Jeden z respondentów pan Ireneusz Materniak, napisał: „Tematyka pisma wciąga zarówno dorosłych, jak i młodzież, chwala Wam za to, że dzięki „Fantastyce” największych wrogów czytania w klasie, której je stem wychowawcą udaje się namówić do przeczytania chociaż komiksu, a potem już sami dobijają się o resztę”. To cieszy!

Z radością stwierdzamy też fakt stałego powiększania się grupy chętnych do uczestniczenia w naszych sondażach. W odpowiedzi na pytania ankietowe, ogłoszone w numerze 12/86 nadeszło 1366 listów. Dziękujemy! Przypomnijmy, że w pierwszym sondażu uczestniczyło 379 osób, a w drugim – 768.

Wśród naszych respondentów większość, aż 91%, to przedstawiciele płci brzydkiej (sondaż I – 92%, sondaż II – 89%). Jak widać, proporcje panowie – panie są ustalane. Natomiast osób w wieku do 20 lat jest więcej niż uprzednio – ok. 61% (I sondaż – 52%, II sondaż – 58%). Wydaje się więc, że we właściwym momencie ruszamy zarówno z „Małą Fantastyką” jak i „Komiksem-Fantastyką”.

Podobnie jak to odnotowują sondaże zagraniczne, a także nasze poprzednie, czytają nas głównie ludzie uczący się lub ci, którzy osiągnęli co najmniej wykształcenie średnie, jest także sporo z wyższym. Aż 58% respondentów zdobywa wiedzę przede wszystkim za pomocą szkół średnich – 38% (ponadto studenci wyższych uczelni – 7%, uczniowie szkół podstawowych – 10%, uczniowie zasadniczych szkół zawodowych – 3%). Pozostali – czyli 42% Czytelników to pracujący (w bardzo różnych zawodach – od robotników po profesorów akademickich). Wśród pracujących 57% ma wykształcenie średnie, a 26% – wyższe. Lektura SF, wymagająca pewnego przygotowania, pewnych tradycyjnych podkładów w postaci wiadomości z dziedziny nauki, sztuki i literatury, nie musi być więc utrzymywana przez nas jedynie na poziomie rozrywki. Tak, nasi Czytelnicy nie boją się trudniejszych i ambitniejszych lotów tej nowej fali pop-romantyzmu ogarniającej świat.

Z sondażu ponownie wynika, że „Fantastyka” to przede wszystkim lektura osób z miast dużych i średnich. W miastach liczących ponad 100 000 mieszkańców mieszka ok. 51% odpowiadających na ankietę, a w miastach zamieszkałych przez 21 000–100 000 osób – ok. 22%. W miasteczkach i na wsi tylko po 13%!

Świadczy to o różnych ciągach jeszcze potrzebach cywilizacyjnych i kulturowych naszych miast i wsi, ale także i o różnicach w dostępie do zjawisk kulturowych i cywilizacyjnych w dużych i małych ośrodkach naszego kraju. **Model kulturowy,**



SONDAŻ III wyniki!

Adam Hollanek
Krzysztof Szolginia

wy, jak z tego zdale się wynikać, proponowany przez telewizję czy radio, jeśli taki model w ogóle istnieje, co nie wydaje się pewne, nie oddziałuje w wystarczającym stopniu na usuwanie dysproporcji kulturowych i cywilizacyjnych. Oczywiście przykład fantastyki nie jest w pełni adekwatny, w pełni tłumaczy te wszystkie sprawy, ale sygnalizuje problem dość ważki w skali ogólnopolskiej. Pan Adam Landowski pisze na przykład: „Jestem mieszkańcem wsi i mam skromnym zdaniem dysproporcję wśród czytelników ze wsi i z miasta mają przyczyny głębsze niż niewłaściwy kolportaż pisma (...). Wiąże się to między innymi z wykształceniem. Większość mieszkańców wsi to ludzie z ukończoną szkołą podstawową lub zawodową, a takich wśród czytelników „Fantastyki” jest bardzo mało. Również dostęp do ciekawej książki (nie tylko SF) jest bardzo utrudniony. Biblioteki i księgarnie, o ile już są, to bardzo źle zaopatrzone (...). Przyczyną może być też życie kulturalne. Jedyną rozrywką dla większości mieszkańców wsi jest telewizja. Wśród moich kolegów są tacy, którzy od skonczenia szkoły nie przeczytali ani jednej książki, w kinie byli tylko na „Wejściu smoka” a koło teatru tylko przechodzą...”

Mimo że czas przeznaczony na nadsyłanie odpowiedzi był krótszy niż przy II sondażu, zdażyło do nas dotrzeć (podobnie jak rok temu) listy od Czytelników spoza kraju (ok. 1% naszych respondentów). Ponownie najwięcej korespondencji nadeszło z Czechosłowacji, ponadto z ZSRR, Bułgarii, Holandii, NRD, Szwecji i USA. Dziękujemy! O tym, że „Fantastyka” wyszła, mimo twardej bariery językowej, poza granice Polski –

Wśród biorących udział w III Sondażu rozlosowaliśmy gry i książki SF, które wysłaliśmy pocztą. Oto wylosowane nazwiska: Paweł Badiński z Leszna, Marcin Konrad Dębicki z Marzęcina, Maciej Dubicki z Łobza, Dariusz Jakubisiak z Warszawy, Katarzyna Klekisz z Poznania, Barbara Konarska z Koszalina, Peter Kurul ze Słwitu (CSRS), Barbara Ligeza z Łodzi, Marian Nagano wicz z Włocławka, Grzegorz Niedbałk z Krakowa, Adam Osadziński z Poznania, Grzegorz Piechota ze Świdnicy, Sł. Jacek Pogorzały z Terespoła, Jarosław Sosnowski z Węgorzowa, Roman Zaleski z Wałbrzycha.

świadczą zarówno liczne nagrody międzynarodowe (o najnowszych w tym numerze także piszemy), jak i na przykład oświadczenie przewodniczącego obrad pisarzy z 32 krajów na światowym Kongresie w Moskwie, poświęconym „science fiction i przyszłości człowieka”, że „miesięcznik literacki „Fantastyka” należy do najlepszych tego typu czasopism na tym globie”. Nie chwalimy się – cytujemy jedynie.

Interesujące rezultaty przyniosły odpowiedzi na pytanie: Ile osób poza Tobą czyta ten sam egzemplarz „Fantastyki”? Otóż 35% respondentów nie pożyczają swego pisma nikomu (wiele uwagi boje się, że do mnie nie wrócą). 33% odpowiedziało, że ich egzemplarz czyta jeszcze jedna osoba, 19% – pożyczają swój numer jeszcze dwóm osobom, 8% – trzem, a 5% większej liczbie osób (rekord 35 osób!). Oznacza to, że na jeden egzemplarz przypada co najmniej 2,15 czytających. Przy obecnym nakładzie 150 000 daje to liczbę 322 500 Czytelników, a są przecież jeszcze tysiące bibliotek i czytelni oraz CI, którzy chcieliby nas czytać, a nie mają żadnej możliwości zdobycia pisma!

Zanim przejdziemy do szczegółów, musimy powtórzyć to, o czym pisaliśmy w zeszłym roku, że kryteria Czytelników oscylują w skali wartości: „podoba się – nie podoba” (tak zresztą były postawione pytania) i w ocenach tych brakuje skali o s c i literackiej czy plastycznej. Nie wszystko bowiem, co się podobało, jest rzeczywiście bardzo dobre i nie wszystko, co się nie podobało, jest naprawdę złe. Ponadto trzeba brać pod uwagę fakt, że ostateczne wyniki sondażu są jedynie wypadkową bardzo zróżnicowanych gustów. Inaczej zresztą być nie może, co innego zapewne podoba się naszemu najstarszemu respondentowi (68 lat, wykształcenie wyższe humanistyczne) a co innego najmłodszemu (11 lat, uczeń szkoły podstawowej). Te same pozycje były wymieniane przez jednych jako najlepsze, a przez innych jako najgorsze!

W wynikach tego i poprzedniego sondażu zauważyliśmy pewną różnicę. Tym razem znalazły się superprzeboje, które skupiły bardzo wiele głosów, np. na najlepsze opowiadanie zagraniczne głosowało aż 54% respondentów (rok temu numer 1 na liście zebrał tylko 9%), na najlepsze opowiadanie polskie – 46%, rok temu numer 1 – tylko 12%) a na najciekawszy artykuł krytyczny padło aż 44% głosów.

Musimy też stwierdzić, że wybory dokonane w poszczególnych kategoriach przez naszych Czytelników wydają nam się dojrzalsze niż do konywane w poprzednich odpowiedziach na ankiety sondażu pierwszego i drugiego. Przekonajcie się Państwo sami!

Autorzy roku 1986

Czytelnicy mieli wymienić po 3 nazwiska autorów polskich i zagranicznych, których teksty (powieści, opowiadania, artykuły, felietony, recenzje itd.) zamieściliśmy na naszych łamach w 1986 r.

Autorzy polscy (wymieniono aż 51 nazwisk): 1. Maciej Hłowiecki (557 głosów, tj. około 41% respondentów), 2. Janusz A. Zajdel (471), 3. Andrzej Sapkowski (376), 4. Marek Oramus (292), 5. Maciej Parowski (266), 6. Włodzisław Różyccki (167), 7. Andrzej Ziemiński (159), 8. Rafał A. Żemkiewicz (142), 9. Sławomir Mil (141), 10. Adam Hollanek (125). Pozostali uzyskali poniżej stu głosów, a przewodzą im Witold Opaliński, Andrzej Urbanczyk i Jan Witold Suliga.

Zwraca uwagę fakt, że autor felietonów popularyzujących naukę wyprzedził wszystkich autorów opowiadań. Ponownie uhonorowanie Macieja Hłowieckiego (rok temu, również pierwszy, zebrał 38% głosów), świadczy o tym, że czytają nas ludzie przygotowani na przyjęcie problemów naukowych i tego typu problematyki spragnieni. Postaramy się stopniowo – tak żeby nie zubożyć jednak strony literackiej pisma – rozwinąć dział nauki, co jak nam się wydaje, stanowi jedno z podstawowych życzeń Czytelników.

Zaskakuje też błyskawicznie wtargnięcie do pierwszej dziesiątki debiutantów Sapkowskiego i Różycckiego. Miejmy nadzieję, że nie będą oni gwiazdami jednego sezonu.

Autorzy zagraniczni (wymieniono 38 nazwisk): 1. Harry Harrison (1034 głosy, tj. ok. 76% respondentów), 2. George R.R. Martin (506),



lorowaliście Siudmaka, farby brakło? (Bernard Kiślak z Kielc)

Dobry i ciekawą kolorystycznie wydała mi się okładka z numeru 12/51 autorstwa M.K. Zalejskiego. Bardzo często brakuje mi na okładkach „Fantastyki” koloru. Mocnego, soczystego koloru. Nie wiem, czy z winy projektanta, czy drukarni ale okładki często robią wrażenie szarych, a przez to nieciekawych... (Bożena Kryżowska-Sołtyś z Katowic)

Nie podobała mi się okładka nr 12/51. Być może to i sprawne warsztatowo, ale budzące niechęć, żeby nie powiedzieć – odrazę. Nie umieszczajcie na tytułowej stronie takich rzeczy. To już wolę tego Czecha... (B. Kręzofek)



SONDAŻ IV

„Fantastyka” w roku 1987

Zapraszamy do kolejnej oceny „Fantastyki”. W przypomnieniu sobie wszystkiego, co mogliście Państwo przeczytać od stycznia do grudnia 1987 r. pomoże drukowany na str. 63–64 spis treści całego rocznika.

I. W roku 1987 najbardziej podobały mi się (proszę wymienić po jednej pozycji w każdym punkcie)

- a) powieść
- b) opowiadanie zagraniczne
- c) opowiadanie polskie
- d) artykuł krytyczny
- e) pozycja z działu „nauka i SF”

- f) „galena”
- g) i okładka pisma

II. W roku 1987 najbardziej nie podobały mi się (proszę wymienić po jednej pozycji w każdym punkcie).

- a) powieść
- b) opowiadanie zagraniczne
- c) opowiadanie polskie
- d) artykuł krytyczny
- e) pozycja z działu „nauka i SF”
- f) „galena”
- g) i okładka pisma

III. Najlepszy numer „Fantastyki” w roku 1987:

IV. Najgorszy numer „Fantastyki” w roku 1987:

V. Ulubieni autorzy (proszę podać maksimum po 3 nazwiska autorów polskich i zagranicznych, których materiały – powieści, opowiadania, artykuły, felietony, recenzje, itd. – zamieściliśmy w roku 1987).

a) polscy

leżna od wieku i od wykształcenia) ujawniała się najostreż w przypadku utworów nieco trudniejszych w odbiorze – będących czymś więcej niż czystą rozrywką

Artykuły krytyczne

Zgłoszono 46 tytułów materiałów krytycznych (e szejów szkiców dyskusji, recenzji). Oto czołówka: 1. Maciej Parowski – „Gremlin-ssy atakują!!!”, nr 9 (600 głosów tj. ok. 44% respondentów), 2. „Szesciu egzorcystów” (poematy z Markiem Oramusem) nr 12 (165), 3. Stefania Beylin – „Ofiary tasyce basn” nr 8 (81), 4. Adam Holianek – „Lem – geniusz na miarę epoki” nr 3 (79), 5. Pogranicza, manowce perspektywy SF (dyskusja), nr 7 (38), 6. Jerzy Jarzembki – „Diariusz iga rza”, nr 5 (34).

Najwięcej zastrzeżeń wzbudził natomiast artykuł Joanny Russ – „Ku esetyce fantastyki naukowej”. Ze 126 głosami (tj. ok. 9% respondentów) znalazł się on na pierwszym miejscu listy krytycznych minusów (łącznie zgłoszono tu 54 tytuły).

Jak widać w pamięci utrwalają się raczej większe artykuły niż recenzje. Ponadto Czytelnicy preferują pozycje pisane przez publicystów, a nie przez uczonych. Dotyczy to zresztą nie tylko działu krytyki, lecz także działu nauki. Nasi uczeni zdają się przemawiać nawet w swych popularnych publikacjach językiem nabytym hermetycznym dla współczesnego czytelnika. Zjawisko to znane jest zresztą w literaturze popularyzatorskiej na całym świecie. Dlatego na przykład, jak kiedyś informowali polskich popularyzatorów redaktorzy pisma o tak wysokiej renomie jak „Scientific American” zespół ten pracuje prawie anonimowo, koncentrując się głównie na uzgodnionych z autorami prac naukowych przeróbkach ich tekstów, takich przeróbkach, żeby nie spłycały i nie zniekształcały treści, lecz przekazywały je w formach słownych dla czytelnika.

W wielu wypadkach, jak wynika z naszego sondażu Czytelnicy „Fantastyki” w swych ocenach materiałów krytycznych – publicystycznych

kierowali się raczej sympatiami do omawianych utworów, nie zaś samymi ocenami ich wartości.

Nauka i SF

Odział nauki jest bardzo wysoko oceniany przez naszych Czytelników. Aż 505 osób, czyli ok. 37% respondentów nie znalazło w nim żadnego złego tekstu (a wydrukowaliśmy ich 18) lub stwierdziło wprost: „wszystko dobre” (rok temu takich odpowiedzi było 22%). Jak można się było spodziewać, najwięcej głosów (992 tj. ok. 73%) padło na teksty i w roku 1986 było ich 9) najpopularniejszego autora „Fantastyki” – Macieja Parowskiego. Na liście plusów zajął on cztery, pierwsze miejsca: 1. Całość cyklu „Z tamtej strony lustra” (296 głosów tj. ok. 22% respondentów), 2. „Wampiry”, nr 6 (253), 3–4 „Zabójce z mro” nr 5, oraz „Coś w kosmosie” nr 11 (po 123 głosy). Kolejne pozycje: 5. Arnold Mostowicz – „Co kryje zwoje z Qumran” nr 3 (119), 6. Zbigniew Dworak – „Wykopaliska pozaziemskie w SF” nr 8 (112).

Za najłabszy (czy też może najmniej interesujący) uznano tekst Amity Goswami „SF, nauka, nauczanie” (209 głosów tj. ok. 15% respondentów).

Galeria

Czołówka: 1. Wojtek Siudmak nr 2 (607 głosów tj. ok. 44% respondentów), 2. Muzeum kosmicznych wraków, nr 6 (361), 3. Figury niemożliwe, nr 3 (163), 4. Jim Burns nr 5 (91). Te cztery wystawy w naszej „galerii” skupiły niemal 90% głosów! Wojtek Siudmak był poza konkurencją, ale już na drugim, trzeciej pozycji są „galerie” tematyczne grupujące prace nie jednego, lecz po kilku różnych autorów. Znalazły więc swoje liczbowe potwierdzenie opinie niektórych uczestników sondażu, że prezentacja „galerii” indywidualnej powoduje pewną monotonię plastyczną w numerze.

Najmniej podobały się zestawy prac Jacka Kawalerowicza (nr 8 – 689 głosów, tj. ok. 50% respondentów) oraz Alberta Robidy (nr 10, 223 głosy).

Dokonczenie na następnej stronie

„Fantastyce” przeczytało je blisko 35 osób” (Krzysztof Heller z Poznania).

„Piaseczniki” były bardzo na czasie (określanikuty wypoczynku) i tak odprężające, w przeciwnieństwie do niewątpliwie bardzo dobrego „Kompleksu Hobo” M. Oramusa – tak niewąciacyjnego, trudnego dla wielu odbiorców, zwłaszcza dla tych młodszych czy mniej zaangażowanych. Popuscicie nam trochę w czasie wakacji” (Lucyna R. Malina z Krakowa).

Może wreszcie – coś drgnęło” w polskiej fantasy. Po dość miernych próbach Jacka Piekary i Andrzeja Drzewińskiego wreszcie trochę literatury wyższych lotów. Może by namowić autora „Wiedźm” na zajęcie się całą seną przygod Geralt’a. (Marek Cieślak z Łodzi).

Mam do Waszej Redakcji ogromną prośbę. Przesyłam w liście 1000 złotych dla pana Andrzeja Sapkowskiego, który oczarował mnie opowiadaniem „Wiedźm”. Proszę Redakcję o przekazanie tej sumy. (Rafał Wiemann z Poznania).

Przede wszystkim utwory z roku 1986 są okropnie poważne, opisujące przeważnie DRRRAMATY, CIERRAPIENIA I BOÓÓLE. Pamiętam że na początku, w 1983 r. drukowaliśmy takie rzeczy jak „Duch V” czy „Elemelek” (absolutnie doskonały). Teraz oferujecie mi tylko gęsią skórę przy czytaniu albo włosy stojące dęba, a ja mam tego

dość i chce się trochę posmacić. (Agnieszka Szprkołł).

O krytyce

Najmniej mi się podobał artykuł Joanny Russ „Ku esetyce fantastyki naukowej”. Jest to rzecz napisana dla innych krytyków, zbyt specjalistyczna, mało zrozumiała dla przeciętnego czytelnika. (Mirosław Wikowski ze Złocieńca).

Niektóre artykuły są nie do strawienia, tak są profesjonalnie napisane. Skoro musi być – OK – tylko nie tak dętwo. Przeciintelektualizowany język takich artykułów odstrasza od nich, a nie zachęca do czytania. (uczeń technikum w Chrzanowie).

Pozostate kartki są tak nudne jak „Powrót do Eden” czy „Niewolnica Isaura” (R. Wiemann).

Artykuł „Gremlin-ssy atakują!!!” M. Parowskiego wywarł w moim prywatnym plebiscyście dlatego że zgadzam się z zarzutami pana Parowskiego. Nie każdego przecież stać na magnetowidy i kasety, więc obejrzyć dobry film SF. (A. Pelikan z Polanicy Zdroju).

Czy podzieliacie Państwo te opinie o „Fantastyce”? Na pewno nie wszystkie! Ale przecież każdy może pozostać przy swoim zdaniu.

(KS)



Czytelnicy i „Fantastyka”

DOKONCZENIE

Podobnie jak w ubiegłym roku Czytelnicy odrzucają „skrajności” zarówno „retro” Robidy i Dulaca (rok temu Grandville i Hogarth), jak i niekonwencjonalna sztuka Jacka Kawałowicza Marka Karwackiego czy Witolda Popiela (rok temu Małżena Kawałowicz Lech Okołów Berdak i Witkacy) – nie znajdują wielu entuzjastów

Okladki

Oto komplet okładek „Fantastyki” w roku 1986 w kolejności ustalonej przez uczestników sondażu (głosowano jedynie na I okładkę pisma): 1. Marek Zaleski, okładka nr 12 (335 głosów, tj. ok. 25% respondentów); 2. Marek Zaleski i Andrzej Brzezicki nr 11 (227); 3. Andrzej Brzezicki nr 3 (218); 4. Wojtek Siudmak nr 2 (192); 5. Theodor Rotrekl nr 9 (142); 6. Katoh Nao Yuki nr 7 (127); 7. Piotr Łukaszewski nr 6 (36); 8. Jim Burns nr 5 (27); 9. Andrzej Brzezicki nr 10 (18); 10. Grzegorz Stanczyk nr 1 (11); 11. Jacek Kawałowicz nr 8 (7); 12. Tomasz Olbinski nr 4 (2 głosy)

Na liście „minusowej” na pierwszej pozycji znalazła się okładka nr 8 (584 głosy tj. ok. 43%) przed okładką nr 4 (216 głosów). Ciąg dalszy tego zestawienia jest (poza drobnymi przesunięciami) w zasadzie odwrotnością listy „plusowej”

Proszę się dobrze przypatrzeć osądom czytelników na temat oferty plastyków na okładkach „Fantastyki”. W tym roku nasi redaktorzy graficy sami zajęli trzy pierwsze miejsca. To chwalebne, ale dla niektórych będzie zapewne nieco kontrowersyjne – „nie wpuszcili” oni bowiem na okładki ani Vallejo, ani Tima White’a, ani Sorayamy, czyli czołowi z listy ubiegłorocznej

Zwracają też uwagę ciągle dalsze miejsca najbardziej ambitnych realizacji. Burns dopiero osmy, znakomity Kawałowicz na koncu. Nie zniechęć to nas jednak i musimy powiedzieć że – jak to zresztą wynika z całej naszej dotychczasowej praktyki – to nie tylko w dziedzinie sztuk plastycznych – będziemy uparcie nadal lansować najbardziej ambitne dążenia plastyków

Najlepszy numer

Wybranie najlepszego i najgorszego numeru „Fantastyki” w roku 1986 sądząc po dodatkowych komentarzach uczestników sondażu, sprawiło im najwięcej kłopotów. Liczni respondenci twierdzili, że nie sposób oceniać numeru jako całości, gdyż w każdym można było znaleźć za równo coś bardzo ciekawego, jak i nie wzbudzającego specjalnego entuzjazmu. Mimo tych rozterek i wielu zastrzeżeń, większość w końcu dokonała wyboru

Za najlepszy uznano numer grudniowy (312 głosów tj. ok. 23% respondentów). Przypominamy że znalazły się w nim m.in. „Wiedźmin” Sapkowski, opowiadania van Vogta i Sniegowa, teksty „Szesciu egzorcystów”, a także wyniki II sondażu. Na następnych pozycjach Czytelnicy u mieszcili numer wrześniowy (190 głosów, zawartość m.in. „Kontrakt za miliard kredytów” Harrisona, „Pieśń łowców” Wolle’a, „Gremlin-ssy”, „Parowski” oraz lipcowy (142 głosy, zawartość m.in. „Piaseczniki” Martina, „Kompleks Hioba Oramusa, dyskusja o „Pograniczach, manowcach i perspektywach SF”)

Przy wyborze numeru najgorszego zgodność odpowiadających była większa, na numer październikowy głosowało 531 osób, tj. ok. 39% respondentów. Drukowaliśmy wtedy m.in. „Życia zelektryfikowanego Robidy Dwu” dziesiąty pierwszy rozdział księgi „Flu” Suligi, roz poczęliśmy „Gwiezdny taniec” Robinsonów. Coz Robida (zarówno tekst, jak i „galeria”) rzeczywiście się sporej grupie Czytelników nie podobał. *De gustibus non est disputandum*. Znacznie bardziej się zdziwiliśmy drugim miejscem na liście minusowej numeru sierpniowego (137 głosów), w którym drukowaliśmy m.in. aż trzy opowiadania (Tapree, Pohl, van Vogt) umieszczone przez naszych respondentów w pierwszej dziesiątce tych które podobały się najbardziej

Zamawiam opowiadanie...

Prosimy naszych Czytelników, aby wymienili po jednym nazwisku autora polskiego i zagranicznego, którego opowiadanie chcieliby przeczytać na naszych łamach. Rozrzuć głosów jest obojętnym i jak tu zaspokoić wszystkie życzenia?

Autorzy polscy (wymieniono aż 76 nazwisk): 1. Janusz A. Zajdel (166 głosów, tj. ok.

12% respondentów); 2. Marek Baran ecki (135); 3. Andrzej Sapkowski (126); 4. Andrzej Drzewiński (76); 5. Marek Ołamus (75); 6. Stanisław Lem (61); 7. Krzysztof Kochanski (60); 8. Włodzimierz Rozycki (43); 9. Andrzej Ziemiak (41); 10. Konrad Fiałkowski i Marcin Wolski (po 30 głosów)

W pierwszej dziesiątce zamówień zmieściło się zaledwie trzech autorów ze starszych pokoleń. Jest w tym i nasza wina, że publikujemy ich za mało, ale oni przeważnie piszą powieści, jak to zmienić?

Autorzy zagraniczni (wymieniono aż 105 nazwisk!): 1. Harry Harrison (236 głosów tj. ok. 17% respondentów); 2. Robert E. Howard (136); 3. George R.R. Martin (104); 4. Roger Zelazny (93); 5. J.R.R. Tolkien (87); 6. Henry Kuttner (60); 7. Ursula Le Guin (49); 8. Arthur C. Clarke (47); 9-10. Brian W. Aldiss i Colin Kapp (po 45 głosów)

Jezeli chodzi o naszych najbliższych sąsiadów, to najwięcej prośb dotyczyło Kira Bułyczowa, braci Strugackich i Ondieje Nelfa

Będziemy się starali stopniowo realizować obie listy zamówień, ale oczywiście nie możemy zagwarantować, że we wszystkich przypadkach szybko to się uda. Niektóre życzenia spełniliśmy już w tym roku: wydrukował smy powieść Strugackich „Fale tłumia wiatr” (numery 5, 6, 7), dwa opowiadania Adassa (nr 3 i 11), opowiadanie Zajdla (nr 7), a także fragment nowej powieści Oramusa (nr 11). Nie zamierzamy oczywiście o sięgnąć na laurach, ale cieszy nas fakt że w zasadzie wszyscy autorzy wymienieni w czołówce tego „koncertu życzeń” goscili już (co najmniej, raz) na naszych łamach

Niektórzy Czytelnicy swoje zamówienia opatrywali dodatkowymi komentarzami. Najczęściej dotyczyło to Zajdla (prośby o przypomnienie starszych utworów), Lema (prośby o nowe opowiadania, ale w „starym” stylu) i Sapkowskiego (prośby o cały cykl przygód Wiedźmina)

Zwrócił naszą uwagę też fakt że o autorach pojedynczych tekstów (nawet dobrych) Czytelnicy szybko zapominają. Na przykład Grzegorz Drukarczyk (autor polskiego opowiadania numer jeden w poprzednim sondażu) znalazł się na liście zamówień poza pierwszą dziesiątką, a Timothy Zahn (rok temu zagraniczne opowiadanie numer dwa, po Conanie) jest z zaledwie 4 głosami aż na 47 pozycji

Na zakończenie wypada się nam rozliczyć z tego, co obiecywaliśmy rok temu, publikując wyniki II sondażu. Przypominamy, że przyrzekaliśmy nie zmieniać profilu pisma, lecz wprowadzać jedynie drobne modyfikacje, zgodnie z sugestiami Czytelników. Prosimy oni zaś przede wszystkim o wprowadzenie stałego działu filmowego oraz o zamieszczanie więcej prozy z gatunku fantasty

Wydaje się nam, że dotrymaliśmy słowa. Materiały filmowe znalazły się w roku 1987 we wszystkich numerach! W miarę możliwości staraliśmy się dawać więcej fantasty: wydrukował smy opowiadania Tadeusza Meszki (nr 1/87) Zbigniewa Prostaka (nr 2), Gene’a Wolle’a (nr 4), Felksa W. Kresa (nr 10), a także powieść Lino Aldanego i Daniela Piegaj (nr 11-12). Oczywiście zdajemy sobie też sprawę, że nigdy wszyscy jednocześnie nie będą w pełni zadowoleni

Nasze sondaże to nie tylko okazja do zdobycia przez nas orientacji w tym co się podoba, a co mniej, czego domagają się od nas Czytelnicy, a co zdecydowanie pragnęliby odrzucić. To przecież także kontynuacja – jak gdyby – naszych „Ładowań”, naszych nieustających dyskusji z Czytelnikami, a także – co równie ważne – dyskusji Czytelników między sobą.

Publikowanie sondaży pozwala tym, którzy nas czytają dowiedzieć się co większość aprobuje i dlaczego tak się dzieje. Jest to znakomity sposób na konfrontację poglądów i na orientację w tym, co my z tej konfrontacji wykorzystujemy budując profil „Fantastyki”

Bardzo prosimy żeby Czytelnicy i pod tym kątem spojrzeli na nasz miesięcznik, aby ich pomoc w redagowaniu przez nas pisma stawała się coraz bardziej przemyślana, oparta na wiedzy, na rozeznaniu poglądów nie jednego, nie pojedynczych, lecz sporej liczby Czytelników

Za uwagę dziękujemy i zapraszamy do kolejnego sondażu

**Adam Hollanek
Krzysztof Szolginia**

WILCZA KLATWA

NOWY KOMIKS

Komorowski • Ziemkiewicz

b) zagraniczni

VI. Ile osób poza Tobą czyta ten sam egzemplarz „Fantastyki”? (proszę podkreślić właściwą odpowiedź) a) nikt poza mną, b) 1 osoba, c) 2 osoby, d) 3 osoby, e) więcej osób

VII. Zamawiam opowiadanie (proszę wymienić po jednym nazwisku pisarza polskiego i zagranicznego)
a) autor polski

b) autor zagraniczny

VIII. Dane o Was

a) płeć M K

b) wiek

c) wykształcenie

d) miejsce zamieszkania (proszę podkreślić właściwą odpowiedź) wieś, miasto do 20 tys. mieszkańców, miasto 21 tys. – 100 tys., miasto ponad 100 tys.
e) zawód

f) imię, nazwisko i adres (podają tylko ci, którzy chcą brać udział w losowaniu upominków)

Odpowiedzi tylko na wyciętym z „Fantastyki” formularzu (z wyraźnym dopiskiem na kopercie SONDAŻ IV) prosimy nadsyłać do 25 stycznia 1988 r. (po tym terminie będziemy honorować jedynie odpowiedzi z zagranicy, gdzie „Fantastyka” dociera później)

(KS)

- Botro, stary łupieżco! - zakrzyknął głośno. I wybuchnął gromkim śmiechem, widząc, że ten go nie rozpoznaje.

Botro przecierał oczy. Podszedł do niego i nagle twarz rozjaśnił mu pełen zdziwienia uśmiech.

- Patrząc tylko! Marzyciel Gavor! Co tutaj robisz tak wystrojony?

Dobre dwie godziny opowiadali swoje perypetie od dnia, w którym się rozstali po ucieczce z kamieniołomów w Me-Ghir. I popijali bez umiaru: za każdą kroplę brudnej wody, którą musieli gasić pragnienie w niewoli.

- Dzisiaj jest mój szczęśliwy dzień - powiedział Gavor. - Odzyskałem mojego pierwszego konia, tego cenniejszego. Nie thomera, którego zabrałeś mi w drodze do Tharab i na którym w ogóle mi nie zależało. I spotkałem ciebie, stary huncwocie, przyjaciela, na którym zawsze mogę polegać. Czyż nie?

Botro potakiwał nieznacznie ruchami głowy z roześmianymi oczami.

- Co będziesz robił teraz? Thungusi odstąpił. Zamierzasz zostać w służbie Hosplunda?

- Dni Hosplunda są już policzone - odparł Gavor poważniejąc. - A razem z nim dni wszystkich tyranów na świecie...

Botro zagwizdał ze zdziwienia.

- Co ty wygadujesz! Postradałeś zmysły? Zdało się, że wino uderzyło ci do głowy.

Słyszac to Gavor wzruszył ramionami, obruszony.

- Dni Hosplunda są policzone - powtórzył. - Wkrótce zobaczysz jego głowę zatknietą na najwyższej iglicy zamku Shillpan... I wszystkich władców czeka ten sam los. Już wkrótce rachunki się wyrównają.

- Złe się czujesz, chłopcze! - wykrzyknął Botro, wyraźnie przejęty. Schwycił butelkę i żeby Gavor nie mógł jej dosięgnąć, postawił na posadzce obok siebie, pod ławą.

- Kto może się odważyć na coś takiego? Kto zdoła pokonać i obalić panów?

- Biedacy - spokojnie odparł Gavor. - Biedacy, których przebudzą i którymi pokierują ludzie, posiadający prawdziwą wiedzę.

Botro potrząsał głową.

- Mówisz zagadkami

- Nie mogę powiedzieć więcej, przynajmniej na razie. Ale jeśli mi ufasz choć trochę, jeśli masz już dość, jak mi się zdaje, samotnego złodziejskiego życia i jeżeli ty też tęsknisz do świata słusznego i czystego, w którym życie znaczy coś więcej niż świętokradcze przekleństwa... to usłuchaj mnie Botro. Kiedy dopełni się cykl księżyca, pojdź na wzgórze świątyni i pytaj o mnie w świątyni deszczu. Zastaniesz mnie tam pod innymi już znakami i będziesz mógł wraz ze mną wyruszyć w pole przeciw kapłanom i tyranom.

Botro wciąż potrząsał głową, strużka sliny saczała mu się z otwartych ze zdziwienia ust.

- Teraz ruszam - powiedział Gavor i klepnął go po ramieniu. - Muszę pośpieszyć do Thune, do mojej kobiety. Nie zdradz się przed nikim. I nie zapomnij o świątyni deszczu... za miesiąc.

Gavor rzucił na stół srebrną monetę i śledzony ogłupiałym wzrokiem Botra, opuścił karczmę.

*

Całe popołudnie podążał wzdłuż zachodniego brzegu jeziora Bhakra. O zachodzie zatrzymał się pod ogromnym kasztanem rosnącym nad potokiem o chłodnej, kryształowej wodzie. Garsciami wyrwał kłacz ciemiernika, który porastał całą okolicę, i przecierał nim opuchnięte pęciny Uciętego Ucha. Potem, w niepewnym blasku księżyca, którego fiolet nabrał tego wieczoru niepokojących krwistoczerwonych cieni, jeszcze dwie godziny przedzierał się ścieżkami w kurzu zraszonym wilgocią potoku.

Żadnych złych spotkań po drodze. Tylko raz, kiedy przeprawiał się przez mostek, zdawało mu się, że widzi czające się w mroku czarne postacie. Ale obnażony miecz rzucał płomienne blaski i nikt nie odważył się wychylić i zagrozić mu drogę.

O północy znalazł się w ciemnej, zniszczonej wiosce. Na jedynej drodze miały się stada wychudzonych, kosmatych świń i pochrząkiwały ryjąc ziemię w poszukiwaniu odpadków, których już prawie nie było. Na drugim końcu opustoszałej wioski błady kaganek, przesłonięty czerwonym jedwabiem, rzucał drżące światło u wejścia do walącej się gospody. Przez wypaczone okiennice i byle jak przysłonięte pergaminem okna dochodził męski melodyjny głos i wtórujące mu dźwięki tabły.

Uganiając się za jaszczurkami stanowi doskonałe zajęcie dla dzieci, a przygważdżanie ich zajmuje kapłanom cały ich czas, a to już dużo w naszej sytuacji.

Starzec nie przestał się jeszcze śmiać, kiedy dał się słyszeć odległy hałas, który szybko przerodził się w szaleńczy tetent: grupa rycerzy w powiewających płaszczach i z obnażonymi mieczami pędziła w niewiadomym kierunku i celu, trącając każdego, kto znalazł się na drodze.

- „Poszaleli!” - wykrzyknął w duchu Gavor, przyklejony do muru.

Na chwilę wszystko jakby zamarło, utrwalając scenę, której Gavor już nie zapomni. Na ulicy bawiła się okryta łachmanami dziewczynka. Kiedy usłyszała galop koni, uniosła się niepewna i jeszcze mniej-sza, z wyciągniętymi rączkami w bezskutecznej próbie zatrzymania rzeczywistości. W chwilę później pozostała tylko sterta zakrwawionych gałganów, na których powoli osiadał uniesiony przez konie kurz. I tylko skrawek sukieneczyny i długie, delikatne, ciemne włosy miętko poruszały się z wiatrem, w dziwnej parodii życia.

Również starzec, który jeszcze chwilę wcześniej rozmawiał z Gavoem, nie zdążył uskokczyć i leżał teraz na ziemi dziwnie pokrzywiony.

Wymosili rycerze z szalonym płomieniem w oczach pomknęli dalej, galopem, którego nie było już nawet słychać.

- Kto... kto to? - wymamrotał Gavor. Obok niego odchyliła się okiennica i przejęta grozą kobieta patrzyła na martwe ciało dziewczynki.

- Rycerze Hosplunda... - powiedziała kobieta. Jej głos był twardy i zimny.

*

Później, włócząc się ulicami Shillpan, Gavor przeszedł obok sklepiu zielarza. Przy wejściu, na niskim stołku, siedział skulony mężczyzna. Za nim stała kobieta, a jej szybkie ręce przeczesywały jego włosy z wprawą zdradzającą doświadczenie w tego typu zabiegach.

Gavor odczekał cierpliwie i, kiedy przyszła jego kolej, równie cierpliwie poddał się zabiegom starej kobiety.

- Na wszystkich bogów - wykrzyknęła zielarka - Jeszcze nigdy nie widziałam tak zawszonej głowy. Będziesz musiał zapłacić podwójnie, cudzoziemcze.

Wzruszył ramionami. Nieruchomo i bez słowa trwał tak całą godzinę, podczas gdy kobieta, zrecznie strzelając palcami, rozgniała pasożyty, które zagnieździły się w jego bujnej czuprynie. W końcu wciągnęła go do pomieszczenia.

- Uwolniam cię od tego, co żyło - powiedziała - Ale zostało jeszcze pełno jajerek. Nałóż tę masę na głowę i cierpliwie znies piekący ból. A potem dobrze wymyj się w Shill-Gur, póki nie brakuje wody.

Gavor zapłacił i podziękował jej. Wyszedł z głową wymazaną masą i skierował się w stronę rzeki.

Wieczorem, już obmyty, zatrzymał się w gospodzie.

- Co przywiodło cię w te strony, chłopcze? - zapytał go właściciel gospody.

- Chcę zobaczyć, czy znajde kupców na mój towar - na poczekaniu wymyślił Gavor.

- Co takiego sprzedajesz?

- Siodła i uprzęż wszelkiego rodzaju - odparł Gavor. Była to rzecz, na której się znał i żadne pytanie nie mogło go speszzyć.

Karczmarz uśmiechnął się jednak dobrodusznie, a błysk oczu świadczył, że to dla niego żadna nowina.

- Wyglądasz mi bardziej na najemnego żołnierza niż na kupca, chłopcze.

Kupiec czy żołnierz, jego monety brzęczały równie dobrze i właściciel gospody nie dręczył go dalszymi pytaniami.

To niespokojne czasy, czasy, w których potrzeba krzepkich ramion, a widzę, że tych ci nie brak - zakończył i powrócił do swoich zajęć.

Że czasy były niespokojne, nie mogło być wątpliwości: wystarczyło zerknąć na ciągły ruch rycerzy Hosplunda i wsłuchać się w ciężki krok przechodzących oddziałów. Ludzie i zwierzęta błyskali białkami oczu i wybuchali z byle powodu, bezmyślnie i dziko.

Jakiś czas później wysoki i donośny głos zwołał wszystkich na publiczną egzekucję.

Gavor nie lubił takich widowisk, pomyślał jednak, że w tłumie, jaki z pewnością się zbierze, łatwiej mu będzie zebrać informacje: strzępy zdań, rzucone półsłówkami aluzje, imiona i kto wie, co jeszcze.

★

Główny plac Shillpan oświetlony był dziesiątkami zapalonych pochodni. Łagodny, fioletowy księżyc, gdzieś w górze, rozciągał baśniową i przejrzystą jasność. Dwóch wędrownych śpiewaków zdobyło miejsca na pierwszym rzędzie; ludzie plotkowali i zajadali czerwone plastry arbuzów, oczekując tych, którzy mieli zginąć.

Pośrodku placu ustawiono już prosty drewniany podest, uderzany przez jakiegoś chłopca beben, wydawał głębokie i nierówne dźwięki.

Z daleka doszedł odbijający się echem donośny tetent galopujących rycerzy Hosplunda.

Tłum rozstąpił się niczym przecięty ognistym pługiem śnieg.

Rycerze dotarli do placu, wlokąc za sobą pięciu mężczyzn, pozabawionych już twarzy i kobiet, która nawet z daleka, rozjaśniona jedynie bladym światłem pochodni, wydawała się niezwykle piękna.

Chłopiec walił teraz w obciągnięty wyprawioną skórą beben równo i w coraz szybszym rytmie.

Pięciu mężczyzn ukazało puste i zakrwawione oczodoły. Szli zataczając się, popędzani biciami.

- Już ich torturowano! - zawołał jakiś rozczarowany głos.

- Cóż, będą jedynie straceni - dodał ktoś inny.

- Ale jej muszą jeszcze wszystko zrobić - szemrał tłum. Kobieta miała jasne oczy, które na chwilę przywiodły Gavorowi na myśl wrożkę Uljanę.

- Zdawało jej się, że jest bóg wie kim, ale i ona musi wejść na podest śmierci - mruzczała mlaskając jakas starucha. - Jest jeszcze sprawiedliwość na tym świecie.

- Przecież jednak, że to była piękna dziewczyna - odpowiedziała inna.

Gavor uderzyło, że wszyscy mówili o niej „była”, jakby już nie istniała na tym świecie, choć dziewczyna jeszcze żyła.

- Kiedy się zacznie? - ktoś krzyknął. I to był jakby sygnał. W ciężkiej ciszy, która nagle zaległa, jeden z rycerzy schwycił najbliższą pochodnię i powoli zbliżył ją do włosów dziewczyny. Uniósł się drżący płomyk i przez chwilę zdał się zawieszonym jaśniejącym motylem, jeszcze jedną ozdoba rozpущonych włosów. Po chwili motyl przeobraził się w rój pszczoł na szacie dziewczyny, by stać się ognistym wężem, którego dziewczyna chciała z siebie strącić gwałtownymi ruchami uniesionych konwulsyjnie rąk.

Drugi z rycerzy Hosplunda chlusnął w nią wodą z cebrzyka. Ogień sycząc zgasł. Postać, którą jeszcze przed chwilą spowijały płomienie, była teraz skrecona i poszarzała, bez włosów. Jej śmierć musiała być powolna, żeby długo przyciągać uwagę tłumu i żeby na niej mogły się skupić wszystkie cierpienia, wszystkie zgryzoty, ślepe przerażenie wstrząsające całym Shillpan. A męka była tak nieodwołalna i ostateczna, że każdy poczuł się lżej, dziękując, że nie znalazł się na miejscu dziewczyny.

Ledwie rozpoczęły się tortury, Gavor rzucił się w stronę drewnianego podestu, nie wiedząc nawet dobrze, co zamierza uczynić, pchany jedynie nagłą potrzebą przeciwstawienia się. Stojący obok mężczyzna powstrzymał go.

- Jestem handlarzem noży, chłopcze i jeśli zamierzasz dać się ukatrupić, będę miał o jednego klienta mniej - wyszeptał do ucha Gavora. Jego ręce były mocne i w pewien sposób ten ucisk przywołał w pamięci chłopca siodlarza, którego przez tyle lat uważał za swojego wujka. Może to wspomnienie go uspokoiło. A może sprawiło to świadomość, że nie jest w stanie uczynić niczego dla skazanców.

Handlarz noży nie rozluźnił uchwytu przez cały czas trwania okrutnego widowiska, dopóki dziewczyna jeszcze żyła. Nawet później, kiedy wszystko się skończyło, jeszcze go trzymał, gestem jakby przyjacielskim, lecz skutecznym jak chwyt zapaśnika.

- Stój spokojnie, chłopcze - powtarzał. - Stój spokojnie, albo skończysz tak samo.

Tłum skutecznie zasłaniał ich przed podejrzliwymi spojrzeniami siepaczy Hosplunda, przed dzikimi spojrzeniami rycerzy.

- Już jestem spokojny - powiedział Gavor.

Razem z handlarzem noży oddalił się powoli, jak najdalej od zbroczonego krwią placu. Nie potrafił

Gavor, zbrojny w miecz i z godłem władcy, mógłby postawić na swoim, wołał jednak posłuchać rady starego nędzarza.

Sędzia cierpiał na podagrę i sporo czasu minęło, nim zszedł ze schodów i zjawił się w sali przyjęć.

- Kiedy i od kogo kupiłeś konia? - zapytał zwracając się do kupca.

- Zeszłej jesieni, na drodze wiodącej z Agu-Snosko tutaj do nas, do Bhakry. Odstał mi go handlarz skórami za trzy sztuki srebra. Dobra cena za wierzchowca, choć siodło było już stare i porwane...

Sędzia odwrócił się do Gavora, rozkładając ramiona.

- Żołnierzu - rzekł - czuje respekt dla twego miecza i insygniów, które nosisz. Słyszałeś jednak, co rzekł ów kupiec. Czy jesteś w stanie wykazać fałsz jego słów?

- Wiem tyle tylko, że koń został mi zabrany zeszłej jesieni przez człowieka wiozącego futra z gliszas, niedaleko Samarabh. Jeszcze nie byłem wówczas rycerzem, byłem prostym podróżnym...

Sędzia przeciągnął ręką po niemal całkowicie łysej czasce.

- Możesz to wykazać? - odezwał się śpiewnym wyuczonym głosem. - Jesteś w stanie przedstawić dowody?

- Siodło - powiedział Gavor. - Jeśli nie było zmieniane, jego zawartość może wskazać prawdziwego właściciela konia.

- Mów jasniej - zachęcił go sędzia.

- Zapytaj kupca, czy wie, co kryje się w siodle pod siedmioma miedzianymi guzami i w podwójnie zszytym skrzydle.

Kupiec nie wiedział, co odpowiedzieć. Spoglądał niepewnie to na Gavora, to na sędziego.

- Pod siedmioma guzami - ciągnął Gavor - znajduje się siedem złotych monet, a w siodle ukryta jest złożona mapa, a w niej kosmyk rudych włosów.

Służący sędziego pośpieszył sprawdzić wiarygodność jego słów i ci, którzy stawiali na żołnierza, wzniesli radosne okrzyki: spod miedzianych guzów wysypały się złote monety, znalazła się też mapa wujka Obhera, a w zalamaniach mapy czerwone ogniki włosów Duny.

- Kon jest twój - zawyrokował sędzia. - Twoje jest też siodło. Ale kupiec nabył go w uczciwy sposób i nie ponosi za to winy. Ruszajcie w pokój. Przesłuchanie zakończone.

Teraz mieczem mógł bronić złotych monet, nie było więc potrzeby skrywać ich i Gavor wsunął je do sakiewki u pasa, a mapę schował za kamizelę.

Śpieszno mu było wrócić do Thune, do swoich bliskich i do Duny. Odległość - powiedział mu kiedyś wuj Obher - jest jak wiatr: gasi małe płomyki, a rozdmuchuje duże. Teraz, po roku spędzonym daleko od swojej wioski i od rudowłosej dziewczyny, Gavor nie miał żadnych wątpliwości. - „Mam tylko nadzieję, że Duna nie zmoczyła się oczekiwaniem na mnie” - powtarzał w duchu.

Dokładnie sprawdził podkowy i rzemienie przy siodle, nabył nieco zapasów i namiot, który przytroczył za siodłem. Potem, chcąc się posilić, wybrał oberze, nieco odosobnioną i położoną w głębi zaciemnionej, spokojnej uliczki.

Wewnątrz zastał nielicznych gości, niemal wszyscy siedzieli samotnie lub po dwóch, co najwyżej trzech. Karczmarz drzemał w rogu sali, ledwie jednak Gavor stanął w progu, uniósł się z ławy i ruszył mu naprzeciw, a za nim sunęła młoda dziewczyna: godło Hosplunda wzbudzało szacunek i bojaźń nawet w Bhakrze, pomimo iż było to miasto wolne, położone daleko od Shillpan.

- To najlepszy stół w całym lokalu - zapewniał karczmarz i ułokował go pod szerokim oknem wychodzącym na ulicę, z daleka od hałasów i zapachów dochodzących z kuchni.

Gavor jadł z umiarkowaniem, lecz zażądał rzadkich i drogich win, w odwecie za wodę, jaką musiał pić w chacie Kroneba i w świątyni Zosthara.

Sączył swoje wino tocząc wokół obojętnym spojrzeniem, myślał powracać do tysiąca przeszkód, jakie musiał pokonać w trakcie długiej wędrowki.

W głębi pomieszczenia, odwrócony tyłem, jakiś samotny człowiek w milczeniu popijał wino. W zarysie jego ukrytej w półmroku twarzy, w linii szyi i łopatek, które wystawały spod zgrzebnego turkusowego płótna koszuli, było coś znajomego. I kiedy człowiek, opróżniwszy swój kubek, rzucił na stół monetę, uniósł się i odwrócił w stronę wyjścia, Gavor nie miał wątpliwości: fioletowa plama na twarzy stanowiła nieomylny znak.

Raz jeszcze poprowadził go podziemiami świątyni, wprost do ukrytego pomieszczenia, w którym zgromadzono płocienne woreczki wypełnione czymś tajemniczym.

- Otwórz jeden z nich - polecił stary mnich

Gavor usłuchał w milczeniu. Zosthar wsunął do woreczka niewielką czarę i nabrał szarego proszku.

- To proch grzmotu. Meklur w niektórych swoich pismach nazywa go „salpitr”. Meklur nauczył nas, jak go otrzymywać; trzeba wymieszać w odpowiednich proporcjach drobno zmielony węgiel, żółty proszek ze wzgórza Fanarab i białą sól, jaka osiada na ścianach naszych stajni.

- To magiczny proszek?

Magiczne proszki nie istnieją - zniecierpliwiał się Wielki Akolita. Pchnął Gavora z powrotem i poprowadził długim korytarzem, który kończył się w szerokiej na dziesięć łokci niszy. Wzdłuż ścian poustawiano gdzieś tam kamienne bloki skalne wysokości człowieka.

- Wybierz największy z nich - polecił Zosthar - i sztyłem wydrąż pod nim otwór, taki by zmieścić się mogła ta czarka

Gavor szybko wykonał polecenie, a kiedy otwór był już gotowy, Zosthar wsunął weń czarę z proszkiem. Potem rozciągnął na ziemi skreconą bawełnianą nit, długą na trzy dłonie, i zakrył otwór kamiennymi odpryskami

- Oddał się - nakazał Wielki Akolita. - Pędź na sam koniec korytarza, ja uczynię podobnie, kiedy tylko zapale kordonek

Gavor usłuchał z drżącym sercem, po paru chwilach stary mnich sapiąc stanął przy nim. I potworny huk wstrząsnął podziemiem. Kiedy w dymie i pyłu, który tamował oddech, wrócili do grotu, po położonym bloku skalnym nie pozostał ślad: rozsypał się na tysiące kawałków

- Grzmot Meklura! - zakrzyknął podniecony Wielki Akolita. - Tą właśnie bronią pokonamy tyranów.

Rozdział XXI

Następnego dnia, kiedy słońce wysoko wzniosło się nad horyzont, Gavor zszedł ze wzgórza świątyni. Kon, którego dała mu Hancja, zgubił jedną podkole i wyraźnie kulął. Torował sobie drogę w tłumie biedaków w łachmanach i żebraków, daremnie poszukując kowala. Znalazł się wreszcie na wielkim placu targowym.

Ludzie motali się jak oszałeli, błagając chorą krótką strawę, o parę okruszków, którymi mogliby oszukać głód. Sklepiarze i handlarze zza pełnych żywności straganów przepędzali kijami wychudłe ramiona, sięgające po pierwsze z brzęgu towary.

Znajdował się już w samym środku tego zgietku i wszystko wokół wrzało od jęków, przekleństw i błagalnych lamentów, gdy ujrzał uwiązane przed karczmą swego wiernego konia - Ucięte Ucho. A właściwie to kon go rozpoznał - donosnie zarżał i gwałtownie stanął deba.

Mały tłusty człowieczek z zieloną opaską na ramieniu, oznaką pośredników handlowych, wybiegł z karczmy sprawdzić, co się dzieje. Ujrzał konia, który zerwawszy postronek, oddalił się i liźnął teraz dłonie Gavora.

Zbliżył się, czerwony ze wzburzenia, lecz Gavor zmroził go jednym spojrzeniem.

- Ten koń jest mój - powiedział młodzieniec, skandując słowa. - Moje jest także siodło.

Oszczyca! - gniewnie wrzasnął pośrednik. - Nosisz miecz i herb Hosplunda, ale nie dajesz ci to prawa do roztłuszczania fałszu.

- Kon jest mój - spokojnie, acz z naciskiem powtórzył Gavor.

- Kupiłem go uczciwie - zapewniał człowieczek. - Dałem za niego wraz z siodłem trzy sztuki srebra i nie pozwolę, byś mi go odebrał.

Wokół nich zebrał się już tłum nędzarzy i włóczyków.

Idźcie do sędziego - zaproponował jakiś siwobrody żebrak z orlim nosem. - Jedynie sędzia może rozwikłać spór.

Jednak wymazać z pamięci okrutnych scen, których był świadkiem. Żeby odwrócić jego uwagę, kupiec zaczął opowiadać mu historyjki o miastach, które widział, ludziach, z którymi się zetknął, o towarach, jakie sprzedawał, bogato zdobionych sztyletach z południa, wygiętych ostrzach z północy, o pugałach z koscianną rekojescią i z wizerunkiem fortuny wyrytym na pochwie, o trojkątnych jelicach z rowkiem na trzcinie.

Wy, kupcy, jesteście niby igła, która zszywa całe terytorium - stwierdził Gavor, zapominając, że sam nazywał się kupcem.

- Właśnie tak - potwierdził jego rozmówca. - My, kupcy, przenosimy się z regionu do regionu i o wszystkim wiemy najlepiej.

Gavor już zamierzał zapytać go o białego księżyc, wołał jednak nie ryzykować i nie zmieniać podjętego wątku.

- Widziałeś wiele egzekucji? - zapytał.

Kupiec z powagą potwierdził skinieniem głowy.

- Powiedz - nie usłepował Gavor - czy nigdy nie próbowałeś interweniować?

- Miałoby to opłakane skutki.

- Opłakane? Dlaczego? Może dla twoich interesów?

Nie bądź cyniczny - uśmiechnął się kupiec. - Dla moich interesów z pewnością, ale także i dla wszystkich.

- Nie rozumiem ciebie.

- Jesteś uparty, chłopcze. Ale dzisiaj moim towarem niech będzie cierpliwość, z tego choćby powodu, że zgodnie ze starym przesądem, kiedy komus uratuje się życie, jest się za niego odpowiedzialnym.

Zamilkł na chwilę, jakby szukając odpowiednich słów.

- Widzisz, wszystko, co się dzieje, ma swoją przyczynę. Także zadawane ludziom cierpienie.

- Jakaż może być przyczyna stosowania tak okrutnych kar? - przerwał mu Gavor.

- Kim jesteś, byś mógł osądzić, czy to skuteczna metoda? Czybyś studiował nauki prawnicze, skoro sądzisz, że możesz przyrównać karę do winy?

- Ale jakie może być usprawiedliwienie kaprysu władcy? Słyszales przecież, jak ogłaszano, że wszystko zostanie wykonane z rozkazu i woli Hosplunda, znużonego i żadnego rozrywki.

- Władca Hosplund jest panem ludzi, ich domostw i stad, jest też panem swoich kaprysów, tylko dlatego jednak, że my wszyscy postanowiliśmy, że może mieć taką władzę - odparł kupiec, a jego głos był suchy jak piasek pustyni. - Gdybyśmy wszyscy... wszyscy, chłopcze, doszli do wniosku, że czas powiedzieć dość, nikt nie stanąłby w obronie Hosplunda, nie znalazłby się nikt, na kim mogliby wypróbować choćby najbardziej niewinny kaprys.

- Na co więc czekamy? - wybuchnął Gavor.

Młody i porywczy przyjacielu - uśmiechnął się kupiec. - Czekamy, aż wszyscy razem, jak ci mówiłem, będziemy przekonani, że nadeszła ta chwila. Bo jeżeli nie, to tylko wystraszymy tyrana, pozwolimy mu wzmocnić siły i w nieskończoność przedłużymy jego zła i kaprysy.

- W tym czasie jednak - gorzko stwierdził Gavor - wielu musi znosić podobne męki

Kupiec wzruszył ramionami. Jego twarz skurczyła się.

- Są różne rodzaje bólu, chłopcze, różne... i można nauczyć się z nim żyć - zakończył.

- No tak: o ile zachowa się życie.

Chmury przestąpiły łagodny fiolet księżyca, a gwałtowne lecz krótkie porywy wiatru oznajmiały zbliżanie się burzy.

- Widzisz, woda przemyje skrwawione bruki - wymamrotał kupiec, ze wzrokiem utkwionym w chmurach.

- Woda?...

Rozdział XVII

- Co się dzieje? - pytał Gavor, który nie zdążył jeszcze otrząsnąć się ze snu.

- Dzieje się, że dziś rano wyruszyliśmy na połów - szyderczo zaśmiał się człowiek, który ściągnął go z łóżka - i wpadłeś w nasze sieci!

- Ale... ale... co to znaczy?
 - Jesteś głupi jak wszystkie ryby, więc bądź przynajmniej niemy jak i one - rzucił mu zbir, zmuszając go do ruszenia się rozdzielanymi od niechcenia ramionami.
 „Lowcy” uzbrojeni byli w długie miecze i to wystarczyło, żeby rozpoznać w nich żołnierzy w służbie władcy Shillpan.

- Wszyscy do zamku! - zarządził człowiek, który był zapewne dowódcą.
 - Brakowało nam tylko przymusowego wcielenia - wymamrotał jeden z więźniów i natychmiast spadł na niego rekojść miecza.
 - Cisza! - wrzasnął ten, który go dzielił. - Czas zacząć uczyć się posłuchu. Odpowiadać tylko, gdy się jest pytanym.

I w ten sposób Gavor znalazł się na zoidzie Hosplunda, tyrana Shillpan, tego samego, który panował nad wszystkimi możliwymi ziemiami. Wzburzone miasto oczekiwało pojawienia się najeźdźców, setki tysięcy jaszczurek szeroko otwierało pyszczki w niemej agonii, nadziane na ostrza krat bram i okien, na ciemnych pniach drzew.

Nadeszło lato. Pomimo jaszczurek i ropuch, przygwożdżonych na progach domów, bóg wód wchłaniał wszystkie rzeki wokół Shillpan. Oddziały stojące na wschodniej granicy ponuro spoglądały na wyschnięte rany, które przekształciły się w wygodne prowadzące w głąb regionu drogi.

W zamku Gavor czekał jeden z dziwniejszych okresów życia. Po przestronnych kamiennych komnatkach kłębiło się mnóstwo mężczyzn i kobiet, zupełnie różnych od tych, jakich dotychczas znał. Zdawało się, że wśród zamkowych murów nie istniało inne prawo poza uporczywą chęcią życia: nakazem nadrzędnym był posąg za przeżyciem wszystkiego, co się da, nie wykluczając najbardziej nawet wyznaczonych doświadczeń. W tym pełnym przepychu, acz ponurym i noszącym piętno śmierci świecie, zagrożenie, jakie niesli ze sobą Thungusi, dodawało jeszcze pikanterii mieszaninie rozpusty i okrucieństwa.

Dwie tylko postacie zdawały się rzeczywiste wśród tego orszaku masek. Pierwszą był wędrowny śpiewak, tragicznie blady, który bezskutecznie starał się ująć w karby rymów to, co się działo. Druga miała rysy młodej faworyty Hosplunda. Niedługo dziecko, z upartą iskrą niewinności w oczach, wypukłym czołem, długimi jak u zrebaka nogami i z niewyraźnym wdziękiem, który czynił ją lekka jak motyl w chwili podrywania się do lotu.

Każdego wieczoru zmuszona była zająć miejsce u boku Hosplunda, pana ludzi, domostw i stad, podczas gdy wędrowny grajek intonował piosenkę o wyjątkowo smutnych rytmach i nieprzychylnym goliardycznym słowach, wywołując dziwny dreszcz trwogi tym niezrozumiałym kontrastem.

Wina w pucharach ubywało, a szaleństwo dworzan sięgało szczytu. W kadzielnicach tliły się zioła suszone według tajemniczych rytuałów i cała rzeczywistość rozwiewała się w odurzających oparach, spowijała tajemnica, ulatywała w upojny wymiar zapomnienia.

Urodziwy Gavor często odbywał służbę w zamkowych komnatkach. Młodzieniec z Thune, wyprostowany, z piką wspartą o posadzkę, w milczeniu obserwował rozpasanie świata, dla którego nie istniał głód, świata dziko oddającego się bezwstydnym przyjemnościom, przyjmującego za nadrzędne prawa kaprysy i dziwactwa na wpol obłąkanego władcy.

Podczas jednej z takich służb jego wzrok napotkał oczy faworyty, Havy i zatopił się w nich.

Być może wiodła go gorączkowa pogon za uczuciem pełnym ryzyka, przeżywanym na granicy możliwości, a może bezwstydną i słodką zarys ust dziewczyny, który kontrastował z blaskiem niewinności w jej oczach lub też niebieskawą i gorzką dymiącą się zioł, który przywodził mu na myśl Uljanę. Ale w zamku Uljany, w świeżym powietrzu przesyconym zapachem śniegu wszystko wydawało się zbawienne, nawet magia zioł stanowiła część tego, co zwało się miłością. Na dworze Hosplunda zaś czuć było odór zepsucia i strachu.

Mimo to Hava pociągała go z siłą, która przeradzała się w ból. I nadszedł wieczór, kiedy wpatrzona w niego ułożyła czerwone usta w niemym słowie - „Jutro”.

Gavor nigdy nie zdołał odtworzyć męczącego wyczekiwania tamtej niekończącej się nocy: myśli

z niewielkiego otworu po przeciwnej stronie wysunął się metalowy punkcik. Stary mnich przeciągnął nim po otwartej dłoni i Gavor ujrzał na skórze wykwitający niebieskawy ślad.

- To pedzel Meklura. Widziałeś już coś podobnego?

Drugi przedmiot był złotą bransoletą z niewielkim płaskim puzderkiem, niewiele większym od monety. Zosthar dotknął go i nieznany blask rozjaśnił błądy napis wyłożony niezrozumiałym pismem.

- Co to takiego? - zapytał oszołomiony Gavor.

- Ta bransoleta jest przyrządem służącym do odmierzania czasu, choć nie ma w sobie nic z naszych zegarów słonecznych. Jeszcze nie wiem, jak działa, choć Meklur pozostawił na jednym z tych zwojów pergaminu dokładny opis. Chciałbym teraz, byś uważnie przyjrzał się trzeciemu przedmiotowi.

Była to niewielka płytką, szeroka jak dłoń, pokryta czerwoną skórą i złożona w pół. Gavor rozdarł ją i na jednym skrzydle ujrzał ciąg maleńkich rysunków, bardzo podobnych do tych, które zdobiły jego amulet, a na drugim... Na drugim boku umieszczony był wizerunek: niewielki rysunek przedstawiający głowę młodzieńca. Portret Meklura - wyjaśnił Zosthar. Kapryśny artysta wykonał go w białych i czarnych barwach, ale portret choć mały, z niezwykłą precyzją oddawał wszystkie szczegóły.

- To niemożliwe - zdrygął się Gavor. - Żaden artysta nie zdołałby namalować podobnego wizerunku, choćby posługiwał się najdelikatniejszymi pedzlami.

- I rzeczywiście, podobizna ta jest dziełem maszyny - wyjaśnił Zosthar, Wielki Akolita. - Przyjrzyj mu się dobrze, Gavorze. Nie zauważyłeś podobieństwa do siebie? Kiedy stawiałeś się przed nami wczoraj, wystarczyło mi jedno spojrzenie i nim jeszcze zacząłeś mówić, rozwiązały się wszelkie moje wątpliwości.

Na klasztornej dziedzińcu, chronieni wysokim murem i z dala od niedyskretnych spojrzeń pielgrzymów mnisi ćwiczyli się w strzelaniu z łuku i władaniu mieczem.

Gavor przyglądał się z boku. Mineły cztery dni od jego przybycia do świątyni i zaczynał mieć dość rozwodnionego wina i skromnych posiłków. Lecz ciekawość nie została wcale zaspokojona. Zosthar wprowadził go w najbardziej skryte tajniki zapisów, pomijając wszystkie stopnie wtajemniczenia. W porównaniu z młodymi adeptami, wciąż mierzającymi się z podstawami sztuki czytania, posiadał on umiejętność biegłego śledzenia pisma. Zawdzięczał to wujowi Obherowi, który od dzieciństwa, kiedy świat jego ograniczał się do zabaw, z niebywałą gorliwością dbał o wykształcenie w nim tej umiejętności.

Ale trapiły go nie tylko przeszkody natury doktrynalnej. Kiedy myślał o realizacji ogromnego przedsięwzięcia Meklura, naderżało go tysiąc wątpliwości. Żeby osiągnąć podobny cel, należało mieć w gotowości bez porównania więcej zbrojnych i dysponować potężniejszymi środkami. Zosthar, a wcześniej Kroneb, mówili mu o adeptach, rozsianych we wszystkich liczących się miejscach, nawet w odległych regionach. Również w Thune, wyjawiał mu Wielki Akolita, była dwójka ludzi gotowych do wzniecenia buntu i zajmowali oni wcale nie ostatnie miejsca w zamku tyrana Khavla. W osłupienie wprowadziła go wiadomość, że byli to kapitan straży Ořumak i jego adiutant Griva. Ale pole działania wydawało się przeogromne i obejmowało wszystkie ziemie od Górnej Medyny po Wielką Rzekę, nie wyłączając doskonale obwarowanych miast Kongarab i Shillpan. Gavor widział w tym zamysł szalony, z góry skazany na niepowodzenie.

Przyglądał się młodym mnichom, bladym, wychudłym, bez krępych mięśni, którzy z trudem utrzymywali miecz w dłoni oraz starszym, z rzeźkimi brzuchami i wąłymi nozkami, niezdolnym na życie napięć łuk. Smutny i komiczny widok.

Ktoś dotknął jego ramienia. Wielki Akolita uśmiechał się ufnie.

- Wiem, o czym myślisz - powiedział, a twarz jego nagle poszarzała. - Myślisz, że zwycięstwo nie uśmiechnie się do nas nigdy.

Gavor ruchem głowy wskazał mnichów na dziedzińcu.

- Ci ludzie nie potrafią utrzymać nawet miecza, padną wszyscy przy pierwszym starciu.

Wcale nie - ostro zaprotestował Zosthar - Miecze i łuki dobrze nam posłużą, nie mam wątpliwości. Lecz nasza zwycięska broń jest innej natury. Chodź, człowieku mój wiary. Chcę pokazać ci tajemniczą broń Meklura, tę, która przyniesie nam zwycięstwo, nim upłynie miesiąc.

Bog czarnej puszczy powiedział: Nawet gniew powodowany nieprawością burzy oblicze. Żyjemy w ciemnych czasach, więc nie możemy być dobrzy.

A ja, Meklur, mówię wam, że bron należy do ludu, mówię wam, że kapłani i władcy to perz świata, chwasty, które żywią się zyciodajnymi sokami innych. Pozbawieni korzeni, mają tylko zachłanne ręce, którymi chcą czerpać. Ja, Meklur, mówię wam, że bogowie to ludzie, lecz człowiek jest bogiem wtedy tylko, gdy występuje w imieniu nie tylko swoim, lecz wszystkich.

Mierni despoti odległych czasów wiatrem spisały swoje triumfy. Złotem można opłacić najemnych zbirów, przekupić mołoch. Lecz woda zawsze zmierza ku morzu, lawina schodzi w doliny i nikt nie zdola jej powstrzymać, tak jak żaden wybieg, żaden spisek uknuty przez możnych, żadna nikczemność kapłanów nie stanie na przeszkodzie ludowi w odziedziczeniu ziemi.

★

Następnego dnia Gavor ponownie zszedł do podziemi, tym razem w towarzystwie Wielkiego Akolity.

Noc spędził bezsennie, przewracając się z boku na bok na posłaniu malenkiej celi, którą wyznaczył mu usługujący mnich. Przez długie godziny tajemnicze słowa Meklura niby ogniste duchy przesuwwały się przed jego oczami w niekończącej się sarabandzie. I usłyszał jakby przepowiednię, uroczystą i dumną, która dopełniała magię pulsującego wokół niego ognistego pisma.

- Nie masz powodu, żeby się zniechęcać - powtarzał mu Zosthar, stojąc obok pulpitu. - Słowo Meklura pozostaje niejasne również i dla mnie, choć całe życie spędziłem pochylony nad tymi pergaminami.

Gavor potakiwał, być może pocieszony.

Wygląda, jakby napisał to ktoś niespełna rozumu - powiedział, tracąc na chwilę panowanie nad sobą. I natychmiast zganiał się w duchu za słowa, które nieopacznie wymknęły mu się z ust, słowa kłopotliwe niczym przekleństwo.

Wielki Akolita uśmiechnął się.

- To dlatego, że szukasz konkretnych wyobrażeń - powiedział pobłaźliwie. - Meklur pozostawił nam obraz swego świata i są w nim niezrozumiałe miejsca, lecz my musimy skupić się na konkluzji jego wyводу, w której nakłania nas, byśmy przygotowali się do wielkiego buntu, żeby odmienić losy świata.

- W tym miejscu zapis jest dla mnie zupełnie jasny - zgodził się Gavor - być może dlatego, że taką prawdę nosiłem w sobie na dnie serca od dawna. Ale nic więcej nie rozumiem! Kim są bogowie, o których mówi Meklur? Bog narodu żółtego... bog narodu czerwonego... bog czarnej puszczy... i pozostali...

- To nie byli bogowie - cierpliwie tłumaczył Zosthar. - Byli to ludzie wielkiej mądrości i od nich właśnie posiadł swą wiedzę Meklur, a później próbował przekazać ją nam.

- Ludzie? Gdzie i kiedy żyli?

- To byli ludzie ze świata Meklura.

- Tak, ale świat, o którym mówi Meklur... gdzie on się znajduje?

- Poza czasem i przestrzenią - westchnął Wielki Akolita.

- Poza czasem i przestrzenią... Nie pojmuje. A gdyby to było oszustwo? - zatroskał się Gavor. - Może z nas zadrwił lub może to wytwór chorej wyobraźni?

Twarz Zosthara nagle spoważniała.

- Moje oczy widziały, jak Meklur spłonął żywcem na placu w Fanarabh. Żaden człowiek nie ruszy naprzeciw śmierci z samej chęci zadrwienia... Meklur miał żółte oczy, oczy, które nie mogły być z tego świata. A ty jesteś jego potomkiem, w twych oczach jarzą się dziwne złociste punkciki, nie powinienes więc okazywać takiej niewiary. Amulet, jaki nosisz na szyi... to moneta. Czy wydaje ci się, że mógł wybić ją rzemieślnik z naszego świata?

Zosthar wysunął spod pulpitu szkatułkę i wyjął z niej trzy dziwne przedmioty.

- Przyjrzyj im się dobrze - powiedział twardym głosem.

Pierwszy z nich był drążkiem, nieco krótszym od dłoni, szesciokątnym jak komórka pszczołich plastrów, wytworzony z połyskliwej żółtej substancji. Zosthar przycisnął kciukiem jeden z końców drążka i

maciły mu się w głowie i nieustannie spoglądał w ciemne, wąskie okienka zamkowych murów, wypatrując pierwszych przebłyków świtu.

- „Jutro” - powiedziała mu faworyta Hosplunda. Dlaczego świt nie nadchodził? Rece zeszytywniały mu na drzewcu piki, palce pobiegały od drczącego napięcia. Świt wciąż nie nadchodził, a Hosplund szarpał brudnymi łapami włosy dziewczyny i jej drobna głowa poddawała się jak targany burzą kwiat, jej oczy były magnetycznym wichrem, usta śmiały się i zdawały się wyzwaniem dla Hosplunda. Gavora, dworu, dla całego niewiarygodnego życia, na jakie została skazana... a może, jakie sama wybrała.

- „Jutro” - Gavor czuł suchość w gardle, ręce miał mokre, w trzewiach ból jak brzemienne kobiecie.

Hosplund spał. Już spał... Spał! Jasnoszara mgła wciskała się w wąskie otwory strzelnicze. Damy dworu zrzuciły suknie i zataczając się zniknęły w swoich komnatach. Znużeni rycerze z okrutnie wykrzywionymi twarzami i nogami jak z waty po całodziennym siedzeniu w skóde, podążali za swoimi wybrankami. Niepostrzeżenie młoda faworyta wyslizgnęła się spod ramienia Hosplunda i wyprostowała, lekka, wdzięcznym, niezdecydowanym krokiem sarny podeszła do Gavora, ofiarowując jego zamglonym oczom lubieżny czar powiewających welonów i hipnotyzujący blask naszyjników i diademów.

Zioma o barwie mułu flity się jeszcze w kadzielnicach: w wielkiej komnacie lekki dym układał się w długie, urzekające arabeski. Życie napływało i odpływało jak zięjący oddech straszliwego potwora. Z nieartykułowanym okrzykiem Gavor dotknął wyciągniętych rąk dziewczyny.

Zaczekaj... - wyszeptała, rozglądając się po niemal już pustej sali. - Idź za mną, ale uważaj, żebyś nie stracił mnie z oczu, gdyż w pewnym miejscu jest sekretne przejście...

Gavor zostawił opartą o mur pikę i ruszył za dziewczyną. Spodnica Havy unosiła się wokół kostek w rytmie oddechu Gavora. Mgła spowijała wszystko wokół: jego oczy rozpoznawały ledwie kontury komnat, choć słońce już wzniosło się nad horyzont i zalało wnętrza złotym blaskiem. W galerii, którą przemierzali, odciskało się słoneczne piętno: wiernie przycięte cienie ostrzy na posadzce, kurz, który unosił się bezgłośnie w powietrzu, wzmagając wrażenie, że przechodzą przez ruchome niematerialne zasłony.

Dziewczyna odwróciła się i posłała mu uśmiech, który zajasniał wszystkimi obietnicami świata. Gavor na oślep przeszedł ostatnią już zasłonę.

★

Obudził się z ciężkiego snu, wypełnionego absurdalnymi zjawami. Havy nie było obok niego. Początkowo Gavor nie zdawał sobie sprawy, gdzie się znalazł: narzuty i jedwabne szale rozłożone na posadzce tworzyły jego posłanie. Żadnych sprzętów, jedynie miękkie tkaniny, brokaty i beładnie porozrzucane szaty. Izba była niezwykle mała, z jednym tylko niewielkim okienkiem w gorze, przez które sączyło się fioletowe światło księżyca.

- Garderoba Havy - szepnął. Nie pamiętał, jakim sposobem tam się znalazł. Po chwili, powoli powróciła mu pamięć tego, co się wydarzyło, krótkimi przebłykami wypełniając próżnię między snem a rzeczywistością. Gavor nigdy nie zdobył pewności, czy posiadał sarenkę Hosplunda, choćby dlatego, że dziewczyna, co nie stanowiło nowości na dworze, zniknęła nagle, z dnia na dzień, uduszona we śnie lub wrzucona do jakiegoś lochu, a może po prostu zabiła nadmiarem rozpusty i narkotyków.

Wydarzenia potoczyły się teraz szybko. Niepewność Gavora, co do jego własnych przeżyć nałożyła się na niepomyślnie wieści o nadciągających Thungusach. I pewnego wieczoru w oddali dały się słyszeć donośne dźwięki. Iarum, grane przez długie trąby z brązu, świadczyło, że barbarzyńcy rozprawiali się z przygranicznymi pulkami i przygotowywali się do oblężenia samego Shillpan. Wokół białych murów miasta pojawiły się ognie biwaków, czarny niczym przekleństwo dym wzbijał się ku niebu.

★

Nastąpiły długie dni szturmów, wypadów, zasadzek, potyczek, które z wysokości murów zdawały się mało zażarte, lecz okrutne i krwawe były dla tych, którzy ścierali się w oblężeniach kurzu tam w dole, na spustoszonej równinie.

Na zewnętrznych tarasach umocnień bezlitosnie jasniejące słońce przesyłało na wskros nabite na pale ciała Thungusów. Taką właśnie okrutną mekę zgolił Hosplund tym, którzy w impecie ataków dostali się do niewoli. Thungusi nie okazali się gorsi: wokół murów, poza zasięgiem strzał, również wzniesli niekonczący się rząd zastrzonych pali, czekających na żołnierzy Hosplunda, którzy nieopacznie dostawali się w ich ręce podczas codziennych wycieczek. Niejeden z pali gościł już na swoim wierzchołku sine i wrzeszczące ciała niefortunnych żołnierzy. Najszczęśliwsi umierali natychmiast, dla wielu jednak agonía trwała długo, z jednej i z drugiej strony znaleźli się tacy, którzy krzyczeli cały dzień i noc, nim drewniany pał zagłębił się ostatecznie w trzewia.

O świcie czarne chmury kruków wzbijały się do lotu, wypierając nocnych drapieżników. Rzez skazyła powietrze i w najbardziej skwarnych godzinach dnia, kiedy walki ustały, słychać było natarciwe brzęczenie much, obsiadających otwarte rany żołnierzy.

Wkrótce do tych okrucieństw dołączyło widmo głodu. Nieliczni zamożni mieszkańcy zjadli bronili zgromadzonych zapasów, jednak większość znalazła się w godnym pożalowania położeniu: kobiety gotowały zielska, porastające dziedzinie, starcy wylapywali myszy, wygrzebywali robaki i skorpiony spod bruku ulic, gdyż nawet koty i psy dawno zniknęły.

Słowem, panował głód, nieublagany i bezwzględny, głód, który wywoływał halucynacje i doprowadzał do obłędu.

Jedynie zamek Hosplunda, władcy ludzi, domostw i stad, zdawał się nietknięty przez fetor bitwy, krew, nędzę. Szalenczo tętniło w nim życie: orgiastyczne, wyszukane ucztę, podczas których psy Hosplunda żerały tyle, że starczyłoby dla tuzina rodzin, rozpusta, zachcianki ludzi pozbawionych wszelkich hamulców, ostentacyjne manifestowanie czczych kaprysów, zakłady, niedorzeczne próby zrzeczenia. Grajek, także pijany, próbował wydobywać szalencze dzwinki jego muzyka beznadziejna i pełna fałszywych nut sztylerczy odzwierciedlała upadek dworu, zepsucie dam i plugawą upadłość rycerzy jak groteskowe maski dyszących nad winem i pieczywem.

Wszystko kłębiło się nadal, bez ustanku, jak przekleństwo. I trudno było nawet uwierzyć, że kiedyś przyjdzie kres.

Wreszcie, niespodziewanie, Thungusi przypuścili decydujący szturm.

Dzień zapowiadał się parny, bez najmniejszego podmuchu wiatru. Czerwone opary wilgoci wisiały w powietrzu, rozleniwieni żołnierze rozłożyli się w niedbałych pozach w zacienionych zakamarkach. Dwójka dzieci, mających może pięć lub sześć lat, wymknęła się spod opieki starszych i nie wiadomo jakim sposobem wdrapała się na szczyt baszty, dłużąc między kamieniami dwoma białymi i płaskimi przedmiotami – może były to wypolerowane zębra jakiegoś dawnego obrońcy – i rzuciły w dół drobiny ziemi z kamyczkami, udając, że odpierają atak wymyślonego wroga. Ale głos, który wybuchnął tłumionym przekleństwem, był rzeczywisty. I należał do muskularnego wroga o szerokiej i żółtej od pyłu twarzy, przedostał się przez górną krawędź muru i stracił dzieci w próżnię wewnętrznego dziedzinca.

Gavor ujrzał ciała spadające niby puste, niewielkie sterty szmat. I zdało mu się, że spadają nieskonczenie długo. Potem usłyszał głucho płasnicę i na bruku rozlały się dwie czerwone kałuże krwi.

Jak opelany rzucił się, by powstrzymać Thungusów, którzy dzikim wrzaskiem oznajmiali radość ze sforsowania murów. Niechybnie byłby padł, jeden przeciw wszystkim, gdyby inni obrońcy nie pospieszyli mu z pomocą i nie odciągnęli poza krąg śmierci.

Oszalałe walki rozgorzały na basztach i dziedzinach. Thungusi wychylali się poza obrzeże murów i raziли niewielkimi strzałami, małenkimi jak zabawki, ale dokładnymi i śmiercionośnymi. A potem przeszli do walki wręcz, wymachując długimi, wygiętymi szablami, którymi jednak nie byli w stanie pokonać toporów żołnierzy Shilpan.

Zwodzony most, solidnie zamocowany do murów, poddał się z trzaskiem i głuchym łoskotem, od którego zadrżała ziemia. Thungusi zwartymi szeregami niemal wtargnęli do niższego zamku, lecz rycerze Hosplunda, zbrojni w piki i maczugi, pospieszyli z odsieczą, od tyłu atakując napastników.

W obrębie murów, za nimi, zaczęła toczyć się aż do zmierzchu, szale zwycięstwa wciąż przechylały się na jedną, na drugą stronę. Cały obszar ustany był trupami i dogorywającymi, ramie Gavora słabło, oczy zasłoniły się łzami i krwią błagały o koniec tej bezsensownej rzezi.

Dlaczego Thungusi chcą zająć fortę? Żeby zdobyć zgromadzone tam skarby i żyć lepiej

– Szuszenie – zgodził się Zosthar. Nie zapominaj jednak, że władza święta i bezsporna prowadzi do rządów absolutnych i przetrada się w tyranie, źródło wszelkiej nieprawości.

Tymczasem zakonnicy wstali od stołu i oddalali się małymi grupkami do swoich cel.

– Zrobiło się późno – zauważył Wielki Akolita, chowając ręce w szerokich rękawach habitu. – Tobie też potrzebny jest odpoczynek...

– Kroneb wspominał mi o relikwiach Meklura – przezwiał mu Gavor. – Za twoją zgodą chciałbym je zobaczyć, natychmiast.

– Pojmuję twoją niecierpliwość – uśmiechnął się Zosthar. Skinął na młodego zakonnika, który pozostał jeszcze w końcu stołu. Kiedy ów stanął przed nim, Zosthar wręczył mu klucz.

– Zaprowadź brata Gavora do tajnego sanktuarium świątyni.

Wielki Akolita uniósł się, pozdrowił Gavora ruchem dłoni i opuścił pustą już salę.

Zakonnik wziął ze stołu grubą zapaloną świecę i dał znak Gavorowi, żeby podążył za nim. Długim korytarzem przeszli wzdłuż podwójnego rzędu cel i stromymi kamiennymi schodami zsunęli się w dół. W głębi, ukryte za dębową płytą, otwierało się przejście wąskie na łokieć i tak niskie, że Gavor musiał posuwać się zgięty w pol.

Po dwudziestu krokach prowadzący go zakonnik zatrzymał się. Gavor ujrzał niewielkie drzwi z masywnego drewna, wzmocnione cwiekami i szlabami z polerowanego metalu.

Zakonnik obrócił klucz w zamku i otworzył drzwi.

– Jesteś w sanktuarium Iduora Meklura – wyszeptał. – Nazywamy to miejsce pepkiem świata.

Znalazł się w ciasnej, okrągłej komnacie, z ławą i małym pulpitem pośrodku, a w szafach, jakie ją otaczały, zgromadzono zwoje pergaminów. W niskim, zamkniętym kopułą sklepieniu znajdowały się niewielkie otwory umożliwiające swobodny przepływ powietrza.

– Umiesz czytać? – zapytał mnich, stawiając świecę na pulpicie.

Tak, ale od czego zacząć? – odparł, wskazując ołtarzające go zwoje. – Wszystko to napisał Meklur?

O tak, to jego dzieło – przytaknął mnich – Wystarczy, jeśli dziś wieczór poznasz najważniejszy zapis. W najbliższych dniach będziesz mógł przeczytać całą resztę.

Na pulpicie leżała metalowa szkatuła. Mnich wyjął z niej cienki zwoj pergaminu i rozwinął go w świetle świecy.

Testament Meklura – powiedział podniosłym głosem. – Jeśli znaczenie tych słów nie będzie wystarczająco jasne, nie prosz mnie o wyjaśnienie, zwróć się bezpośrednio do przeora. Ja jestem młodym adeptem, osiągnąłem ledwie pierwszy stopień włączenia.

Drżąc z wrażenia, które skakało mu gardło, Gavor pochylił się nad pulpitem.

Ja jestem Mac Lure heretyk. Moj świat znajduje się po tamtej stronie przestrzeni i czasu, za wszystkimi dolinami i gorami, dalej niż sięga jakakolwiek kraina ziemiska lub niebieska, niemożliwy do osiągnięcia.

Ja jestem Mac Lure, rzucony pod wasze niebo niedorzecznym czarem. Tutaj, uwięziony na zawsze, dożyję moich dni w marzeniach o niemożliwym powrocie.

Ja jestem Mac Lure, okryty mrokiem bezkresnego wygnania, ale także światłem prawdziwego poznania. Moj świat jest światłem, w którym księżyc jest biały, w którym żelazne płaki latają szybciej niż głos, gdzie ludzie mogą rozmawiać i widzieć się na odległość tysiąca tysięcy mil, gdzie zagłada zwiastuje głos grzmotu, w proch przemieniając całe miasta, a pył śmierci unicestwia i czyni bezpłodnymi dziesięć generacji.

Ja jestem Edward Mac Lure, który żył w Fanarab jako Iduor, i przemawiam do wszystkich w imieniu prawdy i prawości.

Bog Protagoras powiedział: Człowiek jest miarą wszechrzeczy.

Bog znad Sekwany powiedział: Ludzie rodzą się i żyją wolni i równi w prawach.

Bog Czterech Kantonów powiedział: To lud dyktuje prawa.

Bog Iljcz powiedział: Żaden bunt bez świadomości buntu.

Bog narodu żołtego powiedział: Bunt opiera się na ostrzu miecza.

Bog narodu czerwonego powiedział: Ziemi nie można ani kupić, ani sprzedać, należy ona do ludzi wolnych.

gaj laurowy i znalazł się po przerwie na stronie pagórka. Od razu też rozpoznał świątynię, kruchy i dziwny budynek, otwarty na wszelkie kaprysy pogody.

Deszcz przeszedł w ulewę. Gwałtowne podmuchy wiatru wstrząsały dziwną konstrukcją świątyni. Jej filary i delikatne łuki celowo nie były zwieńczone sklepieniami, żeby oczyszczający deszcz mógł rytualnie obmywać nawy świątyni. Woda spływała strumieniami po smukłych kolumnach z czarnego bazaltu i wsiąkała we wszechobecny mech. Z powodu wilgoci i mchu budowla przypominała skamieniały las, choć częściowo zachowała swój pierwotny kolor.

Gavor przekroczył próg świątyni. Wewnątrz, z powodu szalejącej burzy i późnej już pory, z trudem odróżnił duży kwadratowy blok kamienny, stojący pośrodku budowli oraz widniejący pod murem rząd niewielkich nisz, w których leżały złożone wota.

- Czego szukasz, synu wszechświata, bracie nieszczęścia, ojciec nieprawości? - cicho zapytał go mnich, który zjawił się u jego boku. Jego okryta piaszczem zakonnym postać zlewała się z nastającą ciemnością.

- Dlaczego nadajesz mi te wszystkie imiona? - spytał zaintrygowany Gavor.

- Wszystkich tak zwiemy: poki nie nadejdzie odpowiednia chwila, wszyscy będziemy ojcami nieprawości. Wszechświat powołał nas do życia, jesteśmy więc jego synami. Co do nieszczęścia zaś, jest ono nieodłącznym naszym towarzyszem... Ale nie odpowiedziałeś mi. Pytałem, czego szukasz, gdyż noc już blisko, a grzmot przetacza się po niebieskich bezdrożach.

- Szukam białego księżyca.

Zakonnik zamarł na chwilę, która zdawała się niezwykle długa, potem gwałtownie uskokzył w bok i zwinął się przed nim. W tym momencie błyskawica rozjaśniła ciemność świątyni. Gavor ujrzał młodą i gładką twarz, błyszczące i duże oczy, które wpatrywały się w niego ze zdziwieniem.

- Księżyc jest biały tylko dla tego, kto posiada klucz do wiedzy - zawyrokował młody zakonnik, a cień, który znów go skrył, wydał się po nagłym, oslepiającym blasku jeszcze bardziej nieprzenikniony. I dodał głosem niepewnym i podejrzliwym

- Ale ty może nie wiesz jeszcze wystarczająco dużo. Kto ciebie przysyła, żołnierzu?

- Przysyła mnie Kroneb, medrzec z jaskini i chce mówić z Zostharem, Wielkim Akolita. Powiedz mu, że przybywam w imieniu Meklura.

Sala była długa i przestronna, wydrążona w żywej skale, rozświetlana ją nieskonczona ilość świec. Czterdziestu zakonników zasiadło wokół długiego stołu, a przed każdym stała misa i dzban. Gavor siedział pośrodku, obok Wielkiego Akolity, człowieka, który z pokorą i wyrzeczeniami przyjął na siebie ciężar całego zakonu.

- To, co widzisz, stanowi tylko zewnętrzny pozor, maskę, która umożliwia nam kierowanie sektą. Kroneb powiedział ci, że mnichami jesteśmy tylko z nazwy. Dla najmłodszych z nas to tylko habit, nic więcej. A ja i wszyscy starsi... coż, nie jesteśmy już zakonnikami, a raczej jesteśmy nimi w odmienny sposób: ojciec twojej matki nauczył nas, że prawdziwa religia jednoczy się z prawdziwą nauką, a prawdziwa wiedza to ta, którą nam przekazał, nim umarł.

- Wiedza, której ja nie znam - z zakłopotaniem zauważył Gavor.

- Będziesz miał cały twój czas na jej poznanie - uspokoił go Zosthar. Zmierzył sobie długą brodę i dodał: - Jedno musi być jasne. Jesteś spadkobiercą Meklura, żyjącym dowodem jego ludzkości, ale dziedzictwo krwi nie daje ci żadnych praw. Od nikogo nie możesz spodziewać się tutaj żadnych przywilejów. Nie jesteś bowiem potomkiem boga. Meklur zawsze podkreślał, że bogowie nie istnieją i że on sam jest tylko człowiekiem.

- Ale ja... - nieswojo wyjąkał Gavor, rozglądając się wokół - ja nie żądam niczego. Jestem tutaj po to, żeby służyć. Komu winien jestem posłuszeństwo?

- Teraz mnie - odparł Zosthar. - Ale dlatego tylko, że ja jestem głosem woli wszystkich lub prawie wszystkich. Moja władza trwać będzie dopoty, dopoki oparta będzie na powszechnej aprobacie i ty sam, lub ktokolwiek inny, będziesz mógł jutro przejąć moją funkcję, jeśli większość adeptów tak zdecyduje.

Gavor uśmiechnął się, nie potrafiąc ukryć sceptycyzmu.

- W ten sposób autorytet władzy nigdy nie będzie pewny...

A dlaczego obrońcy Shillpan musieli odepchnąć Thungusów? Żeby zachować swoją własność i życie w bogactwie.

Śmierć stanowiła cenę, którą każdy gotów był zapłacić. Każdy, nie licząc najwyższych kapłanów i panów, którzy zaszyli się w celach świątyni lub w warownych baszalach fortecy.

Rozdział XVIII

- Zdażyłem się już przyzwyczaić - powtarzał stary żołnierz, ocierając przedramieniem pot. - Co rok lub prawie co rok historia się powtarza. Thungusi przybywają, palą zbiory, grabią bydło. I, nienasycony, próbują spłądować miasto, żeby powrócić na swoje pustynie obładowani złotem i z naszymi kobietami. Zawsze jednak wracają z niczym. Shillpan jest niezwyciężony.

- Ale tym razem niewiele brakowało - uśmiechnął się Gavor. Opatrywał swoje drasnięcia i kontuzje, odniesione w ostatnim, decydującym starciu. Dłogał przy tym prac ziemnych przy fosach, do których stawili się wszyscy mężczyźni okregu.

Stara historia - powtórzył żołnierz, spluwając w ręce i łapiąc się za łopate. - Żeby już na tym zajął się.

Złapał za nogi ciała poległego Thungusa i wrzucił je do fosy.

- Pas ziemi wokół murów - powiedział, zwracając się do Gavora - jest najżyźniejszy w całym regionie. Ziemia tak tłusta, że mogłaby dawać podwójny plon. Bylibyśmy jednak szalencami, gdybyśmy ją uprawiali: ze zbiorów cieszyłby się Thungusi lub poszłyby na zmarnowanie.

- Mają właściwie do tego prawo - zażartował Gavor - skoro ich własne ciała służą za nawóz.

Może starzec nie pojął ironii, a może nabrał niejasnych podejrzeń. Rzucił na Gavora niepewne spojrzenie i bez słowa wziął się do pracy.

★

Thungusi wycofali się, pozostawiając jak zwykle za sobą spalony krag lasów, rozparcz i nędzę: pola uprawne wokół Shillpan zostały spustoszone, zbiory zapowadały się mizernie, nawet w części nie mogły zaspokoić potrzeb ludności.

Kupcy, którzy zjawili się w Shillpan po zakończeniu obleżenia, opowiadali o podobnej nędzy na północy i o krwawo stłumionych buntach, o żołnierzach podstępnie pomordowanych i rzuconych swiniom jako strawa, o buntownikach strącanych wraz z odpadkami z murów zamków.

Żołnierze są silniejsi, lepiej uzbrojeni - opowiadali kupcy - Wprawiają się w sztuce wojennej całymi dniami i są w stanie walczyć, tak jak chłopci orac. Tylko człowiek niespełna rozumu może sądzić, że zdoła ich pokonać.

Gavor przysłuchiwał się tym rozmowom i przypominał sobie opowieść o Durkalu z Thumby, zaszywaną od drwala Andiraga w borach Wilczych Dolów.

Heroldzi Hosplunda przemierzali kraj. Obwieszczenie było jasne i nieodwołalne: połowa zbiorów, jakkolwiek mierne by one były, należała się pod karą śmierci władcy Shillpan.

W sytuacji, jaka panowała, nakaz brzmiał jak okrutna kpina. Pewien chłop uniósł motykę i rozwałił głowę wysłannikowi z zamku. Podziało to jak iskra na rżysku. W jednej chwili zewsząd zerwał się krzyk, połała się krew, żołnierze ginęli hańbiąc przebici widłami lub od ciosów szyletów w plecy. Ale rzecz jasna, za wszystko zapłacili wiesniacy.

Gavor został wysłany z poleceniem stłumienia jednego z wielu ognisk buntu, dwadzieścia mil na południe od stolicy. Przyparty do muru, starał się nie zabijać ludzi, którzy znaleźli się przed nim, bił płazem, nikogo nie raniąc, odrzucał od swojej piersi żeby widel i sinawe ostrza wąskich rydli. Taka forma obrony niezbyt długo przynosiła rezultat. Szybko znalazł się z daleka od swojego oddziału, otoczony rannymi buntownikami, którzy nacierali na niego z dziką desperacją.

Jakaś motyka z całą mocą spadła na jego ramię, otwierając głęboką ranę. Zwałił się z konia na scierisko i ujrzał nad sobą żelazo widel i ramiona tuzina szyderczo wreszczących wiesniaków. A potem ruda grzywa Duny oplótła go niby całunem. Znów stał się dzieckiem w Thune, w stodole pachnącej

świeżo zwiezionym sianem. A Duna, towarzysząca jego zabaw, rzuciła się na niego, przewracając go ze śmiechem.

■

- Duna... - wymamrotał Gavor w gorączkowych majakach. Chłodna ręka jego dziewczyny musnęła mu czoło - Brakowało mi ciebie... tak mi ciebie brakowało
- Nic nie mów, jesteś jeszcze słaby - mówiła. Ale głos nie należał do Duny. Był inny, oschły, nie miał śpiewności ludzi z Thune.

- Ty nie jesteś Duna... - zakała Gavor. Rozczarowanie było silniejsze od niego, płakał jak dziecko i gorzkie łzy płynęły mu po policzkach. Unosił rękę, chcąc je osuszyć, i przeraził się: To nie mogła być jego ręka: to była ręka umarłego. Biała, chuda, z widocznymi pod przeźroczystą skórą żyłami, niebieskimi i delikatnymi jak rzeki na mapie wuja Obhera.

- Leż spokojnie, nie mów i nie ruszaj się - nakazał stanowczy głos dziewczyny, którą wziął za Dune. - Zobaczysz, że wyzdrowiejesz, ale musisz robić to, co ci nakaze.

Być uległym wydało mu się mniej męczące od dyskusowania.

Tego dnia obudził się ponownie, a ona jeszcze raz nakazała mu wypoczywać. Ale za trzecim razem zdało mu się, że nabrał nieco siły i spróbował unieść się na sienniku.

- Gdzie ja jestem! Kim jesteś?

- Jesteś w lesie, w kryjówce Hozasa, człowieka, którego spotkałeś na rynku w Kongarabh. Ja jestem jego córką.

- Hozas? - wymamrotał Gavor z zamętami w głowie. - Co tutaj robisz?

- Byles ranny, leżałeś bez czucia całe osiem dni, a ja opiekowałam się tobą jak matka swoim noworodkiem. Ale widzę, że szybko przychodzisz do siebie i już chciałbys gdzieś pędzić - powiedziała z dąsem. - Wbrew moim poleceniom. Kazałam ci leżeć spokojnie, nie mówiłam ci przecież, żebyś unosił się i trwonil tę odrobinę siły, którą dzięki mnie odzyskałeś.

- Chce... chce wiedzieć, dlaczego tu jestem, co tu robię. Chce wiedzieć, kto mnie ranił, od kiedy...

W głowie mu się zakręciło. Zamknął oczy i osunął się na posłanie. Kiedy tracił czucie, usłyszał jeszcze głos dziewczyny:

- Już ci mówiłam...

★

Gavor spędził w lesnej kryjówce więcej czasu, niż mógł i chciał pamiętać. Za każdym razem, kiedy próbował stanąć na nogi, przewracał się, a Hancła, córka Hozasa, musiała pielegnować go dokładnie jak noworodka.

- Miałeś szczęście, że mój ojciec był w pobliżu, kiedy ci ranił - mówiła mu. - W przeciwnym razie zostałby już z ciebie wydziołany przez kruki szkielet

- Nie miałyby wielkiej uczty - śmiał się Gavor, patrząc na swoje sterczące kości.

- Wtedy wyglądałeś inaczej, byles postawnym chłopcem - prowokująco mówiła Hancła. - Teraz żadna by cię nie chciała, nawet ta Duna, o której mówiłaś w majakach.

- Duna tak, Duna mnie zechce - spierał się. Wtedy twarz Hancły chmurzyła się i nie chciała więcej rozmawiać. Jej twarz była zacięta i nieprzenikniona, rzadko znikła z niej surowy mars, ale jej silne, nawykłe do pracy ramiona potrafiły być delikatne, a jej grube palce poruszały się z łagodnością i uczuciem.

Hozas prawie zawsze był poza domem. Po stłumieniu buntu żołnierze Hosplunda zwerbowali go razem z innymi do prac przy naprawianiu zamkowych murów. Wracał raz na pięć lub sześć dni, na lichej, wychudzonej szkapie, przesypiał noc i o świcie wyruszał z powrotem.

- Możesz być spokojny - powiedział mu pewnego wieczoru, podczas skromnego posiłku. - W Shillpan wszyscy sądzą, że zginąłeś, nikt nie będzie cię szukał.

- Za parę dni wyruszę - próbował tłumaczyć Gavor.

- Ja też ruszę - powiedziała Hancła.

- Z nim?

- On mnie nie chce. Ruszę sama, w tundrę, na północ od Wielkiej Rzeki

wszystkim musimy wytepić przesładowców, a nie będzie to rzeczą prostą, gdyż stanowią oni jedność z kapłanami, a sprzyja im prostactwo ludu.

- Co mam zrobić?

- Wyruszysz do Bhakry, do sanktuarium boga deszczu i zapytasz o Wielkiego Akolite. To on trzyma nici wszystkiego. Staw się przed nim i wyjaw, kim jesteś.

- Wyruszę jutro skoro świt...

- Nie. Zatrzymasz się tutaj jeszcze parę dni. Zbyt wiele rzeczy jeszcze nie wiesz... Ja jestem tylko pośrednim ogniwem. Nim jednak zapoznasz się z relikwiami po Meklurze, pozwól, bym ja zadbał o twoją inicjację.

- Zgoda - przytaknął Gavor. - Powiedz mi jeszcze: dlaczego biały księżyc?

Kroneb uśmiechnął się

- W świecie Meklura księżyc nie jest fioletowy. Jest biały, iskrzy się jak śnieg w promieniach słońca.

Rozdział XX

Niezdrowy odor na miłe otaczał miasto. Cała nędza świata, nieuleczalnie chorzy, mierni szarlatani i oszuści skupili się wokół Bhakry i jej świątyni oczekując cudów.

Wielki portal z czarnego kamienia prowadzący do miasteczka wienieczył zatarty, choć jeszcze czytelny napis:

*By pozyskać łaskę bogów
cztery rzeczy są niezbędne
spłodzić syna
wykopać studnię
zasadzić drzewo
odbyć pielgrzymkę do Bhakry*

- Dawniej napis brzmiał inaczej - zasmiał się jakiś kaleka, wlokący się obok Gavora. - Trzy były rzeczy potrzebne dla uzyskania łaski bogów, nie było mowy o pielgrzymce do Bhakry. Ale w miejscu tym, niechaj niebo je przeklnie, aż roi się od karczmarzy i jeden z nich, syn dzikusy z lasu i ulicznej dziewczki, zmienił napis, po wsze czasy nabijając sobie w ten sposób kabzę. Nie mogę uwierzyć, że bogowie mogliby upatrzyć sobie podobne miejsce!

- Dlaczego więc przybyłeś tutaj? - zapytał Gavor. Także i jemu miasto wydało się nędzne i ponure, mimo otaczającego je tłumy. A może właśnie ów tłum tworzył tak ponurą atmosferę.

- Nie wierzę w cuda - odpowiedział kaleka z grymasem - ale nigdy nic nie wiadomo... Słyszałem o ślepcach, którzy odzyskali wzrok, tutaj, w Bhakrze, i o niemowcach, którym wrocila mowa. Kto wie, może znajdzie się zaklęcie dla nog, które nie mogą się poruszać...

Wzgórza sanktuariów było strome, tłumnie oblegane przez nędzarzy i Gavor stracił kalekę z oczu. Ale zdawało się, że wszystkich przygnała tutaj taka sama mieszanina niedowiarstwa i nadziei, a w przekleństwach unoszących się w cuchnącym powietrzu pobrzmiwał ton groźby i upokarzającego błagania. Żymny wieczorny wiatr wciskał się pod łachmany, przewiewał otwarte rany, powodował drżenie u tych, których nie trzęsła jeszcze febra. A czarne kruki, wysoko w górze, krakały z ponurą rozpaczą.

Tymczasem niskie i ciężkie chmury zawisły nagle jakby ściągnięte maglą nad szczytem wzgórza. Gavor rozglądał się, próbując odgadnąć, która ze świątyni budowli wznoszących się na zboczach może być świątynią boga deszczu.

- Jej mury są z błękitnego kamienia - powiedział mu Kroneb - a kopuła szeroko otwarta na niebo.

Żadna ze świątyni nie odpowiadała temu opisowi. Chciał dowiedzieć się czegoś od obdartych pielgrzymów, którzy wraz z nim wdrapywali się stromymi ścieżkami wzgórza: w odpowiedzi obrzucano go wrogimi przekleństwami. Starucha z twarzą oszpeconą koroną ropiejących wrzodów zachichotała szyderczo.

- Zaraz będziemy mieli polop - powiedziała z wyraźną ironią - a ty chcesz modlić się do boga deszczu!

Gavor przyspieszył kroku i skreślił w boczną ścieżkę z zamiarem obejścia wzgórza. Przeszedł przez

nego i niegodnego ucznia. Gavor i już brzemienna Margret byli prześladowani i musieli uciekać. Ale sieparcy kapłanów wysledzili ich i zadali im śmiertelne rany. Ciało Margret znaleziono w lasach pod Samarabih, ciało Gavora niedaleko zachodniej bramy miasta. Po dziecku żadnego śladu

Mój ojciec zdążył powierzyć mnie kowalowi

Wiem, powiedziałeś mi to we śnie, jaki sprowadziły na ciebie moje zioła.

Gavor przez chwilę milczał. I wybuchnął

A teraz? Co mam czynić?

Teraz jesteś jak luk napięty do granic wytrzymałości. Czytam w twoich oczach tysiące pytań, ale musisz posilić się i wypocząć. Później będziemy mieć dużo czasu na dalsze rozmowy.

Zapadła noc i wylot jaskini otwierał się na nieprzenikloną ciemność. Kon Hanchi grzebał kopytami, niespokojny, choć uwiązany był w pewnym miejscu i nie brakowało mu paszy. Para nietoperzy miotła się między ścianami jaskini w niemyj i ślepej gonitwie, pozornie bez celu.

- Stawiasz za dużo pytań - mówił spokojnym głosem, który drżał głęboko, odbijany od ścian jaskini Iduor Meklur zaczął nauczać dopiero w ostatnich latach życia. Ja byłem jednym z pierwszych jego uczniów, załasczynowały mnie jego smutne i niewiarygodne opowieści. Iduor nie nauczał na placach, wołał zaciemnione kąty ławern, lesne polany, na których miał zwyczaj pogrążać się w medytacjach.

Ty go znasz! - westchnął Gavor z nutą żalu.

- Tak, znałem go. Miał zolite oczy krogulca, ale głos łagodny i drżący niczym głos turkawki. Kiedy wpadał w melancholie, intonował dziwaczne melodie, tajemnicze i niezrozumiałe piosenki swoich stron...

- Skąd przybył?

Kroneb rozłożył bezzadnie ramiona.

- Nawet on tego nie wiedział. Żył sobie spokojnie w swoim świecie, świecie odmiennym od naszego, ale także i podobnym, jeśli trzymać się jego opowieści, i nagle... ot tak, w jednej chwili, poczuł, że oplata go mroczny płaszcz, a kiedy znowu ujrzał światło, znajdował się posrodku lodowej tundry, za Wielką Rzeką.

- Na bogów - wykrzyknął Gavor. - Co to za historia? Jak może być, że sam Iduor nie był w stanie określić swego pochodzenia! No właśnie, ten jego świat musi przecieć gdzieś istnieć, może za Kordyliera Smoków, może za wschodnią pustynią, a może za ogromnym, lodowym morzem północy...

Kroneb cały czas potrząsał głową.

- Bezowocne jest szukanie tam, gdzie myślisz. Iduor miał swój pogląd na te kwestie. Mówił, że jego świat znajduje się tutaj, przemierzany z naszym, a jednak niewidoczny. Mówił, że przestrzeń jest jedna, ale jest nieskończona ilość światów, a wszystkie zajmują tę samą przestrzeń, choć pozostają sobie nieznane. Światy, które mogą nie wiedzieć o swoim wzajemnym istnieniu, tak jak nie wiedzą o sobie sowy i gołębie, choć zamieszkują ten sam obszar. To bardzo odległe porównanie, lecz trudno znaleźć mi odpowiedniejsze. Iduor rzekł, że pewnego dnia ludzie odnajdą klucz do otwarcia wszystkich drzwi i będą mogli przechodzić ze świata do świata zgodnie z własną wolą, a nie tak, jak sprawi ślepy los, wbrew nim samym. Ten dzień jest jednak bardzo odległy, nie wystarczy, być może, wiedza stu pokoleń uczonych...

- To szalenstwo - Gavor przygasał nagle. - Szukałem cały rok, cały rok cierpiałem niewolę, udręce, nadludzkie trudy. I po to tylko, żeby usłyszeć teraz o świecie, który jest i którego nie ma, o świecie, który otworzy swoje wrota, kiedy kosci moje staną się prochem...

- Dość - przerwał mu Kroneb. - W sekcie Meklura są uczniowie, którzy zajmują się teorią, ale są i inni, większość, którzy dbają o sprawy namacalne.

- Co to znaczy?

- Powiedziałeś, że cierpiałeś niewolę, trudy i udręce. Cierpiałeś też pewnie głód i znosiłeś niesprawiedliwość. A więc dobrze, bliski cel, ku któremu dąży nasza sekta, to wykorzystanie głodu i niesprawiedliwości. Jesteś młody, porywczy i jak wszyscy młodzieńcy zbyt mało oddajesz się refleksji, wolisz działać. Jeśli chcesz do nas przystać, jeśli zamierzasz uszanować pamięć ojca twojej matki, człowieka, który rozbudził nasze umysły, znajdzie się dla ciebie zajęcie. Czas wielkiego buntu jest już bliski. Przede

Hozas potrząsał głową z wyraźną niechęcią

- Moja córka nie zle w głowie - powiedział. Któregoś dnia rzeczywiście mnie zostawi i skaże na samotną starość.

- Zawsze możesz osiedlić się w Kongarabih, u mojej siostry, tej, która miała więcej szczęścia ode mnie: znalazła sobie męża.

Stary Hozas potrząsał cały czas głową, ale nie odrzekł.

Następnego dnia, kiedy podawała Gavorowi dzban z wodą do umycia, powiedziała, wskazując na jego amulet.

- Kroneb ma taki sam.

Gavor aż podskoczył, wytracając jej dzban z rąk.

Kto to jest Kroneb? Jesteś pewna, że jego amulet jest taki sam? Możesz zaprowadzić mnie do niego?

Wszystko po kolei! - zaprotestowała urazona, zbierając skorupy. - I co teraz zrobisz z dzbanem? Sam będziesz chodził do studni?

Powiedz mi, kim jest Kroneb! - Gavor mocno złapał ją za rękę.

Ho, ho, myszów pokazał swoje szpony - Hancha rozmasowywała sobie nadgarstek, na którym pojawiły się dwa wyraźne, czerwone ślady. - Zadales mi ból. Nie umiesz mówić tylko językiem, musisz pomagać sobie rękoma?

Próbował wytłumaczyć się, pospiesznie i niezręcznie. Ciekawość usłyszenia czegoś o Kronebie była zbyt silna.

- Proszę cię, powiedz mi, kto to jest, gdzie mieszka, co robi. Powiedz, jak mogę go zobaczyć.

- Rozumiem - pogodziła się Hancha. - Czas ci już ruszać.

Gniewny dreszcz wstrząsał jej potężnymi ramionami. Zaskoczony Gavor patrzył na jej zmarszczonej twarzy. Delikatnie wziął ją za rękę i pocałował czerwone ślady na nadgarstku, jak pociesza się dziecko, gdy upadnie. Hancha uwolniła się gwałtownie, odwróciła i wybiegła z chaty.

- Nie osmielaj się nigdy więcej dotykać mnie twoimi brudnymi łapami - zawołała zdławionym głosem. I zniknęła w lesie. Kiedy dwie godziny później wróciła, była tą samą Hanchą, surową i opanowaną jak stary towarzysz broni.

Gavor obawiał się powrócić do rozmowy o tajemniczym Kronebie, ale ona sama zaczęła, tonem najzupełniej normalnym.

- Jeśli jutro będziesz czuł się na siłach, mogę zaprowadzić cię do niego.

I dodała:

- Kiedyś pracowałam u Kroneb, sprzątałam te obrzydliwą nore, którą on zwie domem. To stary mędrzec, nie stąd, myślę, że jest też jasnowidzem: w naszych stronach nikt nie wie tyle co on. Wybrał jednak życie w odosobnieniu, z daleka od wszystkich. Niektórzy mówią, że jest kapłanem jakiegoś tajemniczego kultu, ale może to tylko pogłoski. Jedno jest pewne: Kroneb ma dokładnie taki amulet, jaki ty nosisz na szyi.

Tej nocy Gavor nie zdołał zasnąć. Kreślił się na sienniku, wyobrażając sobie moment spotkania ze starcem w jego kryjówce. Zdawało mu się, że w świetle księżyca widzi plecy Hanchi jakby wstrząsane płaczem.

- Przekonasz się, że życie to nieustanne rozstania - powiedział mu wuj Obher. - I zrozumiesz, że każdy twój gest, każde twoje postanowienie, nawet najmniej znaczące, wpłynie nie tylko na twój los, ale także na losy innych.

*

Następnego ranka Hancha zaryglowała drzwi chaty. Przez ramię przewiesiła worek z pożywieniem i ubraniami. Wyprowadziła konia i zaryglowała też wrota stajni.

- Trochę pojdziemy razem - powiedziała dziewczyna. - A potem, na rozstaju w Lilienthal, ja ruszę traktem północnym, a ty skierujesz się na południe, aż do Zwałonego Mostu. I tam już nie zabłądzisz: jest tylko jedna ścieżka i prowadzi ona do jaskini Kroneba.

Przez całą drogę już nie rozmawiali. Kon nie był rasowy, ale dobrze utrzymany i wykarmiony, razno posuwał się naprzód. Już wkrótce dotarli do Lilienthal, wioski otoczonej gęstym lasem drzew poziomkowych.

- Zsadź mnie tutaj – powiedziała Hancła. I dodała: – Powodzenia!
 Pare chwil patrzył na nią, zaskoczony.
 - Koń – powiedział. – Zostawiasz konia?
 - Zabrałoby mi go rabusie – wyjaśniła. – Jestem tylko bezbronną kobietą. Zatrzymaj konia. Nosisz szaty Hospłunda i masz miecz przy boku. Możesz się bronić.
 Gavor siegnął ręką do sakwy, zawieszanej przy pasie i wyjął parę monet.
 - Pozwól przynajmniej, bym cię wynagrodził za konia, którego mi dajesz.
 - Nie, nie chcę pieniędzy. Z nich też by mnie ograbiono. Wole podróżować w swoich lachmanach, nie będę miała nic do stracenia.
 Gavor okazał zniecierpliwienie.
 - Powiedz mi chociaż, po co ruszasz w tundrę, na koniec świata.
 Zimny uśmiech wykrzywił usta Hancli.
 - Jesteś głupi, Gavor. Pytasz, po co ruszam w tundrę. Idę poszukać sobie męża wśród pastuchów. Ja też chcę mieć męża, nawet jeśli jestem brzydka. I chcę rodzić dzieci. Tam daleko owczarze potrzebują kobiet, a ja jestem zdrowa i silna, choć nie mam włosów twojej Duny...
 Gavor w napywie czułości spróbował ją zatrzymać.
 - Nie dotykaj mnie, potworze!
 Pobiegła niezgrabnym i ciężkim krokiem. Ale kiedy odwróciła się, żeby przesłać ostatnie pozdrowienie, uniosła dłoń w geście wdzięcznym i lekkim, subtelnym jak rozplywająca się mgła nad polami.

Rozdział XIX

- Wejdz, cudzoziemcze – z głębi jaskini doszedł go zmechniony głos. Miejsce było ponure i niewiele widać, ale sądząc po tym, jak rozbrzmiewały zasłyszane słowa, musiało być przestronne. Głos ow był jak echo podziemnego źródła, donośny i odległy. każde wypowiedziane słowo odbijało się od ścian jakby uwiecznione w pudle rezonansowym.

Oczy powoli przywykły do półmroku. Ujrzał duże zwierciadło rzeźbiarskie, oparte o boczną ścianę jaskini, była tam duża drewniana skrzynia pełna białych, podobnych do zboża kłosów, był kołnierzyk utkany jaskrawymi barwami; i wszędzie zwoje pergaminu. Kawał solonego mięsa zwisał w rogu, gdzie wysoko na sto stop sklepienie opadało niemal pionowo.

I wreszcie, siedzący ze skrzyżowanymi nogami na owczej skorze człowiek. Człowiek bardzo stary, błądy i chudy, z ogromną brodą i białymi jak śnieg włosami.

- Tylko jedno pytanie – powiedział Gavor, stając przed starcem, który ani drgnął. Zdjął z szyi amulet i rzucił do stóp Kronebów. – Jakiego koloru jest księżyc?

Długa, bardzo długa chwila, stary Kroneb wpatrywał się w niego. Nie drgnął mu żaden mięsień, lecz w jakiś sposób jego sztywna surowość nabrała odmiennego wyrazu. Tak jakby wstrzymał oddech, niepewny odpowiedzi, którą jednak dawało się odczuć.

Potem Kroneb podniósł amulet i przedtrzymał go na otwartej dłoni. Jego orle spojrzenie przesunęło się niepewnie pomiędzy niewielkim przedmiotem, a ogromną postacią Gavora.

- Hancła, córka Hozasa, powiedziała mi, że masz taki sam. Odpowiedz, na wszystkich bogów: jakiego koloru jest księżyc?

- Księżyc jest biały – odpowiedział starzec. Uniósł się z trudem i rozpalil ogień w kregu poczerwiałych kamieni, zajmujących radek jaskini. Potem z misy chlusnął na kamienie trochę wody, która skwierczała natychmiast wyparowując. Gavor poczuł, że zapada się w powolny gwiazdzisty krąg.

- „Dorzuć coś do wody – pomyślał resztkami świadomości – i przez oddech...”

I odżyło silne wspomnienie Uljany, czarownicy, która omotała go na długie miesiące. Ona też paliła wonności i uciekała się do mnóstwa podobnych sztuczek, kiedy chciała wywołać oszołomienie, wspomnienie, sen lub przyjemność.

Gavor miał uczucie, jakby nagle zapadł się w lodowaty całun posrodku zawieruchy i spadał w nieznanym kierunku. Ogarnął go ciężki, nieublagany, zaborczy sen i nie próbował nawet opierać się, przeciwnie, poddał się ufnie. Księżyc jest biały, powiedział mu starzec i w jednej chwili opuszcza go

wszelka nieufność. Księżyc jest biały. Osunął się na ziemię całkowicie pewien, że nareszcie osiągnął cel.

■

Kiedy powróciła mu świadomość, poczuł, że starzec stoi nad nim i pochyłony bacznie go obserwuje. Kościste palce Kroneba przesunęły się lekko po jego czole i karku; poczuł je na skroniach i wyczuł lekki ucisk u nasady nosa i za uszami.

Wiem już, kim jesteś – powiedział głosem spokojnym i głębokim, w którym jednak znac było podniecenie. – Spales krotko, ale wiele powiedziałaś, otrzymałem odpowiedź na wszystkie moje pytania.

Pomógł mu się unieść, namowił do wypicia palącego likworu, który z krwią obiegił całe ciało, i powtórzył:

- Wiem już, kim jesteś, cudzoziemcze.

Gavor spoglądał na niego oszołomiony.

- Ja jestem Gavor, syn Gavora.

- Bez wątplenia – zgodził się Kroneb. – Ponad dwadzieścia lat temu zaginął wszelki ślad po tobie. Nie wiedzieliśmy nawet, czy Margret wydała na świat chłopca czy dziewczynkę. Ale oto przybywasz w najbardziej odpowiednim momencie i jesteś jak najszlachetniejsze błogosławieństwo. Jesteś niby pieczęć, żyjący dowód, jesteś tym, który może uwierzytelnić wszystkie nasze żądania...

- Nie rozumiem...

- Słuchaj mnie uważnie, a wszystko stanie się dla ciebie jasne, przejrzyste jak źródłana woda.

Gory okrył odległy i mroczny deszcz, jedynie jaskinia stanowiła oazę spokoju, a wszelkie odgłosy z zewnątrz dochodziły jak zamierzchłe echo. Wilki opuściły swe legowiska, podobnie jak sokoły, potężne gorskie orły, czerwone lisy ze splaszczonymi pyskami i gestymi, puszystymi ogonami. Świat istniał na zewnątrz, poza grota Kroneba. A wewnątrz tylko głos starca, gdy odsłaniał tajemnice.

- Mówię do ciebie w imieniu Meklura, słuchaj mnie chłopcze. Więcej niż czterdzieści lat temu, w tundrze, która rozciąga się na północ do Wielkiej Rzeki, owczarze zapuszczający się ze swoimi stadami na sto mil od osad znaleźli na ścieżce umierającego człowieka. Mężczyzna ów, cudzoziemiec, ubrany był na sposób nigdy u nas nie widziany i leżał skostniały z zimna, pod byle jak skleconym schronieniem z gałęzi. Na ręce miał dziwną bransoletę, a w kieszeniach różne tajemnicze przedmioty...

- Kim był ten człowiek? – przerwał Gavor.

- Milcz i słuchaj, chłopcze. To historia długa i zawiła, nie każ mi wyprzedzać rzeczy, które wypowiem dzieć muszę we właściwym porządku... Był więc ten człowiek. Owczarze przeniesli go pod namiot i nie skąpili mu należytej troski, ale człowiek ten wyglądał, jakby postradał rozum, mówił niezrozumiałym językiem i w napadach szału płakał zrozpaczony. Choroba, która nim owładnęła, powoli ustępowała. Nauczył się języka owczarzy i pozostał z nim ponad dwa lata. Człowiek ten zwał się Iduor i w niejasny i dziwny sposób określał miejsce swojego pochodzenia...

Iduor – wykrzyknął Gavor. – Mówisz o heretyku, który zginął na placu w Fanarabh?

Kroneb przytaknął szybkim ruchem głowy.

- Owczarze uznali go za boga, który spadł z nieba, tak jak deszcz, ale on bronił się przed tym, utrzymując, że jest tylko człowiekiem. Potem Iduor wywedrował z tundry, przekroczył Wielką Rzekę i przybył na południe, do świata bardziej rozwiniętego: odwiedził Kongarabh i Shilpan, poznał rzemieślników, świątynie, opanował nasze pismo, sztukę znaną prawie wyłącznie kapłanom...

- Ja też umiem pisać – wymamrotał Gavor.

- Wiem, wyjawiliś mi to we śnie. Ale milcz i słuchaj. Po paru latach wędrówek, Iduor osiadł w Fanarabh, nad brzegiem rzeki Fane-Gur, zyl z czarów i zapisywał dziesiątki zwojów pergaminu: całą wiedzę swojego świata. Poślubił młodą dziewczynę imieniem Kadmia, dała mu ona dwie córki. Pierwsza, Liza, umarła bardzo młodo podczas szalejącej zarazy, która zdziesiątkowała całą krainę. Druga, Margret, wyszła za Gavora z Kongarabh.

- Moją ojcę...

Tak, twój ojciec. Ale pozwól mi skończyć, chłopcze. Minał rok i kapłani zabili Kadmię i przywieźli na stos Iduora pod zarzutem herezji: nieznanymi praktykami wyleczył zbyt wielu chorych, przede wszystkim zaś występował przeciw prawu kapłanów i panów. A stało się to przez zdradę jego zawist-

PRZYPADEK EWARYSTA

ciąg dalszy ze str. 20

ile zdołałem dojrzec, było dużo roślin doniczkowych, stojących posród byle jak rozstawionych sprzętów. Rzuciło się w oczy, że już od dawna pokoje te nie były przez nikogo sprzątane. Sprząty rozstawiono chaotycznie, bez żadnego pomysłu. Nozdrza atakował wciskający się wszędzie zapach stęchlizny i kurzu. Czy możliwe, żeby Ewelina weszła właśnie tutaj?

Nagle usłyszałem ciche pstryknięcie, przedpokój zalało jasne światło. Liście roślin w pokojach poruszyły się. „Zasiani Ludzie” – pomyślałem z lekiem, tak, jakby w mojej głowie otworzyła się nagle jakaś mała, lecz groźna szufladka. Czyżbym był w pułapce? Błyskawicznie podążyłem ku zbawczemu wyjściu – dziurce od klucza. Zdążyłem w ostatniej chwili, bo zaraz zakrył ją jakiś miesisty liść. Byłem tak przerażony, że uciekałem w formie dymu aż do chwili, gdy zmarkowałem, że jestem na ulicy. Wtedy dopiero, w jakimś zaułku, przybrałem ludzką formę.

Za wszelką cenę postanowiłem jednak doprowadzić do końca te peregrynacje. I jakież było moje zdziwienie, gdy po dość długim czasie, zziębnięty już i wściekły, dojrzałem wychodzącą z bramy kamieniczki Ewelinę wraz z... Ewarystem Galois. Byłem tak podekscytowany, że śledząc ich zapominałem nieomal o elementarnych regułach szpiegowania. Próbowałem zamienić się w jakiś przedmiot, zwierze lub roślinę, ale bezskutecznie; skonstatowałem to z niezadowolaniem, lecz bez zdziwienia. Moja niespodziewana wizyta w przedstawicielstwie Wenus musiała niekorzystnie wpłynąć na stosunek duchów planetarnych do mnie.

Na skutek wymienionego zaniedbania znalazłem się kilkakrotnie w polu widzenia Ewarysta; nie mogłem śledzić ich dłużej. Zdołałem jednak zauważyć, że Galois jest zmieniony, ruchy ma bardziej zdecydowane a zarazem precyzyjniejsze. Ewelina zachowywała się normalnie, jakby nigdy nie знаła innego Ewarysta Galois. Właśnie to zdecydowanie ruchów, brak najmniejszych zawań nasunęły mi podejrzenie co do domniemanej sztuczności Ewarysta numer dwa. Może był artefaktem, stworzonym w prowadzonych przez duchy planetarne fabrykach? Na razie nie mogłem tego sprawdzić.

Przez jakiś czas rozważałem, czy nie będzie roztropniej ostrzec „Ewarysta numer jeden”, uprzedzić go jakoś o pojawieniu się sobowtóra. Zauważyłem, że odwiedza on te same miejsca, w których często przebywał również „prawdziwy” Ewaryst. Bywał u tych samych ludzi, odwiedzał te same kawiarnie, a także – równie często, a nawet chyba częściej – Ewelinę.

Śledziłem tych dwoje, tak, przyznając; rozpoznawałem nateżenie tego, w czym pograżali się, a co było przeciwieństwem umysłu samego w sobie i dla siebie. Jednocześnie rozpoznawałem w nich to wszystko, co pozwala – poprzez milczącą zgodę – na istnienie takich abstraktów jak liczby czy równania. (Nierozumiana dotąd potęga Liczby, która jest aż nazbyt dotykalna). Jak niezbędne uzupełnienie, jak fakt bez znaczenia przyjąłem spotkanie Ewarysta numer jeden z sobowtorem. Przywitali się i rozstali jak najłepszy przyjaciele. Nie usłyszałem nic z tego, co mówili do siebie. Dokonało się między nimi naj-

bardziej niepokojące z misterium – misterium lustra. Jak sądzić, obaj byli republikanami. Potwierdzili to obecnością na zebraniach (przy czym nigdy nie pojawiali się tam razem), ożywioną działalnością, której sensu i celów mogłem się tylko domyslać. Wówczas właśnie, w ich tajnym kole republikanów odbyła się dziwna uroczystość, którą nazwano Losowaniem. Nawet wtajemniczeni adepci mówili o niej tylko szeptem i z wyczuwalnym w głosie lekiem.

Zdało mi się to cokolwiek trochę dziwne, bo jakże ci, którzy zmierzają ku powszechności, demokratyzmowi prawdy, tworzyć mogą koła i kółka, dla których właśnie prawda w niejednakowym stopniu jest dostępna? Ta rzecz należała do dziwów, o których nie śniło się filozofom.

Stało się wówczas to, czego lekłem się najbardziej: duchy planetarne usiłowały mnie zgładzić, jako człowieka posiadającego nadmierną wiedzę, a zarazem im nieprzyjaznego. Rozpoczęły od zmańczenia mojej świadomości. Zerwano wszelkie kontakty łączące mnie ze światem żywych, nie wiedziałem, dokąd mam się udać i po co. Zostałem więc na miejscu, a mój umysł gniebiły omamy. Najpierw wyłoniła się zeń światłość niebieska, będąca światłością strachu. Potem pojawiło się dwanaście przedstawień, z których sześć było obrazem słońca i planet, pozostałe zaś – zwierząt runicznych. Wówczas uznałem, że nie ma sensu dłużej pozostawać w tym stanie i udałem się do poselstwa Wenus w celu przeprowadzenia pertraktacji.

Przyjęto mnie tam bez zdziwienia. Właściwie nic się nie zmieniło od mojego poprzedniego pobytu, tylko dziwne rośliny rozprzestrzeniły się jeszcze. W kolejnych pokojach poselstwa nie odnalazłem żadnej wskazówki. (Jak rozmawiać z roślinami, nawet rozumnymi? Jak skłonić je do przeistoczenia?) Krocząc korytarzem odkryłem jeszcze jeden pokój, który był pusty. Gole ściany, sufit i podłoga były odnowione, bez śladów zacieków i brudu, jak w pozostałych pokojach. Być może była to „komnata wizytowa”. Zdecydowanie, choć nie bez leku wszedłem do środka. Drewniane drzwi zatrzasnęły się za mną. Czekalem. Czekalem długo, tak długo, że prawie zatraciłem poczucie czasu. Przez okno widać było jedynie kwadratową studnię obokurnego podwórza, pogrążoną w absolutnym bezruchu.

W końcu drzwi zaskrzypiały i otwały się na oścież, do pokoju niemal bezgłośnie wsunął się stół i dwa krzesła. Za nimi wszedł zakapturzony człowiek, niosąc dzban wina i dwa puchary. Postawił je na stole, napełnił winem, po czym usiadł na krześle. Potraktowałem to jako zaproszenie i uczyniłem to samo. Wychylił wino nie odzyskawszy głębokiego kaptura, kryjącego całą głowę. Odstawił puchar i siedział, wyrażnie na coś oczekując. Zrozumiałem że i ja muszę wypić wino, więc uczyniłem to bez wahania. (Coż w końcu miałem do stracenia?) Milczący gnom wyjął zza pazuchy kopertę i podał mi ją. Wstał od stołu, odwrócił się do mnie plecami i wyszedł z pokoju. Dalbym głowę, że zaraz za progiem rozpłynął się w powietrzu.

Obejrzałem kopertę. Zaopatrzona była w napis: „SPR. NR. 268 4. ZAMACH NA EWARYSTA GALOIS – 31 V 1832”. Roztropność nakazywała mi schować kopertę, wyjść stąd i odczytać jej zawartość w jakimś bezpiecznym miejscu. Ciekawość okazała się silniejsza. Gwałtownym szarpnięciem otworzyłem kopertę. Była pusta.

Obudziłem się na ławce naprzeciwko kamienicy – siedziby ambasady. Długie cienie oznajmiały późne popołudnie. Mogłem już tylko rozważać, czy to, co przeżyłem, było snem. Prawdopodobnie tak, ale równie prawdopodobne, że był to sen znaczący. Lecz czym był dziełem i czy nie miał posłużyć zwiedzeniu mnie na manowce?

Powróciłem do śledzenia Ewarysta. W jego zachowaniu odkryłem zmianę, już nawet nie subtelna. Zachowywał się jak błazen, jarmarczny aktor. Przesiadywał całe godziny na bulwarze nad Sekwaną, zaczepiając

przechodniow, śmiejąc się i mówiąc do siebie. Tłumaczył im coś, klarował, w jego monologach pojawiały się strzepki matematycznych dowodów. Ale – co dziwne – jego przyjaciele republikanie jakby tego nie dostrzegali. Co więcej, w sposób oczywisty traktowali go teraz jak przywódcę. Galois przyjmował na siebie tę rolę (działał, organizował spotkania, redagował odrzuty) ale wszystkie pozostałe chwile jego życia były jak wyrwane z innego porządku, zaczerpnięte z lichego przedstawienia. Również Ewelina zdawała się tego nie zauważać. Lecz jak miałem to wszystko pogodzić z przekazem o przygotowywanym na niego zamachu?

Podjeżdżałem, że jeśli miał się zdarzyć, to z pewnością pozostawał w związku z pojawieniem się sobowtóra. Śledziłem więc również i jego. Nie był obiektem ciekawym. W miarę, jak nasilało się szaleństwo Ewarysta, rósł chłodny racjonalizm sobowtóra. Odwiedzał Ewelinę, którą traktował jednak bez żadnej czułości, niemal bez miłości. A im bardziej pograżał się w występku, tym szybciej posuwały się badania prawdziwego Ewarysty, dotyczące teorii grup.

I wtedy Ewelina opuściła go. Gdy przychodził do niej, zawsze zastał drzwi zamknięte. Nie było jej, oddalała się od niego, tak jak on oddalał się od niej.

Potraktowałem to jako ostrzeżenie, ostateczny sygnał. Zbliżał się naznaczony przez kogoś termin zamachu. Postanowiłem go ostrzec. Napisałem anonimowy list, który podrzuciłem u niego w mieszkaniu. Zwróciłem w nim uwagę na niebezpieczeństwo, a także na to, że koniecznie musi zerwać kontakty ze swoim sobowtorem. List podpisałem patetycznie: „Bezmienny Przyjaciel”. Nie bez ciekawości obserwowałem, jak na to zareaguje.

Pod postacią bezwonnego dymu penetrowałem jego pokój. Obserwowałem obliczenia, ziarenka kurzu, niewidzialne ślady rozpadu. Najbardziej niesamowite było to, że bezruchu nie miał najłżejszy nawet podmuch. (Tak, jakbym nie istniał...?) Unosiłem się nad jego piorem, opartym bezwładnie o grzbiet książki, zbliżałem się doń, obserwowałem mikroskopijne zadrapania na stalowcu. Wiedziałem, że była to wyższa jeszcze forma daru, udzielonego mi przez istoty z planet. Unosiłem się kilka centymetrów nad powierzchnią biurka, będącego teraz nieskończoną prawie równiną, podzieloną kantonami stojów drewna. I właśnie przez tę szerokość perspektywy omal nie przegapiłem olbrzymich liter, ciągnących się przez biały splach, splecione po wierzchu grubymi łodygami celulozy: „BEZMIENNY PRZYJACIELU, OBŁĘD PRZEKSZTAŁCA OFIARNIKA W OFIARĘ”.

Natychmiast moje myśli przestały unosić się swobodnie nad zgromadzonymi tu przedmiotami. Wy płynąłem z pokoju, usiłując rozumować racjonalnie. Nie mogłem jednak połączyć tego wszystkiego w logiczną całość. (I to ja, teraz idealny szpieg!). Z wydarzeń wylaniała się całość absurdu, nielogiczna. Czy jest możliwe – spekulowałem – że Galois został wyłoniony drogą jakiegoś losowania na przywódcę domniemanej radykalnej rewolucji, przywódcę, który ma zostać stracony dla dobra tejże rewolucji? A jego następcą miałaby zostać sobowtór, któremu teraz Galois przekazywał tajniki swoich planów i zamierzeń? Czy ewentualne zgładzenie Ewarysty miałoby się dokonać na drodze jakiejś walki między nim a sobowtorem, walki o sukcesję lub po prostu o władzę? Czy Ewarysta miał być w tej walce zabity? Skonstatowałem, że przychodzą mi już do głowy zupełnie fantazje. Najprostszym rozwiązaniem byłoby spotkanie z samym Ewarystem, które jednak zapewne nie dałoby wiele, gdyż Galois kryłby swoje rzeczywiste zamiary. Cóż oznaczało odejście Eweliny? Czy było zdradą, czy też pogodyeniem się z nieuchronnym faktem? Wszystko to klebiło mi się w głowie, stwarzając przeraźliwy metlik bez jakiegokolwiek szansy na rozwiązanie.

Niejąko „z rozpedu” nadal śledziłem Ewarystę. Nawet na jote nie zmienił swojego postępowania, kontynuował realizację sekretne go planu z żelazną konsekwencją.

(Lub bez żelaznej konsekwencji robił po prostu to, co uważał za stosowne). Jego ciemne, długie włosy powiewały na trasie pomiędzy uniwersytelem, tajnymi zebrańmi a mieszkaniem Eweliny, z którą wciąż próbował się skontaktować. Kilkakrotnie zdawało mi się, że usmiechnął się do mnie i pozdrowił przyjaznym gestem.

Wówczas zdarzyło się coś, co skłoniło mnie do działań energicznych, niemal rozpaczliwych. Przypadkiem pod słuchałem w kawiarni rozmowę dwóch mężczyzn.

Wzorzysty dywan naszych zamiarów układa się w doskonałym porządku – powiedział jeden z nich. – Ostatnią maską człowieka, który nosił tysiące masek, będzie śmierć.

Niemal się rozesmiałem, tak absurdalnie to zabrzmiało. Kwiecisty styl, jak wiadomo, właściwy jest istotom z planet nadmiernie zbliżonych do słońca. Cierpią tam na rozmiękanie mózgu.

– Tak – odpowiedział drugi. – Wszystko już gotowe do pojedynku i złożenia ofiary.

Ponieważ Ewarysta lekczył ostrzeżenia, postanowiłem działać sam. (Teraz zastanawiam się często, po co to robiłem? Czyżbym rzeczywiście uważał, że Galois jest władny przybliżyć ideał, wskrzesić republikę? Czyżbym wierzył, że jest on posłuszny nakazowi nie od ludzi – lub nie tylko od ludzi – pochodzącemu?). Wybadałem dokładnie, jakimi trasami i w jakich godzinach porusza się sobowtór Ewarysty. Ponieważ byłem przekonany, że jest on maszyną, przygotowałem specjalny ładunek eksplozywny. Zaopatrzyłem się również w żelazną pałkę.

Był późny wieczór. Bulwar nad Sekwaną opustoszał. Znad rzeki docierał do mnie delikatny, świeży powiew. „To miasto stworzone jest, aby kochać i aby być kochane” – pomyślałem banalnie. W ręku ścisnąłem żelazny preł, czulem ciężar ładunku w kieszeni. Spojrzałem na niebo, gdzie pęgały gwiazdy. Na zachodzie jasniali spokojni, stały ogniki Wenus. Poprosiłem planete o wsparcie, nie próbując jednak przekształcić się w cokolwiek. (Wówczas agresywny zamiar mógłby obrócić się przeciw mnie samemu). Przyczałem się w krzakach, cicho, zwierzęcokształtnie.

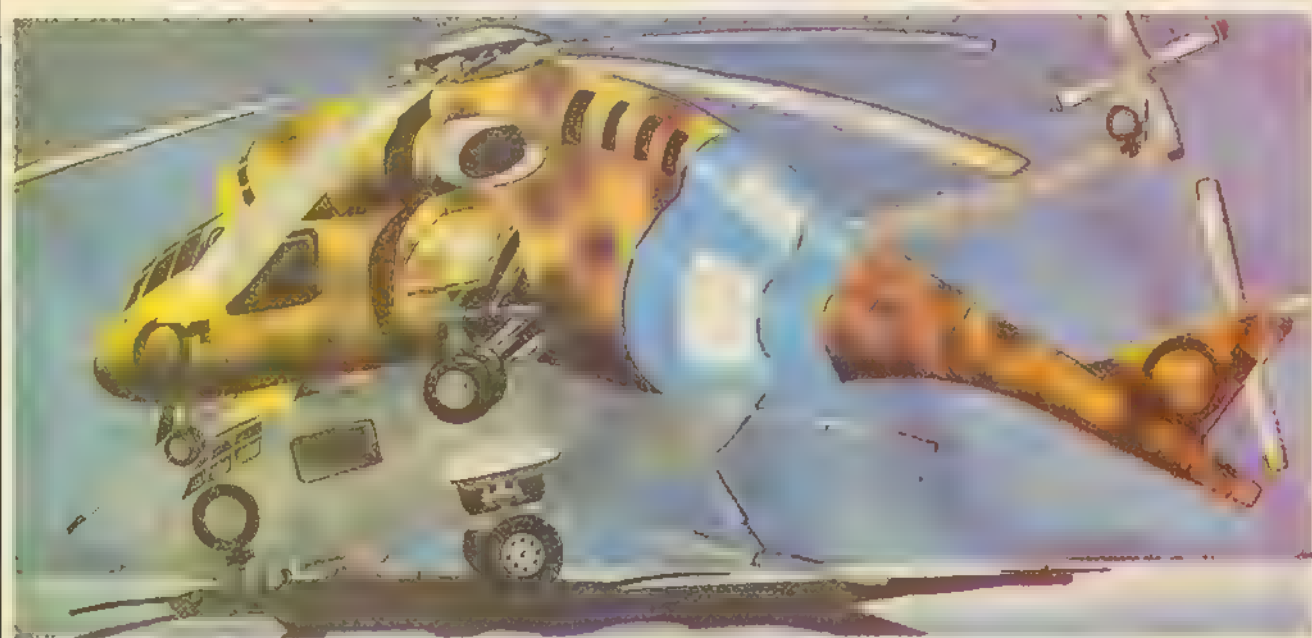
Choć mam za sobą długą praktykę, jego równe kroki nieomal mnie poraziły. Przekonanie, iż jest on automatem i że to właśnie on ma zabić Ewarystę, stało się pewnością. Kiedy przechodził obok, wstrzymałem oddech...

Atakując, nie mogłem powstrzymać się od krzyku. (Ja, stary wywiadowca i weszyciel!). Zareagował tak, jakby przygotowany był na tę sytuację od dawna. Spokojnie sparował mój cios żelazną pałką (o, gdybym miał karabale, nie poszłoby mu tak łatwo!) i stalowym usciskiem dwóch palców lewej dłoni schwycił mnie za nos... po czym poszedł dalej bulwarem, wlokąc mnie za sobą w ten haniebny sposób.

Bodajbym nigdy nie dożył takiego upodlenia, ja, szlachcic, com nie wypadł sroce spod ogona! Był tak silny, że nijak nie mogłem wyzwolić się z uścisku. W odruchu ostatecznej desperacji wyciągnąłem z kieszeni bombę i podpaliłem lont. Ładunek wrzuciłem mu za kółnier.

To mnie uratowało. Bestia, słysząc syk, turbować się poczęła i puściła mój nieszczęsny nos. Ledwie zdążył jednym susem przesadzić murek i plusnąć w nurt Sekwany, gdy powietrzem targnął potężny huk. Woda zakotłowała się, myślałem, że już nigdy nie zdołam wychynąć na powierzchnię. Szczęściem, uchwyciłem występ muru i powoli wygramoliłem się na bulwar. Rzuciłem tylko okiem na płonące żelazne szczątki i czym prędzej dokonałem metamorfozy wrobla; zewsząd poczęli się zbiegać zaalarmowani eksplozją ludzie. Odpoczywając na drzewach i dachach domów, powoli dofrunąłem do schronienia. Wyciągnąwszy się na łozku skonstatowałem, iż jestem cały poobijany. Z łoboscią pomyślałem, że spełniłem swe zadanie, ratując Ewarystę od niechybnej śmierci, i to z wyprzedzeniem, bo termin zamachu upływał.

Piotr Łopalewski





Następnego dnia kurowałem się z ran i odpoczywałem. Pozwoliłem sobie na zjedzenie obiadu w bardzo dobrej restauracji. I wtedy dojrzałem właśnie przez szybę Eweliny, idącą gdzieś szybkim krokiem. Podążyłem za nią

Jakież było moje zdziwienie, gdy stwierdziłem, że Ewelina zmierza wprost do Ewarysta. Czyżby chciała zawiadomić go o śmierci sobowłota (choć raczej powinienem mówić „o zniszczeniu”), lub też jego samego o tę śmierć posadzała? Jeszcze raz przyszło mi skorzystać z przywileju metamorfozy

I znowu – zdziwienie. Bo przecież jakieś rozmowy wyjaśniającej nie spodziewałem się, a tu nic, tylko wyznania miłości, czule słowa, przeprosiny... Dlaczego? Jaki był związek między tymi dwoma faktami: śmiercią sobowłota a powrotem Eweliny? Wreszcie czule pożegnanie.

Zaraz po wyjściu Eweliny zaczęli pojawiać się spiskowcy. Rozpoczęło dysputę, dotyczącą jak zwykle sposobu i form działania.

Wyznać muszę, że zmeczyłem się już cokolwiek tym czuwaniem na parapecie pokoju Ewarysta, tam bardziej że zaczął padać deszcz. Znużony, przysnąłem chyba na chwilę, bo gdy otworzyłem oczy, sytuacja była już zupełnie odmienna. Pojawił się nowy republikanin, młody, chyba w wieku Ewarysta. To on właśnie był teraz głównym adwersarzem Galois

... to nie ma sensu, nie służy niczemu – mówił ten ostatni. (Jego głos dobiegał do mnie przez szybę, przytłumiony i zniekształcony). – Działanie na niwie politycznej wywodzi nas na pastwę losu, nieuniknionej przypadkowości...

Nie czas teraz na takie rozważania! – wybuchnął adwersarz. – Teraz albo nigdy, jeżeli nie uda nam się zwyciężyć, przegraliśmy

Zrozum, rzecz w tym, żeby stworzyć coś innego, inną możliwość, a zarazem uchronić się przed widmem nienawisci, konfliktu, eliminowania siły przez większą siłę...

A ty zrozum wreszcie, że nie zdołasz tego uczynić w żaden inny sposób! Wszelka walka, wszelkie działanie zmusza nas do pewnej brutalności... to jest po prostu właściwość świata, tak było i będzie zawsze.

To wszystko nie ma sensu...

Zapewne dyskusja trwałaby długo, gdyby nie to, że w ferworze walki któryś z rozmówców użył argumentu ad hominem. W pokoju zawrzało. Trudno było nawet wywnioskować, co mówią poszczególni członkowie zebrania. W pewnym momencie ujrzałem, jak młody zapaleńiec, którego nazwałem „adwersarzem”, podbiegł do Ewarysta, schwycił go za kłapy surduta i wykrzyknął mu prosto w twarz straszne oskarżenie: jesteś szpiegiem, pragniesz powrotu arystokratów. W nagłym milczeniu głucho zabrzmiął policzek. Przeciwnicy zwarli się, ale zaraz zostali rozdzieleni. Już spokojnie, lecz z wyczuwalnym napięciem ustalono datę, godzinę i miejsce pojedynku

Siedziałem na parapecie jak skamieniały, dopóki nie stracił mnie stamtąd i nie uniosł nad dachami silniejszy podmuch wiatru. A więc wszystkie moje wysiłki poszłyby na marne? Ewaryst, w którym pokładałem takie nadzieje, miał zginąć jutro o świcie? Czy po śmierci sobowłota Ewarysta ktoś inny otrzymał zadanie zabicia go? (Najwyraźniej tak właśnie było). Czy jego śmierć jest nieunikniona, wynika z samej logiki faktów?

Skoro tak, musiałem podjąć jeszcze jedną, ostatnią próbę uratowania go. Zarazem postanowiłem uczynić to otwarcie, bez żadnej gry, skoro to właśnie gra domagała się gambitu. Gdy dzwony Katedry wybiły godzinę wieczerą, udałem się do mieszkania Ewarysta.

Szedłem po schodach powoli, odmierzając kroki, jakby każdy mój gest miał teraz sekretne znaczenie. Kilkakrotnie, z namaszczeniem zastukałem w drzwi. Po jakimś

czasie uchylili się ze skrzypieniem. To był on. Nasze oczy spotkały się, w jego wzroku nie dostrzegłem zdziwienia.

– Kim jesteś – zapytał spokojnie.

– Kupiec korzenny.

Kiwnął głową, jakby ta odpowiedź zadowoliła go.

– Czekalem na ciebie. Wejdz.

W pokoju panował nieład. Wszędzie leżały kartki pełne obliczeń.

– Właśnie kończę moje badania – powiedział tonem wyjaśnienia.

– Przygotowujesz się? Na co? – spytałem otwarcie.

W odpowiedzi wykonał jakiś nieokreślony gest, wskazał mi miejsce na kanapie. Usiadłem. Usiedliśmy obaj. Przez jakiś czas panowało milczenie. Zdało mi się, że żadne wyjaśnienia nie są potrzebne. To był matematyk, człowiek przenikliwy, który wniknął w samą istotę wydarzeń. Raz jeszcze zdecydowałem się na otwartość.

– Przyszedłem, aby odwieść cię od zamiaru.

– Po co?

– Dla ciebie... dla republiki – poprawiłem się. – Dla twojej wiedzy.

– To nie lak... – pokrecił głową. – Właśnie dla republiki muszę walczyć.

– Walczyć?... Z kim? Z kimś podobnym tobie? Z kimś, kto dzieli twoje przekonania?

Przez jakiś czas milczał.

– Pisałeś do mnie – powiedział pozornie bez związku. – Pisałeś, a więc wiesz o zamachu na mnie... Ten człowiek jest podstawiony i wiemy to obaj... Ten człowiek – to rojalista i współpracownik policji.

– Mimo to... czy warto...

– Zawsze walczyliśmy z kimś podobnym sobie... z człowiekiem. A więc z sobą samym. Ze złem ukrytym wewnątrz siebie. To wszystko są rytuały, w których człowiek odnosi się do siebie samego.

Ale gdy zabijamy...

– Jeśli zabijamy...

– A jednak, mimo wszystko... ludzie są równi... Jeśli patrzeć odpowiednio głęboko.

– Tak, równi w tym co dobre i w tym, co złe.

– Wtedy...

– Myślałem o tym. Nie ślać mnie na przerywanie kręgu zła. Dotychczas uczynił to w historii tylko jeden człowiek. Nie pragnę poklasku. Chcę czynić to, co uważam za prawdziwe.

– A ludzkość? Matematyka?

– Abstrakcje. Zresztą moje badania dochodzą do końca. Idee istnieją, ale nie są abstrakcjami.

– Czy kochasz ludzkość?

– Nie. Miłuję każdego konkretnego człowieka. Także tego, z którym będę jutro – a właściwie już dzisiaj – walczył. Taka jest logika tego świata. Tak chcą liczby.

Nasz dialog snuł się poprzez ciemność poza ożywym światłem lampy, niepochwytnej, złożony, nie do odtworzenia. Nie rezygnowałem.

– Czy ta sytuacja jest naprawdę bez wyjścia? Czy mogłeś ją przewidzieć, a jeżeli tak, to dlaczego jej nie uniknąłeś?

– Taka jest logika wydarzeń. Można ją poznawać, ale spieranie się z nią wydaje się bezsensowne.

– Sądze jednak, że ty, właśnie ty... powinienesz udowodnić, że człowiek potrafi wykraczać poza logikę wydarzeń. Może dokonać transcendencji.

– Nie mogę okazać się tchórzem – powiedział po prostu. – To dziedzina moralności, a moralność należy do czystej matematyki.

– Ciągi liczb... – myślałem głośno.

– Ciągi liczb, którym odpowiadają pewne zdarzenia w czasie i przestrzeni. Na razie nie jesteśmy w stanie przeznikać natury tego związku.

– Jeżeli go nie rozumiemy, czy może kierować naszym postępowaniem? – wątpilem.

- Musi. Musimy wybierać wzorce, o których słuszości jesteśmy przeświadczeni, aby nie kierowały nami inne, złe, głęboko ukryte...

A ty - czy nie kierujesz się gniewem?

- To nie ma znaczenia... Doszedłem do wniosku, że to nie ma znaczenia - powtórzył jakby dla podkreślenia racji. - Działam tak, jak nakazuje mi impuls, który jest zgodny z tym, czego chcą liczby.

- Gdybys dzisiaj zginął... co ci pozostanie?

- Nieskonńczoność.

Poczułem się zmęczony tą rozmową. Musiała już trwać bardzo długo, bo nad dachami domów powoli rozlewał się brzask.

- A twój sobowtór? - spytałem. - Kim był?

- Rzecz bez znaczenia. Artefakt. Stworzony przez kogoś, aby uchronić mnie przed spiskiem.

- Uchronić cie... - niemal zaniemówilem.

- Miał zamiast mnie stanąć do pojedynku.

Milczałem, przejęty zgrozą.

- A ja go zniszczyłem... - wyszeptałem po chwili, niemal bezgłośnie. Dostyszał to.

- Mówiłem już, to bez znaczenia. I tak nie zgodziłbym się na to.

Zmeczenie podsuwało mi przed oczy obrazy wszystkiego, co dotychczas przeżyłem w związku z Ewarystem. W pokoju panowała niczym nie zmacona cisza. Za oknem niesmiało zaczęły spiewać ptaki.

- Wybacz... - powiedział Ewaryst. - Muszę dokończyć obliczenia.

Zabrał się do pracy. Siedziałem, przymknąwszy oczy. Widziałem siebie przyjeżdżającego do Paryża i siebie od dawna już tu działającego, siebie - podwójnego. Nawet nie podwójnego, rozgałęzionego, istniejącego w wielu miejscach i czasach. Przed moim wzrokiem przesuwaly się tysiące twarzy, tysiące ziem, po których stapałem. Marzenie przerwał wyraźny turkot kół dorożki.

- To po mnie - powiedział Ewaryst. - Idź już.

Postanowiłem zagrać ostatnią kartę.

- Ewelina... - zacząłem.

- Dobrze, że wróciła - przerwał. - Naprawdę idź już. Moje obliczenia zabiorą stąd przyjaciela.

Wstałem i jak we śnie ruszyłem ku drzwiom.

Gdy obudziłem się z ciężkiego snu, nijak nie mogłem zmiarkować gdzie jestem i co się ze mną dzieło, jak zwykle po przepiciu czerwonym winem. Oczy przetarłem i rozejrzałem się: knajpa. Ta sama co w niej wczoraj pić zaczynałem. Tylko ludzie jacyś inni, inaczej ubrani, bo ja zresztą wiem...? Tak, jakby nie tylko jedna noc minęła mi na tym ciężkim śnie. Przede mną siedzi to samo indywiduum, co wczoraj (wczoraj?) zaczęło ze mną pić, bzdury jakieś wierutne opowiadając.

- Dobrześ się spał - mówi, spozierając na mnie dziwnie. - Zasłużyłeś na nagrodę.

Za jaką to służbę chciał mnie ten zakapturzony diabeł nagradzać? Co ja w ogóle mogłem mieć z nim wspólnego? Spojrzałem na siebie, ubrany byłem też jakoś dziwnie, jakby bardziej z francuska.

- Dziwisz się? - roześmiał się bezgłośnie podejrzany typ. - Od czasu, kiedy cie tu spotkałem, minął rok z okładem. Miałem dla ciebie zadanie, które wykonałeś jak należy.

Lepiej szczeznąć, niż słuchać tego kłamcy. Jednak cała sytuacja zdała mi się dziwna. Ubrany byłem inaczej niż wtedy, inni też byli ludzie siedzący w knajpie, a i karczmarz jawił się jakby odmieniony. Czary, czy co? Nie wierzyłem ja w bajdury o wcielonym czarcie, ale znów jakiś dreszcz przeszedł mi po krzyżu.

Postanowiłem za wszelką cenę przypomnieć sobie kolejność wydarzeń. Siedziałem sobie w knajpie, pijąc wino, gdy przysiadł się do mnie ten... Opowiadać zaczął coś o sobie, o policji Fouche'go... Potem o sprawie jakiegoś matematyka, Ewarysta Galois... Opowiadał, a jego opowieść jakby w rzeczywistość przekształcać się zaczęła...

Nagle przypominałem sobie wszystko. To ja byłem tym jego wspomnieniem. Jego opowieść musiała być zamięm, który dopiero ja miałem urzeczywistnić... W jakiś sposób zniewolił mnie do tego.

- Kim jesteś? - spytałem głucho.

- Czy to ważne? - odparł, jak zwykle zagadkowo. - Pewien filozof nazywał mnie dziejowym rozumem, a sposób mego postępowania określił jako chytrą. Najlepiej chyba powiedzieć, że jestem twórcą rzeczywistości za pomocą złudzeń. Inni, co prawda, określają mnie inaczej, zależnie od uznania...

- Czy jesteś duchem przeczucia?

- To przesąd - odparł wyniośle. - Jeśli już chcesz mej definicji, powiem ci, że jestem duchem czasu... który jest i który nadejdzie.

- Działasz podstępnie...

- Ja nigdy nie działałem. Działają ludzie. Zawsze i tylko ludzie.

- A moje zadanie?...

- Było częścią, fragmentem. Stałeś się sprawcą śmierci Ewarysta Galois - stwierdził beztłóśnie. Milczałem, zbyt przygnębiony, żeby mówić cokolwiek. Ja - sprawcą? Ja, który całe swoje siły poświęciłem temu, aby Ewarysta od śmierci uchronić! W jaki sposób człowiek może być wpłątany w bieg rzeczy, o którym nie ma żadnego pojęcia?

- Musimy już iść - powiedział.

„Dlaczego mam iść z tobą?” - chciałem zapytać, ale zbrakło mi siły i zdecydowania. Powoli, ciężko podniosłem się zza stołu. W tej samej chwili od strony stałych bywalców knajpy dał się słyszeć jakiś rumor i szum. Jak zwykle dwaj z nich pobili się o coś, najpewniej o oszustwo w kartach. Gdy jeden z nich wyszarpnął zza pazuchy nóż, wszystko umilkło; przeciwnik stał z gołymi rękami.

- To niehonorowo, on nie ma noża! - wykrzyknął ktoś.

Już się miała cała wrzawa rozejść po kościach, gdy mój towarzysz (bodajbym go nigdy nie poznał!) wyjął spokojnie nóż i podał temu, który dotychczas był bezbronnym. Ów spojrzał nań jakby pierwszy raz w życiu widział ten przedmiot, ale po chwili ujął go pewnym chwytem. Również jego przeciwnik gotował się do walki.

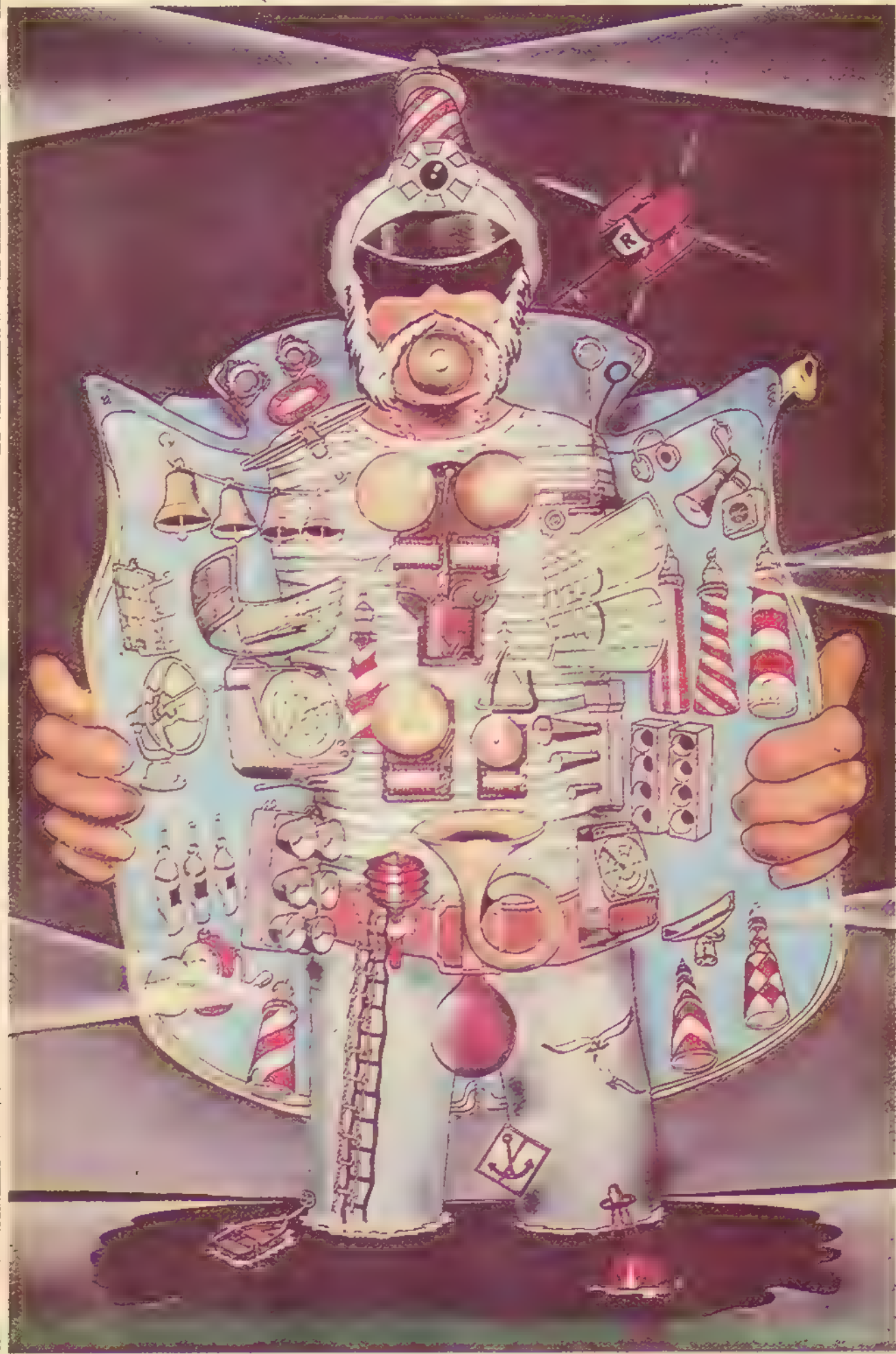
- Załatwcie to gdzie chcecie, byle nie w mojej tawernie! - donośnym basem oznajmili barman.

Posłusznie i w milczeniu wyszli z knajpy. Podążaliśmy za nimi. Świato. Tu i ówdzie pojawili się już pierwsi przechodnie. Dwaj antagoniści weszli w ciemną bramę. Po chwili rozległ się stamtąd krzyk i głuche uderzenie ciała, padającego na bruk.

Marek PAKCIŃSKI

Ur. 11 sierpnia 1960 w Warszawie, absolwent Wydziału Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, debiutował w wieku 16 lat opowiadaniem „Turmiej” na łamach „Młodego Technika” (1976). Swoje utwory zamieszczał w „Młodym Techniku”, „Fantastyce” („Możliwość wnikań” 1986/5) oraz w antologii „Wzikiel wyobraźni” (Wyd. Poznańskie 1978). W 1976 ukazał się jego pierwszy zbiór opowiadań „Owadzia planeta” (Czytelnik), a w 1985 kolejny wybór „Ogród pamięci” (Czytelnik) - rec. zob: „Fantastyka” 1985/12. Twórczość Marka Pakcińskiego nawiązuje do motywów prozy iberoamerykańskiej, jego patronem jest Borges z tajemniczą nieokreśloną wizją świata, labiryntem historii, przypadku, przeznaczenia w którym błądzi człowiek.

Piotr Łopalewski



krytycy o fantastyce

David Hartwell jest znanym i cenionym w świecie SF wydawcą. Sądząc z kroniki towarzyskiej w „Locusie”, uczestniczy również aktywnie w życiu fandomu, ożywiając konwenty fantazyjne kolorowymi strojami. Niżej podpisany szykował się do napisania artykułu omawiającego sytuację w amerykańskiej science fiction, kiedy znalazł w czasopiśmie wydawców „The Publishers Weekly” artykuł Hartwella zawierający wszystko co trzeba, w dodatku poparte znajomością machiny od środka. Nadmiar zainteresowania i pieniędzy jako czynnik obniżający poziom literatury nasuwa na myśl opowiadanie Pohla „Skarb w srodku gwiazdnej teczny”. Ostatnim potwierdzeniem niebezpieczeństwa utraty indywidualności autorów i uśredniania się amerykańskiej fantastyki są zapowiedzi serii książek różnych autorów „opartych na pomysłach” Arthura Clarke’a.

L.J.

Czy sukces zepsuje SF?

David Hartwell

Slota SF tkwi w takim podejściu, które prawdopodobnie nigdy nie będzie popularne: komercjalizacja i rozwodnienie prozą fantastykę na manowce.

W latach siedemdziesiątych i w początkach osiemdziesiątych wydawano o wiele mniej oryginalnej science fiction w porównaniu z poprzednim dziesięcioleciem mimo ogromnej liczby pozycji, jaka się wtedy ukazała. Ostatnie lata były dla SF okresem umocnienia i zaakceptowania przez wielu nowych czytelników. Ale to nowe rozszerzone grono odbiorców nie jest za znajomym ze szczególnymi cechami odmiany: zarówno czytelnicy jak i krytycy żądają pogłębienia sylwetek psychologicznych postaci, ograniczenia słownictwa technicznego i naukowego, osadzenia akcji w niedalekiej przyszłości, do której można się ustosunkować bez niewygodnych pytań i podejrzliwego niedowierzania. Jeżeli te tendencje okażą się trwałe, sukces naprawdę może zepsuć science fiction.

Już teraz widać oznaki radośnej kapitulacji – zniżanie poziomu, żeby dostosować się do dolnej granicy wymagań czytelników. Ostatecznie autorzy chcą być lubiani i to najchętniej, przez wszystkich, a pisarze SF przyzwyczajają się ze swoją pracą otrzymują pieniądze. W przeszłości były one niewelkie, ale przy szybko rosnącej popularności i powszechnym uznaniu dla literatury SF ci, którzy zdobyli uznanie w latach siedemdziesiątych i w osiemdziesiątych zaczęli być poszukiwani, mogli zacząć dyktować wysokość honorariów. Ostatnio doszło już do tego, że każdy debiutant mógł sprzedać powieść SF za parę tysięcy dolarów. Jest to szczególnie znamienne w czasach, kiedy młodzi pisarze uprawiający jakiegokolwiek inny gatunek, muszą latać, walczyć żeby wydać pierwszą powieść (a wielu z nich rezygnuje po kilku latach niepowodzeń). SF jest szeroko odtwartym i powiększającym się rynkiem pozwalającym na połowiczne sukcesy.

Za ogromne pieniądze pochwały krytyków i rosnącą popularność też trzeba płacić – czym, łatwo się domyślić. Pewna liczba młodych, utalentowanych pisarzy, którym zdarzyło się przeczytać parę pozycji SF, napisało jedną lub kilka książek, a po nawiązaniu kontaktów z wydawcami uciekło jak najszybciej w stronę jeszcze bardziej skomercjalizowanych obszarów literatury

W SF zostało po nich parę odświeżonych, lachowo napisanych schematów. Inni zajęli się SF ponieważ można tu było zrobić pieniądze, choć sam galunek ich nie interesował. Ci nie odeszli, zrobili jednak co w ich mocy, żeby z SF wyrzucić wszystko, co jest w niej twórczego (James Blish napisał o nich zjadliwie, że nazywają króliki smeerpami, króliki jednak nadal pozostają królikami, mimo że są słodkimi, skaczącymi, posiadającymi miękkie futerko smeerpami). Zresztą większość tego typu autorów uprawia teraz fantasy.

Najbardziej nieśmiały ze wszystkich kołanków SF okazali się jednak niekiedy z jej czołowych pisarzy, którzy znęcani przez komercjalizację zaczęli niesłuchanie rozbudowywać swoje powieści zwiększając ilość drugoplanowych postaci, panoramicznych nieszczęść, dodając seks w romantycznym sosie, to znaczy wszystko to, co powinna posiadać dobrze sprzedająca się powieść. Przykładami służą „Shiva Descending” Gregory Benforda i Williama Rotstera (1979) i „Lucifer Hammer” Larry’ego Nivena i Jerry’ego Pournelle’a (1977). Co więcej, niektórzy pisarze rozwijają swoje popularne powieści w seriale. Szczególnie lubiane są trylogie, ale często zdarza się więcej tomów. „Diuna” Franka Herberta rozrosła się już do sześciu, przy czym wszystkie były bestsellerami.

Być może nazbyt surowo oceniamy ludzi, którzy popełnili błąd, dokonując takiego wyboru. Ale rezultatem jest niewątpliwie osłabienie pisarstwa SF, co w dziwny sposób zbiega się ze zmianą atmosfery na dużych zjazdach (zanika postawa dominująca od lat dwudziestych i stanowiąca o wielkiej sile gatunku). Ogromne naciski ze strony rynku ograniczyły wolność SF w kreowaniu nowych wzorów.

Zaden autor, który zarabia swoim pisarstwem, nie jest całkowicie wolny od wymagań rynku i w tym przypadku ograniczenia, niekiedy bardzo surowe, dotyczące seksu w SF, czy katastroficznej odmiany SF, narzucone są przez różne kręgi czytelników. Ale przy zbyt długim trwającym sukcesie komercyjnym, po raz pierwszy w dziejach SF, zaczynają pojawiać się naciski usiłujące przenieść uwagę z tego, co było zawsze istotą science fiction na poprawność stylu, konstrukcję postaci, złożoność wątków bądź osadzenie akcji w niedalekiej przysz-

łości, to znaczy na cechy, które poszerzają rynek czytelnicy, zapewniając literaturze fantastyczno-naukowej pozytywne recenzje krytyków spoza „getta”.

Zmienił się także fanowie. W lokalnych zjazdach z początkiem lat siedemdziesiątych brało udział od 30–50, najwyżej 350 fanów i pisarzy. Tego typu imprezy były organizowane w dwudziestu rejonach Stanów Zjednoczonych. Natomiast w 1979 roku, tylko w czasie jednego weekendu odbyło się w różnych miejscach aż pięć zjazdów, w których wzięło udział od 400 do 1000 fanów.

Jest rzeczą oczywistą, że fandom niesychanie się rozrósł i to w sposób nieuporządkowany. Ale zmiana polega nie tylko na wzroście liczby czytelników. Przed 1970 r. każdy z fanów znał lub przynajmniej powinien znać większość słynnych autorów i prac science fiction, chociażby dlatego, aby w sposób kompetentny ocenić, które z nich stają się już klasyką fantastyki naukowej.

To założenie sprzed dziesięciolecia było zaprawą spajającą całość, poczynając od lat dwudziestych, ruch. Na początku lat siedemdziesiątych to wszystko zaczęło się nagle zmieniać. Coraz więcej osób przychodzących do SF było nastolatkami wystawionymi na działanie SF, nie mającymi jednak nałogów czytelnich. Sukcesy „Star Trek”, „2001”, „Stranger in a Strange Land”, „Diuna” czy „Marvel Comics” spowodowały znacznie większy wzrost liczby fanów niż publikowanych książek i czasopism. Szczególnie jeżeli chodzi o liczbę fanów biorących udział w zjazdach. Większość z nich dotarła do SF poprzez kulturę popularną (zazwyczaj przez którejś z mediów charakterystycznych dla kultury pop) a nie dzięki czytaniu książek, jak ich poprzednicy. Niektórzy z nich zarabiali się potem pasją czytania, ale większość z nich nigdy nie sięgnęła do książek wydanych w latach największego sukcesu SF.

Po prostu zbyt późno się pojawili. W 1971 roku było już niemożliwe przeczytanie dziesięćdziesięciu nowych pozycji SF, jakie ukazywały się w ciągu roku, a co dopiero powrót do klasyki. Na jednym z ostatnich zjazdów, w pomieszczeniu, w którym było dwudziestu młodych fanów miała odbyć się dyskusja na temat wczesnych prac J.G. Ballarda, które w latach pięćdziesiątych wywoływały entuzjazm i podziw czytelników. Tylko jedna z tych dwudziestu osób czytała cokolwiek Ballarda. W Clarion podczas warsztatowych spotkań pisarskich (1971), w pokoju pełnym ludzi mających zamiar zostać pisarzami SF (wszyscy byli już po debiucie!) tylko jedna z tych osób przeczytała kiedyś powieść napisaną przez Philipa K. Dicka. Dziś przeciętny fan lub przeciętny młody autor nie zna już dorobku pisarskiego SF.

Boom lat siedemdziesiątych

Tak, w fandomie panują nadal takie same stosunki towarzyskie, ale wizja tego, czym jest SF, zmieniła się znacznie. Wciąż jeszcze najważniejsze miejsce zajmuje SF pisana, która najwcześniej ustaliła obraz i możliwości odmiany. Ale młodszy fanowie i pisarze dostają się do SF poprzez inne media. Sukcesy, rozrost, a co za tym idzie sięganie do innych środków wyrazu, na pewno zmienia SF. Już zmieniają.

Dekada lat siedemdziesiątych była okresem największego boomu we współczesnej historii SF. Jednak cały ten boom był iluzoryczny. Bo wcale nie był to boom



science fiction. Większość sukcesów SF dotyczyła jej pobrzeży - szczególnie odmiany fantasy (którą wydawali edytorzy science fiction, pisali autorzy science fiction i czytali fanowie science fiction, ale która nie była SF). Sukces fantasy zaciemnił cały obraz - w rzeczywistości nie wydano więcej książek SF niż w latach sześćdziesiątych, które nie były przecież okresem boomu. Ogromną część (w niektórych miścach ponad pięćdziesiąt procent) SF opublikowanej w latach siedemdziesiątych stanowiły wznowienia. Wydawcy od paperbacków usiłował spieniężyć fakt, że SF nie starzeje się, jak większość innych utworów beletrystycznych. Gdy tylko jakiś autor stał się nagle bardzo popularny, wszystkie jego poprzednie książki zostawały wznowiane. Gdyby przywołać na pomoc stały stykę, stałoby się jasne, że po 1970 r. publikowano mniej niż 100 nowych pozycji SF rocznie, jeśli wykluczyć z tego grona książki fantasy. Także magazyny SF straciły na popularności. Dziwny boom.

Fantastyka naukowa – począwszy od lat siedemdziesiątych – była i jest wygodnym azylem dla niezliczonych form hybrydowych w rodzaju fantasy, surrealizmu, opowieści niesamowitych, różnych wersji popstarych pomysłów SF. Być może, potrzebujemy teraz, bardziej niż kiedykolwiek krytyki traktującej SF ze zrozumieniem i wiedzą, krytyki teoretycznej. Po raz pierwszy potrzebujemy historii literatury, byśmy nie zapomnieli skąd wyszliśmy

To co modne w literaturze, jest tym, w co warto grać" – Wielką Grą danej epoki i okresie elzbietańskim należało zostać poetą i wykazywać swą maestreń pisząc sonety. Istniały oczywiście także i inne formy poezji, dzięki którym można było zdobyć sławę – liryki, utwory pastorałne i epickie – ale grało się w sonet.

Jeżeli ktoś napisał coś takiego jak dramat, choć był on wysławiany i oglądany, nie mógł go nawet wydać w swoich dziełach zebranych, by nie narazić się na śmieszność. Wróćmy do teraźniejszości: dziś modnie jest uprawiać prozę w stylu Hemingwaya (Faulknera), Bellowa (Bartha) choć jeszcze o stopień wyżej umieszcza się naśladowców Manna, Joyce'a, Lawrence'a Nabokowa, Camusa. SF jest dzisiaj dla literatury tym samym, czym był w epoce Szekspira dramat. Dla większości ludzi „z zewnątrz” jest to zła sztuka, a w opinii wielu osób ze środowiska, odrzucających modną literaturę (takich jak Lester del Rey), wcale nie sztuka, tylko rzemiosło i zabawa.

Dlatego młoda dziewczyna będąca inżynierem elektronikiem, ukończywszy odpowiednie kursy literatury wie, że ta ostatnia jest ściśle chronionym rezerwatem (a nie czymś, na temat czego można mieć określą opinię, jak religia i polityka) i może zacząć zajmować się w wolnym czasie uprawianiem SF, wysyłając swoje utwory do wydawnictwa, oczekując, że zostaną one przyjęte przez otwartą i bezkrytyczną publiczność.

SF stoi z boku „gry w literaturę”, więc każdy entuzjasta zapraszany jest do zabawy – zwłaszcza jeśli jest to osoba mająca jakąkolwiek techniczną przyszłość i jest nadzieja, że będzie wprowadzać nowe pojęcia do zbioru starych pomysłów funkcjonujących w SF. Tak przynajmniej było do niedawna. W ciągu dziesięciu ostatnich lat SF stała się jedyną „grą” dla młodych pisarzy, w tym również i tych, którzy nieukują się modą w literaturze (¹). Za wśród nich rów-

niesz pisarze z dyplomami. Wszyscy oni wiedzą, że moda jest dla snobów - wszyscy chcą należeć do grupy wybranych, do elity. Niektórzy z nich grają w Wielką Grę

Najlepszym z nich, powazanym przez znawcow gatunku (takim jak Joanna Russ i Thomas M. Disch) udaje sie uprawiac sztuki i sztuki. Zreszta nie trzeba juz wyliczac, ze ich utwory sa wydawane i nagradzane przez innych takich samych pisarzy i ze tak naprawde to nie wspieraja oni gatunku SF. Raczej zabieraja mu cos przez niezrozumienie celow i odwracanie uwagi. Jest to spadek po Nowej Fali.

Dene Benatan aktywna przedstawicielka fanów, była we wczesnych latach siędemdziesiątą osobą, która pierwsza dostrzegła post-nowofalowe niebezpieczeństwo Fakt, że akademicy i krytycy spoza "getta" koncentrowali swoją uwagę właśnie na młodych, utalentowanych pisarzach poruszających się na rubieżach SF Benatan z typowym fanowskim humorem wymyśliła powiedzenie „Miejsce science fiction jest w rynsztoku, pozwólcie jej tam powrócić” i popularyzowała, jako zbiorowy lament ludzi SF którzy nie chcą, aby ich po prostu uprawiali outsiderzy, nie traktujący SF poważnie i z należytym szacunkiem

Hasta Benatan nie należy mylić z parafrazą spopularyzowaną również we wcześniejszych latach siedemdziesiątych przez Lesiera del Reya (o którym wspominałem wcześniej): „Wróćmy do korzeni, do dobrej, starej science fiction która była czystą rozrywką. Skończmy z aspiracjami do sztuki – Nowa Fala odpływa”.

Oboje – Benatan i del Rey zareagowali na zmiany, które były już wtedy zauważalne dla ludzi zajmujących się SF, ale nie zostały jeszcze jasno wyrażone. Po raz pierwszy SF stała się gatunkiem obszernym, niezłe prosperującym, szanowanym przez ludzi spoza „getta”. Jeżeli weźmie się to wszystko pod uwagę, nie wiadomo na dobrą sprawę dlaczego wszyscy zaczęli się czuć nieswoje – dlaczego SF przestała być zabawa?

Cóż się stało? W utworach lat siedemdziesiątych było więcej słów i mniej pomysłów niż kiedykolwiek przedtem. Najlepsze dziesięć procent było tak samo dobre lub lepsze, niż w jakimkolwiek wcześniejszym okresie, szczególnie jeśli chodzi o zachowanie standardów literackich (Le Guin, Dick, Moorcock, Russ, Budrys i m.) ale młodszy pisarze (z tak wspaniałymi wyjątkami jak James Tiptree Jr., John Varley, Von Da McIntyre) debiutowali mając mniejsze przygotowanie w dziedzinie SF i byli mniej zainteresowani jej istotą, gustami i preferencjami ludzi „z wewnątrz gatunku” (przeciwnie niż nowofalowcy lat sześćdziesiątych, wiedzący wszystko o SF, lecz odrzucający to w akcie rewolucyjnym).

W dodatku dużo większe grono odbiorców w latach siedemdziesiątych posiadało minimalną wiedzę na temat gatunku i jego klasyków było mniej wymagające. Dzięki przenikn i do innych rodzajów literatury – SF zaczęła tracić swoją jednorodność. W omawianym dziesięcioleciu największe sukcesy osiągały zbeletryzowane wersje filmowe oraz kontynuacje powieści, które wcześniej stały się bestsellerami („Star Trek”, „Star Wars” w wydaniach książkowych, „Children of Dune”, jako kontynuacja „Dune” itd.) Pozycje te sprzedawały się

niebo lepiej niż te, które zdobywały nagrody Hugo i Nebula. Nawet najpopularniejsze („Children of Dune” Herberta czy „The Number of the Beast” Heinleina) rzadko były nagradzane. Jaka zmiana w porównaniu z poprzednimi latami?

Teraz dla czterdziestych to również 1245 (ok. 55) tytułów na rynku wydawniczym, a co nie zmienia popularności książek Tolkiena, gwałtowny renesans zainteresowania Conanem – barbarzyńskim bohaterem stworzonym przez Roberta E. Howarda – spowodowały, że książki wspomnianych autorów zaczęły się ukazywać w nakładach paperbackowych ze wzrastającą częstotliwością.

Fantasy, zarówno ta amoralno-heroiczna jak i moralizatorsko-rycerska były i są wydawane jako odmiana SF zabierając w ten sposób miejsce, które powinno przyspać SF. W dodatku popularne stały się również utwory „ponadnaturalnej fantasty” – horroru. Choć ich autorami bywali pisarze z „dyplomami SF”, tacy jak Stephen King, gatunek nie akceptował ich powiązań z fantastyką naukową, aż do Światowego Zjazdu Fantasty w 1975 r.

Jak na ironię zjazd ten zapoczątkował przyspieszanie unifikacji różnych typów fantasy w zbiorczą jednostkę, z własną świadomością gatunku, odrębną od świadomości SF istniejącej dzisiaj ogromna i tożsama w stosunku do fantasy masa czytelników, ale są to, jak nazwał ich C.S. Lewis „zli czytelnicy”, prawie zupełnie bezkrytyczni, gotowi nagradzać najbardziej stereotypowe utwory i zarazem stanowiący dużą siłę ze względu na swoją liczebność.

Wychodzenie z podziemia

Wielkim pytaniem lat osiemdziesiątych jest problem czy świadome połączenie fantazy i SF będzie trwałe. Na ocenę SF wpłynęło wydanie ogromnej liczby fantazy. Jeżeli boom tej ostatniej w rzeczywistości maskuje stały poziom wydawniczy SF w latach siedemdziesiątych, kryzys świadomości, który mógłby przynieść pozytywne rezultaty, uderzy w SF. Lub może oznaczać jeszcze jedno załamanie rynku.

Z drugiej strony, jeżeli SF i fantasy pozostaną nierozłączne, a fantasy będzie się nadal cieszyć rosnącą popularnością, to w rzeczywistości będzie się ukazywać coraz mniej pozycji SF. Prawdziwe nieszczęście dla SF!

SF, traktowana jako całość, nigdy nie była tak połączona jak obecnie, ale zarówno upadek, załamanie, jak i popularność, ekspansja mogą nadejść już wkrótce – są ze sobą związane.

Science fiction przez lata zdobywała popularność, wychodząc z podziemia, z rynsztoka, podającą w kierunku lego, co najmocniejsze. Podczas gdy gatunek rósł w siłę i prosperował, odczuwał stałe naciski przeciwnych tendencji sztuki i pieniądza, które odciągały pisarzy SF od miłośników właściwego nurtu w stronę pokupnej literatury popularnej i różnych odmian literatury pop (należących do sci-fi), bądź w kierunku Wielkiej Gry czy „antymody” będącej literacką awangardą (które stanowią odmianę fikcji spekulatywnej).

SF musi się bronić przed siłą, jaką jest przemądz, popychająca ją do sukcesu komercyjnego i przed mirażami sukcesu estetycznego, nakładającymi wymagania obowiązujące poza fantastyką naukową, odmawiające sfałszności cechom charakterystycznym dla SF. W rymsztoku naciski te

były łatwiejsze od rozpoznania i do zwalczania – wiedzieli się bardzo dobrze, że tworząc lub popierając sci-fi zdradza się ideały pisarstwa SF, podobnie jak odmawiając zasad istnienia literaturze SF przez dostosowywanie do wymagań awangardy lub literatury eksperymentalnej. Co daje z jednej strony mniejsze pieniądze, z drugiej mniejszą sławę i powrót dokładnie do tego samego miejsca, z którego się wyszło. Naprawdę duże pieniądze, które odciągają pisarzy od SF, są udziałem niewielu. Ulegając takim naciskom SF będzie ulegać podziałom, o ile nie zdobędzie świadomości niezależności.

„Pozwólcie wrócić SF do rynsztoka, tam, gdzie jest jej miejsce” – jest wezwaniem zdających sobie sprawę z potrzeby niezależności, aby literatura ta mogła przetrwać mimo rozdzierania, bez uciekania od swej istoty, odrzucania ważnych wartości i spłykania treści. Dla SF i dla fandomu najważniejszym testem jest umiejętność nagradzania najlepszych pisarzy odmiany, aby nie odchodzili od niej i pozostawali wierni jej tradycjom.

Przełożyła
Dorota Malinowska

© Copyright 1985 by David Hartwell

Esej Davida Hartwella ukazuje dość jednostronnie losy jeszcze ciągle w naszych czasach najmłodszego gatunku literackiego. Jest to spojrzenie typowego krytyka anglosaskiego na anglojęzyczną odmianę tego gatunku. Jakby inne odmiany w ogóle na świecie nie istniały. Zastanawiająca jest ta zarozumiałość, a równocześnie izolacja anglojęzycznej fantastyki od fantastyk reszty świata. Cechą charakterystyczną tej postawy jest na pewno przekonanie o immanentnej rozrywkowości literatury z kręgu SF, wszystko co tej rozrywkowości obce, staje się według Hartwella dla gatunku ryzykiem, zagrożeniem, początkiem jej końca. W gruncie rzeczy ma on pretensje do pisarzy takich jak Dick, Le Guin, nie mówiąc już o Huxleyu czy Orwellu, że mieli w ogóle czelność zerwać z tą rzekomo wrodzoną i jedynie słuszną teorią rozrywkowości science fiction i odważyli się wskoczyć w sprawy zwykłego, nie fantastycznego świata.

I oto jesteśmy w samym centrum światowych kontrowersji na temat science fiction. A jednocześnie natychmiast i na własnym, polskim podwórku manifestującym jakby z odbicia te kontrowersje, ale za to ze znacznie większą niż gdzie indziej siłą, gdyż u nas artysta i literatura od czasów Wielkiego Romantyzmu zawsze znaczyli więcej niż w innych krajach i u innych narodów.

Większość naszych fanów podpisałaby się jednak natychmiast pod twierdzeniami Hartwella – oni, podobnie jak i on, oczekują bowiem od fantastyki li-tylko rozrywki, z jej specyficznymi SF ograniczeniami. Natomiast tradycje literatury fantastycznej naszego kraju składają do całkiem innego potraktowania tego gatunku. Zresztą i ogromna fala twórczości lat siedemdziesiątych, która rozpoczęła swój atak na umocnienia klasycyzmu science fiction wskazuje na romantyczne cechy fantastyki w Polsce (ale i nie tylko w Polsce), co zupełnie zmienia punkty odniesienia proponowane przez Hartwella. Postaramy się wkrótce ukazać inną od hartwellowskiej, wcale nie katastroficzną dla literatury science fiction perspektywę.

1978

- 1326.** SCHULZ Bruno: *Sklepy cynamonowe. Sanatorium pod klepsydrą*. Wyd. II. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 324, nrb. 3. 40000 egz. – Biblioteka Klasyki Polski i Obcej.
- 1327.** STAWIŃSKI Jerzy Stefan: *Nie zamykając drzwi. W: Sześć wcieleń Jana Piszczyka i inne utwory*. Wyd. I w tym zest. Warszawa. Czytelnik. 16° s. 337-594. 10000 egz. – Głowy Wawelskie.
- 1328.** TOMASZEWSKA Marta: *Serpente w raju*. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 196 nrb. 2 20000 egz.
- 1329.** TRUCHANOWSKI Kazimierz: *Młyny Boże*. Wyd. II. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° 10000 egz. T.I.: *Niepokój*, ss. 489, nrb. 3, T.II: *Tyranie*, ss. 390, nrb. 2, T. III: *Zdejmowanie masek*, ss. 333, nrb. 3.
- 1330.** VULPESCU Romulus: *Niezwykły koncert*. Tłum. [z rum.] Irena Wierzbanowska. Kawałek Postowie Jan Prokop. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 76, nrb. 3. 10000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.
- 1331.** WIŚNIEWSKI-SNERG A.: *Według...* – zob. ASF.
- 1331.** YEATS William Butler: *Hanrahan Rudy i inne opowiadania*. Tłum. [z ang.] Jadwiga Piątkowska. Postowie Krystyna Stamirowska. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 124, nrb. 3. 20000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.
- Horror (W):**
- 1332.** BARBEY d'AUREVILLE Jules [-Amadée]: *Diable sprawy*. Tłum. [z franc.] Janina Guze. Wstęp Jerzy Parvi. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 250, nrb. 2, tabl. 6. 20000 egz. – Seria Grozy.
- 1333.** BIERCE Ambrose: *Jeździec na niebie i inne opowiadania*. Tłum. [z ang.] Jerzy Krzysztoń. Przedm. Michał Sprusiński. Wyd. II. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 289 nrb. 3. 40000 egz. – Nike.
- MURDOCH I. Jednorozec.** – Zob. AF.
- 1334.** PEREZ GALDOS Benito: *Złwa*. Tłum. [z hiszp.] Jadwiga Konieczna-Twardzikowa. Postowie Henryk Czubała. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 95, nrb. 3. 20000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.
- 1335.** [TOLSTOJ Aleksiej Konstantinowicz] *Upiór*. Tłum. [z ros.] Tadeusz Chrusciewski. Wyd. I. Warszawa. Państw. Inst. Wyd.-16° ss. 120, nrb. 4. 10000 egz. – Biblioteka Jednorozca. – Na k. tyt. aut. Aleksy K. Tolstoj.
- „Zagadki nauki” (MS):**
- 1336.** BUTRYM Stanisław: *Sprawy wokół naukowego obrazu Wszechświata*. Warszawa. Młodz. Ag. Wyd. 16° ss. 123, nrb. 1. 20000 egz. – Motywacje.
- 1337.** von DITFURTH Holmar: *Dzieci Wszechświata*. Tłum. [z niem.] Anna Danuta Tauszyńska. Wstęp Maciej Kłowiecki. Wyd. II. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 404, nrb. 3. 20000 egz. – Biblioteka Myśli Współczesnej.
- 1338.** von DITFURTH Holmar: *Na początku był wodór*. Tłum. [z niem.] Anna Danuta Tauszyńska. Przedm. Maciej Kłowiecki. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 444, nrb. 8. 100000 egz. – Biblioteka Myśli Współczesnej.
- 1339.** DONIM RSKI Andrzej: *Przybysze z kosmosu – rzeczywistość czy fantazja? O niektórych hipotezach [dotyczących] pochodzenia naszej cywilizacji*. Wyd. II. Katowice. Wyd. „Śląsk”. 8° ss. 274 nrb. 1 tabl. 18, portr., mapy. 30000 egz.
- 1340.** JANIŚLAWSKI Maciej Aleksander: *Trójkąt śmierci*. Warszawa. Wyd. MON. 32° ss. 130, nrb. 2. 30000 egz. – Sensacje XX Wieku.
- 1341.** KLIMUSZKO Czesław Andrzej: *Moje widzenie świata*. Poznań. Wielkopolskie Stowarzyszenie Różdżkarzy. 8° ss. 175, nob. 1, portr. 2000 egz. – Informacje: radiestezja, biotronika, geotronika, psychotronika. 4.
- 1342.** KUCHOWICZ Bronisław, SZYMCHAK Jadwiga Teresa: *Dzieje materii przez fizyków odczytane. Ewolucja fizyczna*. Warszawa. Wiedza Powszechna. 8° ss. 538, nrb. 2. 10000 egz. – Złota Seria Literatury Popularnonaukowej („wendtowska”). – Dot. m.in. kosmologicznych „zagadek nauki”.
- *1343.** MALAK Franciszek: *O radiestezji*. Poznań. Wielkopolskie Stowarzyszenie Różdżkarzy. 8° ss. 32, nrb. 4. 2000 egz. – Informacja: radiestezja, biotronika, geotronika, psychotronika. 3.
- 1344.** MOSTOWICZ Arnold: *Młoty z kosmosu*. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 431 nrb. 1, tabl. 24, bibliogr. 60000 egz.
- 1345.** NIEKRASZ Lech: *Trójkąt Bermudzki*. Warszawa. Młodz. Ag. Wyd. 16° ss. 164, nrb. 4. 20000 egz.
- *1346.** ROSELINS Walter: *Człowiek, który używa wahadła, wie więcej*. [oraz] WOCKNER Willi: *Ułatwienie stosowania wahadła*. Tłum. z niem. Antoni Litwin i D. Oestereicher. Poznań. Wielkopolskie Stowarzyszenie Różdżkarzy. 8° ss. 40, nrb. 8. 2000 egz. – Informacja: radiestezja, biotronika, geotronika, psychotronika. 1.
- 1347.** SZUMAN Leszek: *Astrologiczna charakterystyka typów ludzi w zarysie*. Poznań. Wielkopolskie Stowarzyszenie Różdżkarzy. 8° ss. XVIII, 63, nrb. 7. 2000 egz. – Informacja: radiestezja, biotronika, geotronika, psychotronika. 2.
- Futurologia (F):**
- 1348.** CZARKOWSKI Jan: *Wizja świata (Proroctwa i prognozy)*. Wrocław. Ossolineum. 8° ss. 198, nrb. 2. Sum. 5000 egz.
- 1349.** [GUŚCÉV Sérgěj] *Dokąd mknę ekspres RNT?* Tłum. [z ros.] Czesław Czarnogórski. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 32° ss. 169, nrb. 6, tabl. 24, err. 10000 egz. – 777 cudów współczesnego świata. – Na k.tyt.aut.: Senusz Guszczew. – Wyd. przy współpracy AP Novosti, Moskwa. – Cd. zob. poz. nast.
- 1350.** [GUŚCÉV Sérgěj]: *Zagadka czasów i narodów*. Tłum. [z ros.] Czesław Czarnogórski. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 32° ss. 177, nrb. 2, tabl. 24. 10000 egz. – 777 cudów współczesnego świata. Na k. tyt. aut. Sergiusz Guszczew. – Wyd. przy współpracy AP Novosti, Moskwa. – Zob. poz. poprzed.
- 1351.** HOLLANEK Adam: *Sposób na niewiadome*. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 283, nrb. 1. 20000 egz. – Opowieści 2000 roku.
- 1352.** JANIŚLAWSKI Maciej [Aleksander], WOJTARA Edward: *W stronę trzeciego wymiaru*. Warszawa. Wyd. MON. 16° ss. 253, nrb. 3, tabl. 8. 5000 egz.
- 1353.** KALUZA Roman: *Nie przechrząć natury*. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 243, nrb. 4. 10000 egz.
- 1354.** KAMIŃSKI Bartłomiej, OKÓLSKI Marek: *Świat obecny, świat przyszły*. Warszawa. Wiedza Powszechna. 16° ss. 276, nrb. 4. 10000 egz. – Omega, t. 324.
- 1355.** MAKA Henryk: *Rejs w rok 2000*. Warszawa. Książka i Wiedza. 16° ss. 261, nrb. 2, tabl. nrb. 8 i liczne objęte liczbowaniem. 10000 egz. – Polska, Świat i...
- 1356.** *O NOWY ład międzynarodowy. Raport dla Klubu Paryskiego*. Red. i wstęp Jan Tübingen. Tłum. [z ang.] Wiesław i Stanisław Rączkowsky. Przedm. Kazimierz Scomski. Warszawa. Państw. Wyd. Ekon. 8° ss. 333, nrb. 3. 6000 egz.
- 1357.** PIKULSKI Zygmunt: *Na progu XXI wieku*. Lublin. Wyd. Lubelskie. 16° ss. 305, nrb. 2. 10000 egz.
- 1358.** PODWYSOCKI Tadeusz: *Polska w świecie – wiza do przyszłości*. Warszawa. Iskry. 16° ss. 207, nrb. 1. 8000 egz.
- 1359.** PROGNOZOWANIE w technice. Aut.: James R[ieser] Bright [i in.], Red. Milton E.F. Schoeman. Tłum. z ang. Warszawa. Wydawnictwo Naukowo-Techniczne. 4° ss. 679, 3000 egz.
- 1360.** TRĘBICKI Jerzy: *W stronę Arkadii czy Apokalipsy*. Warszawa. Młodz. Ag. Wyd. 16° ss. 21, err. 10000 egz. – Motywacje.

cdn.

Przygotował Jacek Izworski

Orwicz Zygmunt Pseudonim (brak danych biograficznych)

Autor książki: „Człowiek niewidzialny. Powieść z roku 2112” (Skarbiec powieści, t. VII, Kraków 1912). Tematem utworu jest historia niezwykłego odkrycia dokonana przez studenta chemii – Zastawskiego, który uzyskał z wywaru ziół indyjskich cudowne robrium – płyn posiadający barwę obojętną dla oka ludzkiego. Fabuła powieści czerpie obficie z wątków sensacyjnego romansu brukowego, naukowiec czyni się niewidzialnym i w swej nowej postaci szerzy panikę wśród mieszkańców Warszawy. Działanie chemika zbliża się w pewnym sensie do postępowania Griffin’a, bohatera „Niewidzialnego człowieka” Herberta Wellsa (faustyczny motyw uzyskania niewidzialności dla zdobycia siły, mocy, władzy). Ale w zasadniczym przesłaniu historii dominuje trywializująca upraszczająca jej społeczną i psychologiczną wymowę. Orwicz bliższy jest wątkom baśniowym („obserwacja z ukrycia” jako motyw „czapka-niewidki”) – przy czym traktuje je dość swobodnie, pozwalając swojemu bohaterowi dokonywać swoistych ataków zemsty za niepowodzenia o charakterze erotycznym.

Powieść Zygmunta Orwicza, pozbawiona wartości literackich, jest wyłącznie świadectwem istnienia tematu nieśmiertelności w polskiej literaturze modernistycznej i dowodem jego zaadaptowania do potrzeb rodzącej się kultury masowej.

Ossendowski Ferdynand Antoni (1878–1945) Prozaik, podróżnik

Urodził się 27 maja 1878 r. w Witebsku. Studiował nauki matematyczno-przyrodnicze na Uniwersytecie Petersburskim. W latach 1899–1901 kontynuował studia w zakresie chemii i fizyki na Sorbonie. Był docentem w Instytucie Technologicznym w Tomsku. W latach 1903–1905 ekspertem przemysłu wojskowego w armii Dalekiego Wschodu. Podczas wojny domowej doradca kontrewolucyjnej armii generała Kołczaka. W 1922 r. przyjechał do Polski. Od 1922 do 1924 r. wykładał geografię, ekonomię i politykę w Wyższej Szkole Wojskowej, Handlowej i Szkole Nauk Politycznych w Warszawie. Odbił wiele podróży po Europie, Afryce, Azji i Ameryce. Od 1935 r. był prezesem Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy, redagował „Wiadomości Warszawskie” (1937) oraz „Film-Romans” (1938). Wydał kilkadziesiąt reportażów, opowiadań i powieści podróżniczych opartych na tle wątków przygodowo-sensacyjnych i fantastyczno-egzotycznych, m.in. „Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów” (1923), „Od szczytu do otchłani” (1925), „Płomienna północ” (1926), „Pod smaganiem samummu” (1926), „Niewolniczy stonca” (1927). Autor powieści dla młodzieży, m.in. „Pod polską banderą” (1928), „Lisowczycy” (1929), „Zagóńczyk” (1931). Podczas okupacji niemieckiej brał udział w pracy konspiracyjnej. Zmarł 3 stycznia 1945 w Żolibżu pod Warszawą.

Nawiązania do fantazji naukowej pojawiają się w powieści „Zbuntowane i zwyciężone” (Instytut Wydawniczy Inwalidów Wojennych i Byłych Wojskowych, 1925, pierwszy wydruk „Zenszczyny wosławszyna”/a i pobieżno emnyje”/a, fantastyczne

ską powieść”, Moskwa 1915). Jest to historia wyprawy na Antarktydę w celu poszukiwania zesłanych tam sułtazystek. Bohaterowie odkrywają tajemniczą cywilizację zamieszkałą pod lodami siódmego kontynentu. Ojczyzną Kampartów jest jedna z planet Południowego Krzyża. Kosmici przybyli na Ziemię przed wiekami, tworzą prężną, doskonale zorganizowaną grupę społeczną wykorzystującą dorobek myśli naukowo-technicznej. Ale ich system ustrojowy niewiele różni się od struktury niewolniczej, opiera się na strachu, terrorze, bezwzględnym posłuszeństwie poddanych. Kartowała, inteligentna kasta przywódców posługuje się taną siłą fizyczną – ramisami. Nic więc dziwnego, że w finale powieści dochodzi do buntu ramisów i zagłady podziemnego państwa. Aluzyjność tekstu Ossendowskiego dotyczy wydarzeń poprzedzających wybuch rewolucji proletariackiej, ale autor przestrogi społecznej wznosi się w gruncie rzeczy, na „Wetkule czasu” i „Pierwszych ludziach na Księżycu” – Herberta Wellsa.

Bibliografia wybrana:

- SE (w) „Kunier Literacko-Naukowy” 1926/7
- (w) „Niwa” 1911

Ostoja-Owsiany Andrzej (ur.1930) Radca prawny, prozaik, publicysta

Urodził się w Warszawie 16 czerwca 1930 r. Ukończył Wydział Prawa Uniwersytetu Łódzkiego. W latach 1957–1964 był prokuratorem, następnie radcą prawnym. Prozaik i publicysta. Autor książek o tematyce historycznej („Rok 1920” 1981) i społecznej („Waleczny domek”, 1969, „Tłrolinka”, 1968 – współautor Adam Ostoja-Owsiany). Swoje opowiadania i reportaże drukował w „Żołnierzu Polskim”, „Żołnierzu Ludu”, „Kronice”, „Głosie Wybrzeża”. Laureat kilku nagród literackich. Autor dwóch powieści o tematyce fantastyczno-naukowej: „Aspazja” (Wyd. Łódzkie 1958, wyd. 2 – zmienione 1974) i „Zielona planeta” (Wyd. Łódzkie 1973).

„Aspazja” jest powieścią podejmującą tradycyjny temat lotu kosmicznego oraz eksploracji innej planety i w swym zasadniczym przesłaniu sięga do rozwiązań konwencji przygodowo-eksploracyjnej SF. Opisując cywilizację pszczół-robotów zamieszkującą Marsa, Andrzej Ostoja-Owsiany spełnia sporo niekonsekwencji motywacyjnych, ale przesłanie jego książki należy rozumieć wyłączenie jako aluzję odnoszącą się do stosunków ziemskich. „Zielona planeta” ukazuje Ziemię zniszczoną kataklizmem nuklearnym oraz bezładną wegetację ostatnich ludzi żyjących w podziemnym schronie, swoistym bunkrze-mauzoleum. Pierwsza część powieści mówi o wizycie Kosmitów, którzy poszukują śladów życia na naszej planecie, druga jest relacją pamiętnikiem ostatniego człowieka i zarazem apelem do uczonych, którzy swoje wynalazki oddają w ręce polityków. Warto dodać, że powieść Andrzeja Ostoi należy do nielicznych książek w polskiej współczesnej science fiction ukazujących świat po katastrofie (zob. „Astronauta” S. Lema, „Głowa Kсандry” M. Baranieckiego). W 1956 r. za powieść „Aspazja” Andrzej Ostoja otrzymał pierwszą nagrodę „Dookoła świata” na konkursie „Spotkanie z wiekiem XXI”.

Bibliografia wybrana:

O Terlecki O duplikatorach (w) „Życie Literackie” 1958/65
- (AKW) (w) „Nadodrze” 1974/16

Jan Zaslowski stał przed wielkim zwierciadłem utworzonym po prostu ze ścian w pokoju, w którym mieszkał. Wszystkie bowiem domy w tym czasie były stawiane tylko z żelaza i szkła grubego na blisko pół metra, te szklane ściany pokryte były po zewnętrznej stronie warstwą rtęci, tak że tworzyły wielkie zwierciadła. Działo się to bowiem w roku 2112.

Zaslowski był człowiekiem młodym: miał najwyżej 40 lat. Na przystojnej jego twarzy malowała się stanowczość i energia. Pokój, w którym się znajdował był zupełnie pozbawiony wszelkich ozdób, znajdowały się tam tylko jakieś stare rupiecie i mnóstwo książek. Zaslowski ubrany cały w oryginalne czarne trykoty, zanurzał od czasu do czasu jakiś szeroki do pedzla podobny przedmiot w glinianym wielkim naczyniu, które, jak się mogło zdawać, było całkiem próżne. Chemik zaś – Zaslowski – był chemikiem – z triumfującym uśmiechem smarował sobie pedzlem nogi.

Mimo zimy i mimo, że od siedemdziesiątych lat siła ciepła słońca znacznie się zmniejszyła, nie tylko pokój młodego studenta, ale cała Warszawa, aż po konce Pragi, gdzie się znajdował wielki dworzec żeglugi powietrznej, otulona była jakby mgłą milego ciepła. Warszawa ogrzewana była elektrycznie i nie tylko Warszawa, wszystkie miasta w Królestwie były oświetlane i ogrzewane elektrycznością wytwarzaną w wielkich elektrowniach położonych wzdłuż brzegu Wisty. Wszystkie domy były jednakowo ogrzewane i oświetlane, a trzeba od razu zaznaczyć, że podatków wcale nie nakładano. Podatki były w ogóle bardzo małe.

Pogrążony w myślach Zaslowski nie zauważył wcale, że do jego mieszkania ktoś zapukał. Do pokoju wszedł Karol Rawski, przyjaciel Zaslowskiego. Zaledwie jednak zamknął drzwi za sobą, krzyknął przeraźliwie.

Krzyk ten był tym straszniejszy, że Rawski nie robił zupełnie wrażenia człowieka, który się było czego przestraszyć. Zbladł jak trup, począł drżeć na całym ciele, wytrzeszczył oczy i wpatrzył się w Zaslowskiego, widac było, że byłby omdlał – gdyby się był na czas nie oparł o krzesło.

Zaslowski chciał przyjść przyjacielowi z pomocą, ale Rawski wyrzucił ręce przed siebie i zaczął krzyczeć.

Nie, nie, precz ode mnie! Czy ja rozum straciłem? Czy to straszne odkrycie... to bałuny, ja czy?

Zaslowski stał spokojnie. Przera-

pożółkłe kartki

żenie przyjaciela nie zrobiło na nim, jak się zdaje, żadnego wrażenia. Zdał się śmiać, spoglądając triumfującym wzrokiem na pytającego.

- Czy rzeczywistość? - chciales zapewne powiedzieć, kochany Karolu
- Tak jest, to rzeczywistość. Widzisz, pomazałem swoje nogi wynalezionym przeze mnie robrum, wskutek czego oczy twoje nie mogą ich widzieć. Przyszedłeś właśnie wtedy, kiedy miałem zamiar całe swoje ciało pomalować i uczynić się zupełnie niewidzialnym, byłbys wszedł do pokoju i nie widział mnie i byłbys wyszedł przekonany, że mnie nie ma w domu, podczas gdy ja bym cie doskonale widział.

Rawski nie uspokoił się, ale zdenerwował się jeszcze bardziej.

- Ależ to niemożliwe! To szaleństwo! A ty mi je chcesz tłumaczyć

Nie miał siły, aby więcej mówić, bo wrażenie tego, co widział, było za silne. Zapytał więc szeptem:

- Co to jest robrum, o którym mi mówiłeś?

Zastawski skinął głową:

Krótko powiedziawszy: wynalazłem środek, za pomocą którego można materię uczynić niewidzialną. Dzięki temu każdy człowiek będzie mógł stać się niewidzialnym. Od wielu lat myślałem nad tym. Teoretycznie sprawa była dla mnie zupełnie jasna. Przypuśćmy, że uda się wynaleźć barwę inną, aniżeli barwy zasadnicze i powstałe z nich połączenia, a nadto nie robiącą wrażenia świetlnego, na które oko nasze jest tak czułe, to dokona się wynalazku, przycmiewającego wszystkie inne. Ta barwa bowiem będzie dla oka ludzkiego niewidzialna. Tę nową barwę wynalazłem i nazwałem ją robrum...

Rozumiesz chyba co to dla mnie znaczy! Miliardy - miliardy popłyną do mojej kieszeni. Przekonałeś się w tych kilku minutach, że zrobiłem wielkie odkrycie i uwierzysz chyba, że spowoduje ono zupełny przewrót w naszej kulturze. Nie twierdzę wprawdzie, że moje odkrycie wywrze olbrzymi wpływ na ludzką kulturę, ale to wiem, że kultura trzeciego tysiąclecia będzie stać pod moim znakiem. Powtarzam Ci więc, że twoje oczy wcale nie ludzą...

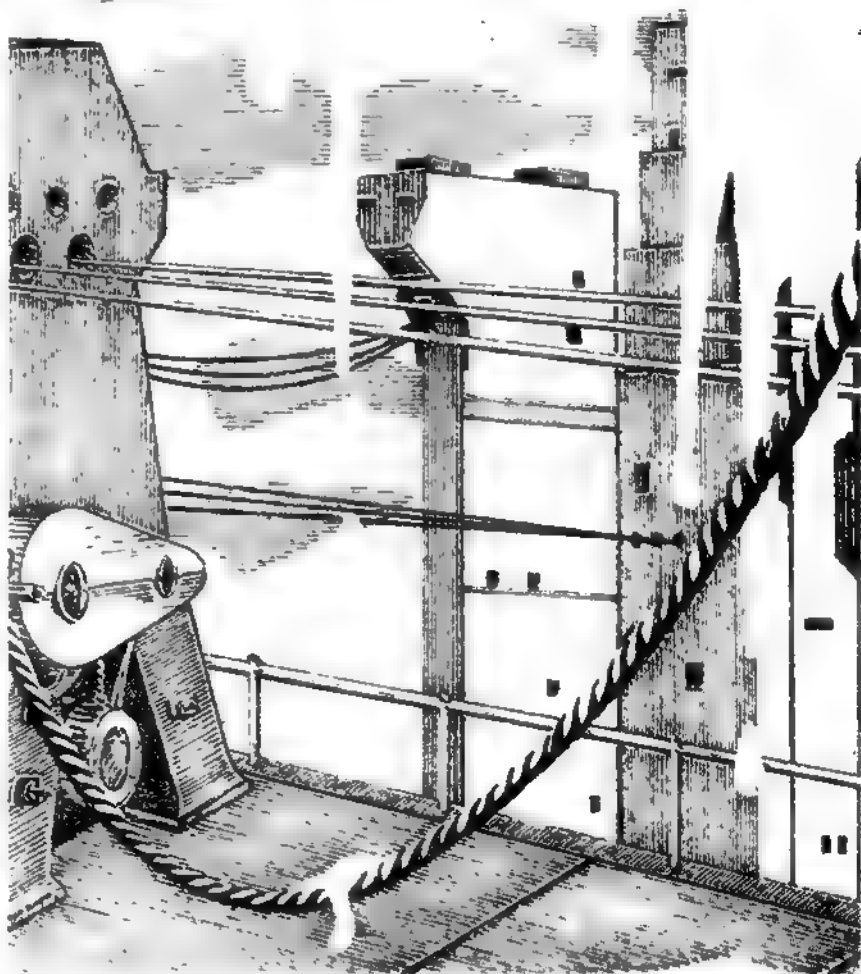
W odkryciu tym dopomógł mi przypadek. Wiesz, że dopiero przed rokiem powróciłem z długiego pobytu w Indiach. Podczas swoich wycieczek w Himalaje znalazłem tam roślinę, która mnie zaciękała, gdyż prawie jej nie widziałem. Jej kształtu podobna do oliwek, wydawała dziwnie niepojęty zapach, a była wprost

jakby bezbarwna, tak że z trudem ją dojrzałem. Naturalnie zebrałem kilka i wysuszyłem, aby je mieć w swoim zielniku. Przy suszeniu roślin, względnie przy wyciskaniu z

świadczeniach udało mi się wytworzyć ciecz prawie niewidzialną. Z chwilą, gdy tą cieczą pomaluję sobie ciało, staje się dla wszystkich niewidzialny, zastałeś mnie właśnie przy

Zygmunt Orwicz

Człowiek niewidzialny



nich soku, sok ten pozostawia zawsze widoczny dla oka ślad. Przy tej roślinie tego nie było, a przecież czułem, że sok wychodził, że jakąś barwę mieć musiał. W rzeczywistości udowodniłem chemicznie, że roślina ta przy uciskaniu wydziela ze siebie sok, ale tego soku absolutnie nie mogłem widzieć. Po wielu próbach i do-

takej robocie. Rozumiesz teraz wszystko?

Zygmunt Orwicz, Człowiek niewidzialny, Powieść z roku 2112, Skarbiec powieści tom 8, Nakładem Wydawnictwa A. Rippera w Krakowie, wybór ze stron 3 - 10.

Opracował
Andrzej Niewiadowski

Podzielony

Motyw przeniesienia w czasie bohatera powieści, czy to za sprawą hibernacji czy podróży kosmicznej z szybkością zbliżoną do szybkości światła, jest motywem pojawiającym się dość często w science fiction. Należy – nie ma co ukrywać – do zużytych i stereotypowych pomysłów na urywanie powieściowej akcji. Konrad Fiałkowski w pochodzącej z 1979 roku powieści „Homo divinus” zrobił jednak z niego taki użytek, że cała ta stereotypowość zostaje zamaskowana i zgubiona w wielościanowych uzależnieniach, jakim bohater jest poddany w nowej dla siebie rzeczywistości. Ma więc ten motyw znaczenie tylko pretekstowe.

Cała powieść jest zbudowana na bazie pomysłów wielokrotnie już w fantastyce naukowej wykorzystywanych. Fiałkowski gra tu ze swoimi czytelnikami bierze z doboru konwencjonalnej fantastyki wszystko, co tylko może mu się przydać, nie ukrywa tych zapożyczeń i tworzy z nich nową całość, która – o dziwo! – jest bardzo atrakcyjna czytelnikowo. To właśnie jest w tej powieści najbardziej zadziwiające – nie wszystkie przygody i tajemnicze przypadki, które przeżywa Stef Korn, ale to, jak pisarz posługuje się stereotypami literackimi, by zbudować z nich swoją własną powieść. Czego tu nie ma? Jest wspomniana hibernacja, jest przebudowa czy udoskonalenie organizmu ludzkiego, jest eksperyment przeniesienia świadomości jednego człowieka do innego organizmu, jakby nałożenie tej świadomości na inną i walka z sobą tych „dwóch” ludzi umieszczonych w jed-

nym ciele, są tajemnicze eksperymenty naukowe, jest nasłuch sygnałów z Kosmosu (oczekiwanie na kontakt), jest cały stereotypowy sztafaj „codzienny” fantastyczny: no-naukowy (złotych, Opiekun itd.), jej współzależność między pisarstwem fantastycznym a wydarzeniami w świecie przedstawionym powieści jest zdradziecka reporterka wideo, w której rodzi się prawdziwe i czyste uczucie, są wreszcie „przejścia” pomiędzy alternatywnymi światami, jest jeszcze wiele innych pomysłów w powieściowej skali mikro i makro, które przyszedł do niej skądinąd.

Fiałkowski miesza to wszystko, przestawia, łączy ze sobą po to, by stawiać bohatera w sytuacjach niezwykłych, by nie mógł się połapać w tym wszystkim, w czym znalazł się po przebudzeniu z kilkadziesiąt lat trwającej hibernacji. Złożoność jego sytuacji jest wielopłaniowa i pomysłowo wyjaśniona przez autora w finale, choć nie wszystko staje się dla czytelnika jasne, ale tak to właśnie powinno być – wyjaśnienie wszystkiego sprawiłoby ze książki odciałyby z poczuciem całkowitego jej przeniknięcia.

I taka właśnie jest powieść Fiałkowskiego – wykorzystuje twórczo stereotypy science fiction, ale są tu też rzeczy całkiem świe-

że, jak chociażby cała sekwencja walki wewnętrznej „człowieka podzielonego”, walki jego dwóch osobowości o dominację nad całością organizmu.

Dużo to czy mało? Zadając sobie takie pytanie jestem podzielony wewnętrznie jak bohater powieści. Z jednej strony dużo, bo powieść pokazuje faktyczną wirtuozę autora w mieszanin, komponowaniu różnych wątków, pokazuje jego znajomość chwytów stosowanych w obrębie gatunku, który uprawia. Z drugiej strony nie wynika z tego wszystkiego wiele, sporo z tych pomysłów, czy też z pochodzących z ich zderzenia napięć zostaje poniekąd w momencie poczęcia, mimo iż stwarzają okazję do rozmaitych, metafizycznych niepokojących wybiegów literackich. Odnosi się wrażenie, jakby sam pisarz zaczął się obawiać wszystkich możliwości, które uruchamia jego powieść i szybko zmierzał do „spłaszczenia” jej wymowy. A może po prostu założył sobie napisanie takiej właśnie powieści, bez jeszcze bardziej wygórowanych ambicji intelektualnych i artystycznych?

Leszek Bugajski

Konrad Fiałkowski *Homo divinus* Wydawnictwo Literackie, Kraków-Wrocław 1986

film i fantastyka

Od nickelodeonu do kina pięciu palców?

Rasowi kinomani chowani u nas w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych na doborowym repertuarze DKF-ów i nie najgorszym repertuarze wszystkich kin, że się dziś czują w ciemnych salach przed wielkim ekranem.

Kin zresztą coraz mniej, a w miejsce dawnej, wymagającej widowni, królują w nich rozwydrzeni gówniarze. Podupada prasa filmowa. Kino coraz rzadziej staje się zapionem intelektualnych i artystycznych dyskusji. Nie czekamy jak kiedyś na nowe filmy Bergmana, Antonioniego, Felliniego. Wajdy. W repertuarze, zamiast 80 czy nawet 100 filmów zachodnich rocznie, mamy ich nie więcej jak 20–30. Na prywatnych ekranach wideo, obok doborowych sprowadzonych po piracku (czego Boże broń, nie potępiam) dzieł w rodzaju „Ragtime”, „Poła śmierci”, „Brazylia”, „Łowca jeleni” czy najnowszych filmów Tarkowskiego, królują przede wszystkim obrazki rozbrankowe bądź kino tzw. nowej wizualnej przygody. Sprowadza się ono do banalnej choć kosztownej i wartościowej realizacji schematu „zabili go i uciekli”.

W jakim miejscu jesteśmy? My, Polacy – ale także, w jaki ślepy zaulek zabrali światowi widzowie i producenci? Ciężko na to odpowiedzieć. Bezpieczniej nostalgicznie podumać o czasach, w których kino jeszcze się nie zdegradowało, a tytuł miłośnika kina brzmiał dumnie. Zamiast rozpacz nad bezmiałem myślowej i artystycznej deprawacji, jakiej ulega sztuka filmowa pod ręką realizatorów przereżanych „mad movies” (szalonych filmów), depczących w pogoni za widzem ograniczenia estetyczne i moralne, lepiej wspominać czasy, w których film wyrażał najważniejsze emocje epoki i precyzował język artystyczny, dostarczając milionom przyzwoitego duchowego zajęcia.

Ratunek jak zwykle w książkach. Ukazały się właśnie dwa interesujące tytuły: trzecie wydanie

„Historii filmu dla każdego” i drugi tom „Kina, wehikułu magicznego”. Prezentują one starą, ale jarzącą wizję kina jako sztuki i języka komunikowania. Rozumenie filmu jako medium drażniącego jedynie zmysły mówiąc umownie – ślad metafora o pięciu palcach – nie ma do autorów tych książek dostępu. Płazewski, wieloletni krytyk oraz dwaj miłośnicy krakowskich DKF-ów z lat sześćdziesiątych dają nam książki w starym to znaczy w dobrym stylu.

Płazewski przedstawia dzieje kina od braci Lumière i Méliés do naszych dni (tzn. niestety za ledwie do roku 1980). Garbicz i Klinowski przedstawiają szczegółowo 303 wybrane, najlepsze według nich tytuły, z lat 1950–59. Płazewski prezentuje kolejne wielkie przełomy w dziejach kina, referuje także poglądy teoretyków na jego temat, używając pojęć takich jak „sztuka syntetyczna”, „film jako sztuka nie-towa”, „związek produkcji filmowej ze strukturą psychiczną”, „film jako język”, „film jako ekspresja poetycka”. Zaś Garbicz i Klinowski wprowadzają zaraz na wstępie pojęcia „estetycznej siły ducha, czyli prawdy wewnętrznej kina” oraz „magii ekranu”.

Na przykładach selekcji filmów i kilkunastu najciekawszych narodowych kinematografii pokazuje Płazewski narodziny sztuki filmowej, jej oltrazanie się z okresu jarmarczniczego, jej ewolucję, ale i chwilowe ślepe uliczki, wyniki z wprowadzenia nowinek technicznych – dźwięku, koloru, szerokiego ekranu – z jej rywalizacji z telewizją. Garbicz i Klinowski, mając krótszy okres do obsłużenia, a tym samym więcej miejsca, oddają się bardziej precyzyjnym zapisowi faktów i nastrojów po szczególnych filmów. Wyciągają też oficjalnie parantele artystyczne, dają nam en passant mnóstwo ciekawostek, no i kompletny zapis czołówek Płazewski, mniej barwny w szczegółach, pokazuje za to wyraźne procesy, które w tym czasie

przytłoczyły i odpływały weny poszczególnych kinematografii. owe znaczące przejścia, np. od neo-realistu do nowo, fali, potem do kina politycznego, kina kontestacji, czy w ostatnich latach, inwazyj gwałtu i seksu. U Garbicza i Klinowskiego pochyłających się nad wybranym dziesięcioleciem, łatwiej wychodzą obsesje i mody ówczesnego kina. Widać u nich jak wiele ówczesnych najlepszych filmów zajętych było przewartościowaniem dosłowności wojennego, jak noszą intelektualne i ważką społecznie była w swoim czasie konwencja kryminału, czy wielkomięskiego realizmu. Widać tu też narodziny takich talentów jak Bergman czy Antonioni, widać chwilową fascynację problemem (na przykład morderców kobiet) czy znacznie dłuższe i głębsze zainteresowanie dziś już chyba niemożliwym wśród twórców westernem „Kino, wehikuł magiczny” jest książką pozbawioną niestety zdjęć, mamy ich za to kilkadziesiąt u Płazewskiego. Obie książki zaopatrzone w indeksy filmów i nazwisk. Są to więc wymarzone kompendia wiedzy filmowej dla kinomana pozbawionego wideo, który chciałby jak najdłużej pamiętać o tym, co w kinie dobrego zobaczył, bądź przeczytał, choćby skrótowno o tym, czego zobaczyć mu się nie udało. Czy są to także wymarzone książki dla miłośnika science fiction na ekranie?

Przyznajmy uczciwie, nie za wiele w obu książkach fantastyki. Owszem, Płazewski daje nawet interesujące nas zdjęcia – mamy tu kadry z Méliés’a z „Diabła naszego wynalazku”, z „Metropolis”, „Aelity” czy „Obcego”, ale np. wielka „2001 Odyseja kosmiczna” doczekała się w tej książce paru wzmianek właściwie jednozdaniowych. Zaledwie parę słów godnych uwagi filmów fantastycznych bądź parafantastycznych znajdują w prezentowanym dziesięcioleciu Garbicz i Klinowski. Tytuły nie budzące gatunkowych wątpliwości, a wymienione w ich książkach to „Cud w Medrolanie”, „Alisa w krainie czarów”, „Piękności nocy”, „20 000 mil podmorskiej żeglugi”, „Śmiertelny pocałunek”, „Inwazyja porywaczy ciał”, „Czerwony bałkonik”, „Diabelski wynalazek”, „Śpiąca królewna”, „Ostatni brzeg”. Już na przykładzie „Dziwny w kinie, ziemia zamarta” (Robert

Któż nie poświęcił w swoim życiu choć chwili refleksji problemowi szaleństwa? Świat snów, wizji, twórczości wkłada się nierzadko w nasz usystematyzowany, zrationalizowany porządek rzeczy. Ten odwieczny niepokój obrazuje wiele dzieł sztuki plastycznej (Goya „Rozsądek uspony rodzi potwory to jedna z najsympatyczniejszych grafik naszej kultury). Mysł starożytna pozostawiła nam w dziedzictwie szacunek do szaleństwa jako stanu uwznioślenia. „Jeśli człowiek piękność ziemską zobaczy, przypomina sobie piękność prawdziwą i oto skrzydła mu odrastają, on je rozpinąć usiłuje i chciałby wlecieć, a nie może, tedy, jak ptak w górę tylko patrzy, a że nie dba o to, co na dole, przeto go ludzie biorą za wariata...” (Platon, Fajdros).

Seneka stwierdza „Nullum magnum ingenium sine addidamento resanar” (wielkich zdolności nie może mieć ktoś, u kogo nie dostrzega się objawów zaburzeń psychicznych).

Potwierdzają to biografie Nietzschego, Nerval, Holderlina, Swenborga, van Gogha, Artauda i wielu innych.

Nie zawsze jednak obłąd był traktowany jako stan nawiedzony. Historia uczy się rozpatrywać go również w kategoriach grzechu, stanu godnego pogardy oraz w sposób najbliższy naszej współczesnej świadomości – w kategoriach choroby. „Historia szaleństwa w dobie klasycyzmu” Michela Foucaulta przypomina zjawisko inferna wzniesione przez normy moraino-społeczne klasycyzmu. Koniec XVI w. charakteryzuje się pojawieniem głębokiego strachu przed szaleństwem, który owocuje zamknięciem chorych w opuszczonych leprozjach średniowiecznych. Społeczna ocena łączą obłąkanych z kryminalistami, bezbożnikami, biedotą. Znaczenie tej separacji ulega zmianie dopiero w początkach wieku XIX. Powstanie szpitali psychiatrycznych łączy się ze zmianą perspektywy oglądu szaleństwa, które zaczyna być rozumiane w wymiarach choroby. O tym, czy los obłąkanych uległ poprawie

świadczą współczesne ruchy walczące o humanistyczne traktowanie chorych umysłowo. Foucault należy do bezkompromisowych obrońców wyjętych spod prawa (inne jego prace dotyczą historii więzienia i seksualizmu).

„Historia szaleństwa” dociera do polskiego czytelnika w 26 lat od wydania oryginału. Przynajmniej tyle samo czasu upłynęło od zainicjowania

autora jako jednego z głównych myślicieli współczesnej humanistyki. Dokonania Foucaulta dotarły do nas drogą niejako okólną, między innymi dzięki ruchom psychologii i psychologii humanistycznej, dla których jego dzieło miało niebagatelne znaczenie. Czasy obecne charakteryzują się zwiększonym zainteresowaniem problematyką szaleństwa. Powraca aspekt nawiedzenia, nierozumu jako koniecznego dopełnienia rozumu. Szczególnym wyrazem tych zjawisk jest seria „Transgresje” redagowana przez M. Janion (o kręgu zainteresowań autorów świadczą już same tytuły: „Galernicy wrażliwości”, „Odmiennicy”). Mechanizm przekraczania granic, norm, uznanych konwencji jawi się tutaj jako miara humanistycznego odczuwania, obrona własnej indywidualności. Terminem transgresja posługuje się właśnie M. Foucault. Doświadczenie transgresji jest podświadomym czynnikiem dla naszych czasów, przypomina przełom, którego dokonało myślenie dialektyczne. Proba nie-dialektycznego myślenia wiąże się z problemami granicznymi, stąd tematyka choroby, więzienia, szaleństwa czy seksualizmu. Stąd też biorą się trudności w odbiorze dzieł Foucaulta. Trzeba poddać się jego sposobowi wyrażania, umieścić siebie w lekcjach a nie odwrotnie.

„Historia szaleństwa” sytuuje się pomiędzy zakresami historii i filozofii. Stanowi eksplikację

poglądów teoretycznych Foucaulta, które przedstawił między innymi w „Archeologii wiedzy” (PIW 1977). Autor pragnie dotrzeć do świadomości danego okresu nie zniekształconej przez formy jej oglądu (dlatego za najbardziej adekwatny termin, określający jego prace, uznaje słowo archeologia). Foucault próbuje rekonstruować kategorie myślenia i sposób percepcji świata po-

Czym jest szaleństwo?

nad konkretnymi wypowiedziami. Autor bada wszelkie przejawy kultury od instytucji, społeczno-politycznych po dzieła sztuki. Myśliciel zawsze jednak unika odniesienia badanych obiektów do prawdy absolutnej. Dostrzega różnorodność pojęć, ostrzega przed jednoznaczными wnioskami.

„Żadna prawda nie jest absolutna, rzeczywistość przypomina oś koła do której dąży tysiąc różnych promieni.”

Tak też pojmowanie obłądów w naszej kulturze negdy nie stanowiło zwanego bloku a raczej zespół różnych punktów widzenia łączących się w zmiennych proporcjach.

Trudno zachęcać do lektury książki o takim znaczeniu dla kultury współczesnej. Interesująca będzie konfrontacja tego, co już o Foucaultie wiemy z jego dziełem. W żadnym wypadku nie należy też oceniać pochopnie „Historii szaleństwa”. Dyskusja nad poglądami Foucaulta trwa już przynajmniej od czterech lat. Włączyć się do niej można dopiero po dokładnym poznaniu wszystkich prac tego myśliciela. Niestety omawiana tu pozycja to dopiero druga jego publikacja na naszym rynku.

Małgorzata Skórska

Michel Foucault. *Historia szaleństwa w dobie klasycyzmu*. Przełożyła H. Kęszczyńska. PIW Warszawa 1987. Cena 900 zł.

film i fantastyka

an na wzmiankę wspomina natomiast o filmie Plazewski.

Te proporcje są dla miłośnika filmowej SF nieco irracjonalne. W wybranym dziesięcioleciu 1950-59, a i w całych dziejach kina, wygląda film fantastyczny na konwencję perłową, a długi czas nie ambina, mocno zeschematyzowaną.

Z oczywistych powodów poza sferą zainteresowania trojki autorów pozostaje więc niskobudżetowe kino SF powstające w Stanach w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Do dobrego towarzystwa arcydzieł i doskonałych znaczących przebijają się w tych książkach także jedynie filmy, w których fantastyczność obsługuje problemy wielkie, jest więc przypawą, a nie gettowym towarem dla podnieconych i bezkrytycznych fanów. „Cud w Mediolanie” to „baśń socjologiczna”, „Ostatni brzeg” jest nostalgiczną opowieścią o świecie dogorywającym po katastrofie. Efekty, protechnika, triki nie wychodzą tu jeszcze przed zaimię intelektualny dlatego tak rozumiane kino fantastyczne może startować i zajmować dobre miejsce w normalnej konkurencji artystycznej. Disneyowska „Alicja w krainie czarów” (widziałem niedawno ten film w warszawskim iluzjonie i wiem już skąd rysownik Dudziński ściągł tak modnego w latach siedemdziesiątych Plaka Dudi) to znaczący krok w dziejach filmowej animacji, prowadzący ku dokonaniom na miarę „Żółtej łodzi podwodnej”, „Inwazji porywaczy ciał” jest wspaniałym horrorem politycznym opowiedzianym w konwencji fantastycznej. Jeśli z kolei, u Plazewskiego w trzech miejscach wspomniany jest Spielberg, to nie ze względu na artystyczne wyrównanie, ale raczej znaczący (i podejrzewam szkodliwy) przełom, jaki pod wpływem jego szkoły dokonał się w całej kinematografii. To Spielberg rozpoczął modę na filmy proste, atrakcyjne, wzualnie, perfekcyjne warsztatowo – bezbłędnie oddziałujące na zmysły, ale puste myślowo. Przed nim podobnie oddziałali na kino inny wirtuoz reżyserski Lelouch też sciągający kino na manowce smaczności kiczu.

Tylko że wszyscy ci panowie wszystkie chybione filmy i rozrywkowa tandeta, i problemy deprawacji widzów w ostatnich latach – wygląda, a we wspomnianych książkach jak przyszc, jak epi-

zod w dziejach triumfującego, wciąż rozwijającego się kina. Epizod, co najważniejsze, przejściowy, bo wcale nie pierwszy, nie wyjątkowy. Co prawda, nasz Andrzej Żuławski, swojego czasu bodaj Pasolini, także myśliciel Ortega y Gasset – bardziej skłonni są wygłaszać sądy katastroficzne. Żuławski mówi w wywiadach, że kino jakie znamyś umiera, Gasset wiescił upadek całej kultury pod naporem filmów czy mas, które poprzez rynek i za sprawą dokonującej się jednak demokracji, uzyskują wpływ na bieg świata i doprowadzą do upadku elit. Jest to prawda, ale dwuznaczna i niejako obrotowa. Przecież kino, o którego wyrafinowaniu i wysokim poziomie artystycznym tak niedawno jeszcze wołaliśmy, narodziło się i trwało (i trwa?) właśnie jako sztuka dla mas – cały czas wytwarzana dla milionów i konsumowana przez miliony.

Cos tu się zgadza, kiedy zamrozimy bieżącą sytuację i zarazem nie zgadza, gdy zechcemy spojrzeć na nią dynamicznie. Odcieniamy przez kino świadomie landelne, wierząc nam dziurę w podbrzuszu (i innych sferach, nazwijmy je – erogennych) ulegamy katastrofizmowi nasirojowi, że tak będzie i z zawsze. Niekoniecznie. Teraz właśnie kiedy tu lamentuję nad upadkiem widowni i krachem repertuaru, trwają w warszawskiej Skarpie pokazy „Msi” Joffe filmu opowiadającego o jezuickiej msi w Ameryce Południowej, zmiażdżonej krwawo przez nieubłaganą politykę. Jest to film wielki, o potężnym napięciu religijnym (na jakie 10 lat temu niki by się w kinie nie wazył) i rzecz ma swoją widownię – lecz jest to zarazem dokonanie, przy którym skorzystano z doświadczenia wspomnianych wcześniej i polepionych filmów cynicznych rozrywkowych. Takie jest kino. Takie są mechanizmy jego upadku i odradzania się. Kino jest jak Feniks.

Miałem pretensje do Plazewskiego i do naszego cyklu produkcyjnego, które nie pozwoliły jego książce wykroczyć poza granice roku 1980 i zbliżyć się bardziej do smutnej współczesności. Ale teraz myślę – po co się spieszyć? Kiedy w roku, powiedzmy 1995 da nam Plazewski IV wydanie swej pracy, to, nad czym dziś tak lamentuję, może się okazać krótkim epizodem, godnym zaledwie podsumowania w zwięzłym złośliwym akapicie

Kino jutra, jeśli się odrodzi, w co wierzę, odrodzi się za sprawą powrotu do klimatu morainego do zadań estetycznych, jakie stawiało przed sobą kino stare.

Nie wiem, jaki udział w tym procesie mieć będzie kino fantastyczne. Bo przecież cała masowa produkcja fantastyczna, która nawet miłośnicy SF krzywiąc się oglądają na klubowych wideo, wydaje się być wapienia na śmietniku historii sztuki. Ale dokonania Scotta, Kubricka, najlepsze rzeczy Carpentera, mam nadzieję, zostaną. Zostanie na pewno ta nie stereotypowa, nie gettowa fantastyka, jaka robią i od czasu do czasu będą robić mistrzowie kina w rodzaju Polanskiego, Weira, Andersona, Szulkina, Russella, którzy fantastykę traktują jako język i szansę wyrażania niewyrażanego, a nie spejtykowaną konwencję.

Czekając na te lepsze czasy czytamy książki o starym kinie i jego mistrzach. Zobaczymy w nich kino jako logiczny artystyczny organizm, jako udzielną świadłość tajemniczych związków – czasem paradoksalnych, czasem zdumiewających. Może za sprawą wideo, na pewno za sprawą muzeów kina w rodzaju warszawskiego iluzjonu, będziemy mogli nie tylko czytać o tym świecie, ale także wejść w niego i smakować wszystkie jego uroki. Przewodnikiem po tym świecie mogą być właśnie prace takie jak Plazewskiego, Garbicz i Klinowskiego. To także dzięki nim spozostreżemy nagle, jak bardzo Moby Dick z filmu Hustona przypomina czerwną z ekranizacji „Diuny” a świeżka dzwękowa ze „Śmiertelnego pocałunku” w momencie wybuchu atomowego na plaży, jest identyczna z tą, którą Spielberg podłożył w scenie otwarcia przez niemieckiego uczonego zaginionej Arkę. To dzięki autorom takich książek, dzięki ich pracowitym indeksom i skompletowanym w trudzie czołwkom dowiemy się np. do jakich niefantastycznych filmów pisał scenariusze mistrz prozy science fiction Ray Bradbury.

Maciej Parowski

Adam Garbicz, Jacek Klinowski. *Kino wehikuł magiczny. Przewodnik osiągnięć filmu fabularnego. Podróż druga 1950-1959*. Wydawnictwo Literackie. Kraków 1987. Cena 850 zł.

Jerzy Plazewski. *Historia filmu dla każdego (1895-1980)*. WAiF. Warszawa 1986. Cena 800 zł.

Najbardziej złożonym systemem, czyli zorganizowanym układem materialnym, jaki znamy w przyrodzie, jest nasz własny mózg. Nie można wykluczyć istnienia we Wszechświecie układów bardziej złożonych, ale jak dotąd nic o nich nie wiemy. Nie mamy też żadnego dowodu na to, iż w ogóle istnieją. Tak więc – wedle stanu wiedzy na dziś – ludzki mózg przewyższa możliwościami wszystkie znane struktury naturalne i sztuczne (to znaczy – stworzone przez tenże mózg).



Marek Zaleski

Z tamtej strony lustra

Rozum, czyli efekt uboczny

Maciej Iłowiecki

Zostawiamy na boku problem często dziś rozważany, czy mózg ludzki może zaprojektować układ o większych możliwościach od samego siebie, zatem czy możliwe jest zbudowanie komputera przewyższającego inteligencją i twórczym potencjałem swego konstruktora. Jeśli tak, wówczas w przyszłości pojawi się sztuczny twór, będący najbardziej złożonym tworem we Wszechświecie. Na razie pierwsze miejsce zajmuje mózg, ukształtowany przez biologiczną ewolucję (taki jest pogląd współczesnej nauki) – i dziwnym paradoksem ów mózg, który zdobył już tyle wiedzy o otaczającym go świecie, najmniej chyba poznał samego siebie. O funkcjonowaniu mózgu wiadomo już sporo informacji na ten temat zajęłyby grube księgi, ale – prawdę mówiąc – stota jego działania nadal okryta jest tajemnicą. Nie wiemy, czym jest świadomość, myślenie, intuicja, choć na ten temat powiedziano już tak wiele. Jest to, w gruncie rzeczy, ten sam problem filozoficzny, czy mózg może do końca sam siebie poznać i zrozumieć? Inaczej mówiąc, czy w ogóle można dany system wyjaśnić całkowicie w ramach tego właśnie systemu, czy też zrozumieć, czyli stworzyć dokładny model działania danego

systemu może tylko system wyższy, bardziej złożony.

Ci, którzy znają dobrze matematykę przypomną, że Kurt Gödel dowiódł, iż istnieją sformalizowane systemy, których prawdziwości ani fałszywości na gruncie ich samych dowiedzieć nie można – by to uczynić, trzeba posłużyć się systemem nadrzędnym. Tak jest w matematyce, ale nie wiemy, czy przyroda (a więc i nasz mózg) jest na tyle „matematyczna”, by obowiązywały w niej te same reguły. Zostawmy więc i tę, wyjątkowo trudną kwestię, tym bardziej, że chciałbym się dziś zająć sprawą nieco inną, choć również tajemniczą.

Otoż antropologowie, biologowie, badacze mózgu w szczególności, od lat już zdali sobie sprawę, że potencjalne możliwości ludzkiego mózgu o wiele, bardzo wiele przewyższają biologiczne potrzeby ludzkiego gatunku. Powie ktoś, że ludzie dawno już „wyszli” poza krąg biologicznych potrzeb swych organizmów i zatem mózg służy rozwijaniu kultury, cywilizacji i przede wszystkim poznawaniu, zdobywaniu naukowej wiedzy i właśnie do takiej służby jest przystosowany. To prawda – ale tak właśnie jest najwyżej od kilkunastu tysięcy lat – a ludzki mózg osiągnął

obecny poziom złożoności znacznie dawniej, w każdym razie przedtem, zanim pojawiła się kultura i cywilizacja. Jest zatem tak, jakby ewolucja przewidywała przyszłe potrzeby gatunku Homo sapiens i zawczasu, z góry obdarzyła przedstawicieli tego gatunku narządem, którego potencjalne możliwości przeznaczone były „na później”. Można to ująć inaczej: rozwój mózgu pierwszych hominidów przebiegał dużo szybciej, niżby to wynikało z selekcyjnych nacisków środowiska. Można wreszcie powiedzieć wprost: mózg pierwszych małpoludów był „za dobry”, tak skomplikowany narząd „na wyrost” był właściwie małpoludom niepotrzebny! A przecież ewolucja nie tworzy niczego, co byłoby niepotrzebne, co nie byłoby ściśle dostosowane do wymogów środowiska i potrzeb samego organizmu.

Przytoczę opinię wybitnego antropologa polskiego, Tadeusza Bieleckiego: ewolucja mózgu hominidów „był to jeden z najszybszych, najgwałtowniej przebiegających procesów w historii kręgowców, a może nawet w historii świata zwierzęcego w ogóle”. Proces ten zaczął się wtedy, kiedy na Ziemi kończyła się ostatnia epoka trzeciorzędu – tzw. pliocen – zaczynała pierwsza epoka czwartorzędu – tzw. plejstocen, czyli około 2 miliony lat temu (niektórzy sądzą, że ok. 3 mln lat temu). W tym czasie mózg hominidów powiększył się trzykrotnie, co już stanowi trudną do wyjaśnienia zagadkę, ale jakby tajemnic było za mało, doszła jeszcze „jedna”. Oto ów gwałtowny wzrost mózgu skończył się dość nagle około stu tysięcy lat temu, a żeby było jeszcze dziwniej, od około 15 tysięcy lat mózg człowieka zaczął się nawet zmniejszać! (Ściśle mówiąc, średnia pojemność mózgu nieco się zmniejszała). 15 tysięcy lat – to mniej więcej czas trwania i rozwoju naszej obecnej cywilizacji. Więc znów wracamy do punktu wyjścia: naszym przodkom sprzed kilkuset tysięcy lat wystarczyłoby w zupełności mózg znacznie mniejszy i mniej – rzecz można – zdolny, obdarzony mniejszą inteligencją, mniejszymi potencjalnymi możliwościami. Tymczasem już pod koniec starszej epoki kamiennej, jak to określają antropologowie – w górnym paleolicie (czyli około 40 tysięcy lat temu, a zapewne i dawniej) – mózgi ówczesnych, pierwotnych ludzi miały takie same potencjalne możliwości, jak mózgi ludzi z końca XX wieku. Posłużę się jeszcze raz opinią prof. Bieleckiego: „ostateczny efekt ewolucji hominidów (tzn. inteligencja człowieka dzisiejszego) osiągnięta już w górnym paleolicie – przyp. M.I.) zdaje się grubo wykraczać poza wymagania, które w tym względzie stawiał prosty zbieracko-łowczy tryb życia i prosta organizacja społeczna cechująca hominidy przez cały prawie okres trwania plejstocenu (czyli prawie przez 2 miliony lat – przyp. M.I.), skutek wydaje się tu zupełnie nieproporcjonalny do przyczyn”.

Czyli pytanie brzmi po prostu: po co przodkom człowieka potrzebny był tak bardzo rozwinięty mózg? Był on już wtedy zresztą tak rozwinięty, że do dziś nie wykorzystujemy wszystkich jego możliwości! Tak – to kolejna tajemnica człowieka współczesnego, wykorzystuje tylko niewielki procent potencjalnych zasobów swego mózgu. Niektórzy uważają, że zaledwie 10% lub niewiele więcej – co oznacza, że około 90% mózgu pozostaje jakby w uśpieniu. Rzeczywiście trudno w to uwierzyć. Trudno też sobie wyobrazić, jacy byłibymy, jaka byłaby nasza cywilizacja, gdybyśmy zdołali się nauczyć wykorzystywać wszystkie zasoby własnych mózgów. Być może, będzie to kiedyś możliwe, a i dziś próbuje się znaleźć metody unuchomienia przynajmniej części tego niesłuchanego potencjału intelektualnego. Technicy specjaliści od komputerów powiedzą, że mózg ludzki wykazuje przeogromną redundancję – takie jest techniczne określenie systemu, w którym jest więcej elementów niż jest konieczne do działania tego systemu.

Redundancja, ów nadmiar, zwiększa niezawodność systemu. Bardzo dobrze – ale znowu powraca wyjściowe pytanie: po co jaskiniowcom potrzebna była aż tak duża niezawodność ich mózgu, a z taką, niewykorzystywaną potencjalnie inteligencją? Skoro nawet ludziom dzisiejszym, którym współczesność stawia wobec intelektu wyzwania znacznie większe, wystarcza korzystanie tylko z części potencjału ich mózgow? I – co jeszcze trudniejsze do wytłumaczenia – skąd się wziął ów „nadmiar intelektu” dlaczego pojawił się w ogóle u tych istot, które były naszymi przodkami?

Oczywiście, istnieją różne hipotezy na ten temat. Autorzy fantastyki naukowej dawno już wpadli na pomysł, że swój genialny mózg małpolidy zawdzięczają skrzyżowaniu z superinteligentnymi kosmitami, którzy kiedyś wyładowali na Ziemi i przekazali najbardziej luźno rozwiniętemu ssakom swoje cechy. Inna wersja tego pomysłu ze owi kosmici drogą manipulacji genetycznych stworzyli „z małpiego materiału” – odpowiedniego mutantu. Ale właściwie po co mieli to robić? Dla dobra naszej rasy? Dla jakichś celów, których jeszcze nie znamy, ale które mogą się kiedyś ujawnić?

No cóż, hipoteza interwencji kosmitów spoza Ziemi jest bardzo interesująca, ale odznacza się pewną słabością: nie ma najmniejszego śladu zasadnych dowodów, że tak właśnie było! Niektórzy Czytelnicy książek Daenikena mogą się oburzać – ale nie mogę nic poradzić na to, że większość przedstawianych przez Daenikena argumentów na rzecz kosmicznych ODWIEDZIN ma, mówiąc delikatnie, niewysłarżające podstawy naukowe¹ (porozmawiamy o tym innym razem).

Musimy wrócić na grunt nauki, jest tam i tak bardzo dużo tajemnic. Wśród hipotez naukowych na temat „zbyt szybkiej” ewolucji mózgu i jego swoistej „nadmiarowości” wymienię trzy, godne uwag.

Pierwsza, że wzrost mózgu hominidów w pleistocenie był normalnym efektem powiększania się ciała w ogóle – mózg miał służyć coraz większemu organizmowi, zatem i stawał się większy. Jego wielkość byłaby najwyraźniej proporcjonalna do masy ciała. Hipoteza powyższa ma wiele słabych stron. Samo pojęcie proporcji jest tu względne: proporcja wagowa mózgu do całego ciała wynosi np. u słonia 1.600, u człowieka 1.45, u myszy 1.40, u niektórych przedstawicieli małp szerokooszczepionych tylko 1.15. Małe małpki mają zatem proporcjonalnie do wagi ciała o wiele większy mózg niż człowiek! Ponadto można dowodzić, iż tempo wzrostu wielkości mózgu u przodków dzisiejszego człowieka było jednak wyższe niż powiększanie się rozmiarów ich ciała. Nie będę przytaczał innych argumentów przeciw – można mi uwierzyć na słowo, że ta hipoteza raczej sprawy nie wyjaśnia.

Hipoteza druga, lepiej uzasadniona, wzrost wielkości mózgu był wyrazem „selekcji na inteligencję”, inaczej mówiąc dobór naturalny preferował osobniki o większych mózgach, bardziej od innych inteligentne. Hipotezy S-I (od pierwszych liter Selekcja na Inteligencję) można bronić, ale istnieją też poważne zarzuty przeciw niej. Nie zdolam tu wymienić wszystkich, ale warto zwrócić uwagę, że np. u współczesnych ludzi nie jest wcale tak, że kto ma większy mózg, jest tym samym inteligentniejszy. Inaczej mówiąc, nie bardzo można dowodzić, że wzrost mózgu oznacza wzrost tzw. inteligencji. Nadto można dowieść, że największy rozwój „zachowań inteligentnych” nastąpił u ludzi nie wtedy, kiedy ich mózg rozwijał się najszybciej, a właśnie wtedy, kiedy rozwijał się przestając! Samo zresztą pojęcie „inteligencji” jest bardzo nieprecyzyjne, ale mniejsza już o to. W każdym razie w świetle dzisiejszej wiedzy trudno orzec z całą pewnością, iż łatwiej przeżywały i szybciej rozmnażały się „małpoludzy” o więk-

szych mózgach (co by preferowało powiększanie się mózgu w ciągu pokoleń). Poza tym stwierdziłmy już wcześniej, że przez długie okresy myślenia i zbieractwa naszym przodkom całkowicie wystarczała inteligencja, którą już mieli, nie było więc powodów natury „ewolucyjnej”, by mózg się nadal rozwijał. Większa inteligencja nie była po prostu potrzebna. No cóż, znowu jesteśmy w punkcie wyjścia: mózg naszych przodków rozwijał się „zbyt szybko” i trudno to wyjaśnić zarówno wzrostem ich wagi ciała, jak i „selekcją na inteligencję”.

Hipoteza trzecia jest szczególnie interesująca, ponieważ powołuje się na przyczynę zupełnie dotąd nie braną pod uwagę, nadto pochodzi od specjalisty „nauk komputerowych” (a nie antropologa), dla nas zaś ma jeszcze jeden walor: hipotezę sformułował Polak, prof. Konrad Fiałkowski, skądinąd znany autor fantastyki naukowej. W skrócie i uproszczeniu hipoteza wygląda następująco:

Przesłanka pierwsza: przez długi czas formą zdobywania żywności przez naszych przodków było po prostu „gonienie za zwierzyną”. W ogóle polowanie w gorącym klimacie ówczesnych sawann wymagało wielkiego trudu fizycznego i połączone było ze stałym przegrzewaniem ciała. Prowadziło to do tzw. stresu cieplnego, przejawiającego się m.in. w przegrzewaniu krwi odżywiającej mózg. Jest to dla mózgu bardzo szkodliwe, zakłóca działanie komórek mózgu, neuronów.

Przesłanka druga: z teorii von Neumanna, dotyczącej w ogóle działania złożonych układów wynika, że niezawodność układu, zbudowanego z zawodnych elementów można zapewnić przez zwiększenie liczby tych elementów i połączeń między nimi. Jest to właśnie ówa wspomniana wcześniej redundancja, nadmiarowość, niezbędna dla działania układu w trudnych warunkach.

Wniosek: stres cieplny (przegrzanie) zakłócał działalność neuronów mózgu pierwotnych łowców. Nie wystarczały istniejące, fizjologiczne systemy chłodzenia, zatem lepiej przystosowaniu okazali się ci, którzy mieli więcej neuronów i więcej między nimi połączeń. Mózg – układ złożony – przystosowywał się do trudnej sytuacji przez zwiększanie swej złożoności, a więc rozrost i rozwój. Rozwój mózgu hominidów był więc wynikiem ich adaptacji do stresu cieplnego².

Potrzebna jest tu zapewne uwaga: przystosowanie do stresu cieplnego może wystąpić inną drogą, np. u szybko biegających zwierząt tropikalnych wykształciły się specjalne systemy chłodzenia mózgu, więc ich mózg nie musiał się powiększać. Przodkowie człowieka mieli, rzecz można, szczęście, że ich adaptacja „poszła w kierunku” rozwoju samego mózgu.

Jestli hipoteza zdumiewająco prosta, spójna i wyjaśniająca wiele nie rozwiązyanych dotąd zaga-

dek. Jest to też hipoteza dość nowa, zobaczymy dopiero, jak połączą się jej naukowe losy.

Nawiasem mówiąc, hipoteza „odpowiedzi na stres cieplny” odpowiada też na od dawna dyskutowane pytanie, dlaczego tzw. człowiek z Cro-Magnon wyparł całkowicie poczwęgowego Neandertalczyka, który swego czasu żył w całej Europie. Ludzie kromanińscy byli mniej krzepcy, dużo słabsi od Neandertalczyków, mieli słabsze mięśnie i cieńsze kości. Mieli za to lepiej rozwinięte płaty czołowe mózgu – byli, krótko mówiąc, inteligentniejsi od swych neandertalskich krewniaków. Dlaczego? Według hipotezy Fiałkowskiego dlatego, że Neandertalczycy wcześniej wykorzystali „ludzkie” możliwości swego mózgu, zmienili technikę polowań, nie ulegali więc już stresowi cieplnemu, szybko rozwój ich mózgow zatrzymał się. Ludzie kromanińscy przeciwnie – nie wykorzystali zbyt wcześniej „nadmiarowości” swych mózgow, więc mózgowo „przystosowanie do przegrzewania” działało u nich dłużej, mózg rozwijał się dłużej – i w efekcie zdobyli znacznie większą inteligencję. Pozwoliło im to skutecznie konkurować z Neandertalczykami i wyparć ich całkowicie. Można powiedzieć, że Neandertalczyków zgubiła „przedwczesna” mądrość.

Zwróćmy uwagę jeszcze, że gdyby wywołujący stres cieplny tryb życia ludzi kromanińskich trwał dłużej niż trwał, gdyby jeszcze później zaczęli korzystać ze swej inteligencji – nasze dzisiejsze mózgi byłyby jeszcze sprawniejsze i bardziej złożone³.

Oryginalne i dziwne – prawda? Cóż, moją rzeczą jest referowanie własne dziwnych hipotez.

Byłoby zdumiewające (i może smutne?), gdyby hipoteza cieplnego stresu okazała się trafna – przecież wtedy nasz dumny i jedyny intelekt byłby zwyczajnym ubocznym efektem zwykłego przystosowania mózgu do pracy w podwyższonej temperaturze! I nic więcej. Bylibyśmy „dziećmi ciepła”.

Samoświadomość, inteligencja i twórczość człowieka jako „efekt uboczny” pierwotnego „drapieżnictwa” hord dawnych łowców – no cóż, jest to na tyle niesamowite i niezwykle, że może okazać się prawdziwe.

1 Wyróżniona w systematyce rodzina, z której wyłonił się człowiek.

2 Wszystkie cytaty z referatu prof. T. Bielickiego pt. „Ewolucja mózgu hominidów” wygłoszonego na konferencji naukowej „Aktualne problemy biologii ewolucyjnej” w Jabłonnie w maju 1987 r. Z tegoż referatu czerpię wiele podanych tu informacji – artykuł Bielickiego opublikuję „Problemy” nr 12/87.

3 Co nie oznacza, że nauka próbuje wyjaśnić fakty podawane przez Daenikena, ale to mna

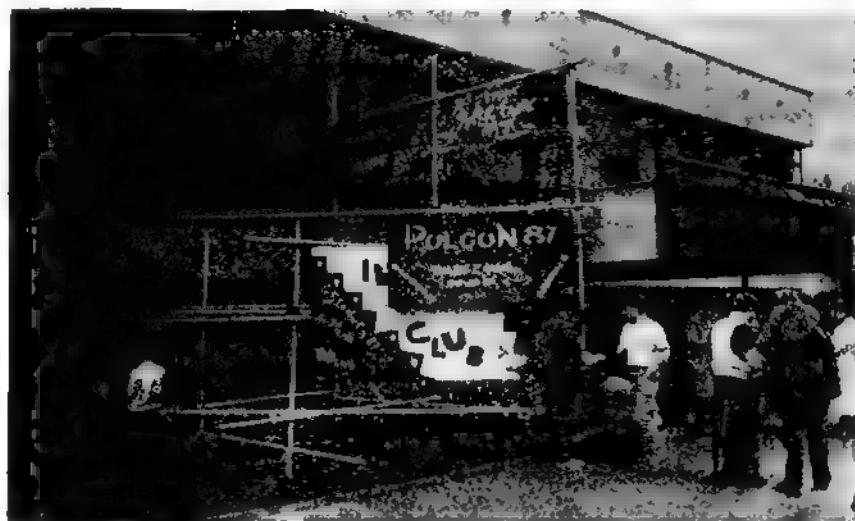
TA MAŁKA JEST FANTASTYCZNA!!!

Maciej Iłowiecki – najpopularniejszy autor „Fantastyki”
– również w „Małej Fantastyce”!

- Im więcej wiemy, tym wiemy mniej
- Mówiące delfiny
- Dlaczego zebry mają paski?

to pierwsze felietony z cyklu
„Z krainy zdziwienia”!

MAŁKA Fantastyka



Polcon'87

Droczne spotkanie miłośników fantastyki z całego kraju staje się już tradycją naszego fandomu. Po Poznaniu (1985), Katowicach (1986) tym razem odbyło się ono w Warszawie, dzięki staraniom warszawskiego oddziału PSMF i klubu studenckiego „Stodoła”.

Warszawski „Polcon” przyciągnął rozmachem wszystkie poprzednie. W czterodniowej imprezie (20-23 sierpnia) wzięło udział blisko tysiąc osób, z czego prawie połowa korzystała z zakwaterowania w akademikach „Riviera” i „Bratniak”. Dzięki wielkiemu wysiłkowi organizatorów ambitny program udało się zrealizować niemal w 100%. Jedynym niemiłym zgrzytem był brak wyżywienia, że co należy się parę cerkich słów warszawskiemu „Amatorowi”. Organizatorzy zmuszeni byli do zwrotu uczestnikom części kosztów. Na szczęście w okolicach „Stodoły” znajduje się wystarczająco dużo barów i restauracji, które dzięki „Polconowi” znacznie zwiększyły w tych dniach swe obroty.

Mimo wszystko, narzekań na kłopoty z wyżywieniem prawie się na „Polconie” nie słyszało. Najwyraźniej zrekompensował je uczestnikom imprezy bogaty i obszerny program. Jego trzon jak zwykle na tego typu imprezach stanowiły projekcje filmowe odbywające się non-stop przez cały czas trwania konwentu jednocześnie w czterech salach. Łącznie pokazano podczas konwentu ponad 70 obrazów zarówno na dużym ekranie jak i w technice magnetowidowej. Wyliczanie tytułów mija się z celem – prościej będzie stwierdzić, że na „Polconie” można było obejrzeć niemal wszystkie filmy SF jakie są dostępne w kraju włącznie z absolutnymi nowościami.

Przedstawiono też wystawę dokonów czołowych polskich grafików, zajmujących się fantastyką. Ukończoną spotkaniem z nimi. Przez cały czas czynne było dobrze zaopatrzone stoisko z nowościami książkowymi i wydawnictwami klubowymi (dostawnie oblegane od rana do wieczora) oraz salon gier komputerowych. Cenne, trudno dostępne na rynku książki można było nabyć na ponad pięciogodzinnej giełdzie. Z dużym zainteresowaniem spotkał się też pokaz slajdów z



Gość honorowy Polconu Kir Bułyczow podczas udzielania jednego z licznych wywiadów

grafiką SF oraz prezentacją muzyki elektronicznej. Nie zrealizowano jedynie dwóch punktów programu nie dostarczono do „Stodoły” sprzętu do pokazu hologramów, zaś pan Jerzy Gudejko, który miał wystąpić z monodramem „Kwiaty dla myszy” uznał za niewystarczające warunki panujące w sali, które mogli mu zapewnić organizatorzy (za duży hałas).

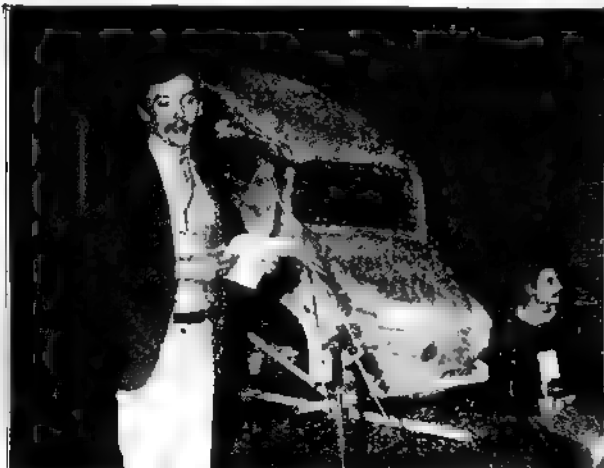
Bardzo interesującą pozycją programu był czynny codziennie „klub fana”. W kameralnym, niepowtarzalnym nastroju miłośnicy fantastyki i profesjonalści mogli tu porozmawiać o swoich zainteresowaniach. Słona konkurencja odbywających się równoległe imprez sprawiła, że nie było na sali ludzi, którzy przyszli z braku lepszego zajęcia. Dyskusje były naprawdę gorące i pouczające, każdy mógł znaleźć odpowiedzi na interesujące go pytania i podzielić się swoimi spostrzeżeniami. „Klub fana” prowadzili w kolejnych dniach Witold Nowakowski, Bogusław Polch i Jacek Rodek (komiks SF), Jan Adamski, Krzysztof Sokółowski i Rafał A. Żemkiewicz (fantasy) oraz Wojciech Kordowicz (muzyka elektroniczna). Warto, aby ta forma spotkania, proponowana na „Polconie” po raz pierwszy, weszła na stałe do programu konwentów.

Warszawski „Polcon” zaszczycił swą obecnością znany radziecki pisarz, Kir Bułyczow, przez trzy dni dosłownie rozrywany przez miłośników swej twórczości. Dwugodzinne spotkanie z nim należało niewątpliwie do najmocniejszych punktów programu, a liczba udzielonych przez Kir Bułyczowa autografów kwalifikuje go do księgi Guinnessa.

Był on, niestety, jedynym zagranicznym twórcą na imprezie (Wojtek Siudmak w ostatniej chwili zmuszony był ze względów zdrowotnych odwołać swój przyjazd). Większość zaproszonych gości nie odpisała w ogóle na zaproszenia. Na pewno nie bez znaczenia była tu nieodpowiedzialna działalność p. Wiktora Bukato z Wydawnictwa „Alfa”, który na krótko przed „Polconem” opublikował w zachodnim piśmie „Shards of Babel” artykuł ostrzegający przed udziałem w tej imprezie, nazywając ją „prowokacją” (?). Bardzo to smutne, zwłaszcza że (o czym można się było na „Polconie” przekonać) sytuacja w naszym fandomie uległa ostatnio znacznemu uzdrowieniu. „Potępienie swary”, podsycane łalami przez niektórych działaczy klubowych, niemal już wygasł, zdrowy rozsądek najwyraźniej zwyciężył, a ci, którzy nadal głoszą „świętą wojnę” między klubami zostali przez ogół fanów po prostu zignorowani. Na tym tle działalność pana Bukato, który porzucił już dawno status fana i zajmuje się fantastyką zawodowo, rozgrzebywanie zadawnionych, prowincjonalnych załagów, a zwłaszcza wynoszenie ich na forum międzynarodowe i fałszowanie obrazu polskiego fandomu i polskiej fantastyki w świecie, zasługuje na ocenę najzupełniej jednoznacznie.

Uroczyste otwarcie – w imieniu organizatorów przedstawia Maciej Makowski

W pierwszym rzędzie goście Polconu (od lewej) Kir Bułyczow, Wadim Dunin, Bronisław Kiedzik, Krzysztof Boruń, Pavel Weigel



Dobłą tradycją „Polconów”, utrzymaną i tym razem, jest współudział w organizacji imprezy klubów z całej Polski. W tym roku podziękowania należą się zwłaszcza klubowi z Żyrardowa oraz białostockiemu klubowi „Taurus”, który zaprezentował na „Polconie” ciekawą wystawę, będącą plonem ogólnopolskiego konkursu na grafikę SF przeprowadzonego przez Klub

Wspomnieć tu jeszcze należy o loterii fantowej, w której wylosowano między innymi tak cenne nagrody jak komputer „Commodore” czy trylogia Tolkiena, o spotkaniach z twórcami, prezentacjach gier SF i fantasy, forum wydawców wreszcie o starannej oprawie konwentu (elegancko wydany plakat, znaczek i informator, które otrzymał każdy uczestnik imprezy).

Jeśli kogoś lub coś tu pominięłam, proszę mi wybaczyć. Na tegorocznym „Polconie” naprawdę działo się zbyt wiele, żeby tu móc o wszystkim napisać.

Jak co roku przeprowadzono podczas „Polconu” plebiscyt, którego wyniki pozwałam tu sobie podać w przekonaniu, iż jest to znakomity sondaż czytelniczych gustów. Najlepsza książka obca: 1 Isaac Asimov „Fundacja” (765 głosów), 2 Henry Kuttner „Nieśmiertelni” (365), 3 James White „Kosmiczny szpital” (360). Najlepsza książka polska: 1 Stanisław Lem „Pokój na Ziemi” (330), 2 Waldemar Łysiak „Łysiak Fiction” (290), 3 Jacek Natanson „Złote Brighton” (244). Najlepsze opowiadanie polskie: 1 Andrzej Sapkowski „Wiedźmin” (Fantastyka nr 12/86, 355), 2 Janusz A. Zajdel „Adaptacja” (Fantastyka nr 7/87, 204), 3 (ex aequo) Marek Oramus „Kompleks Hoba” (Fantastyka nr 7/87) i Rafał A. Żemkiewicz „Władca szczurów” („Feniks” nr 2/86) po 150 głosów. W głosowaniu na najlepszy fanzin wygrał wysoko „Feniks” (choć jest rzeczą dyskusyjną, czy pismo to było fanzinem czy już magazynem profesjonalnym) przed „Kwazarem” i „Fikcjami”.

Nie przyznano natomiast w tym roku tradycyjnie wręczane, na „Polconie” nagrody im. Janusza Zajdla. Cytuję oświadczenie jury tej nagrody: „Żadna z pozycji, które ukazały się w omawianym okresie, nie zasługuje na nagrodę i przyznanie jej obniżyłoby tylko jej prestiż”.

Tegoroczny „Polcon” pobit też rekord pod względem zainteresowania imprezą prasy, radia i telewizji. Zapewne miał w tym swój udział fakt, iż impreza odbywała się w Warszawie. Liczny udział przedstawicieli prasy i poświęcone imprezie audycje radiowe i telewizyjne dowodzą, że „Polcon” z roku na rok nabiera coraz większej rangi. Dlatego niepokoić mus fakt, że na posiedzeniu komitetu organu rocznego nie udało się ustalić miejsca i terminu przyszłorocznego „Polconu”. Jest w Polsce kilka słynnych klubów, które, jak myślę, mogłyby podjąć organizację następnego konwentu i miećmy nadzieję, że ta cenna tradycja nie zostanie zaprzeczona. Wszystkim, którzy przyczynili się do udanego przebiegu „Polconu'87” składam serdeczne podziękowania – w imieniu swoim i tysiąca uczestników konwentu.

**Rafał A.
Żemkiewicz**

Krakowski Klub Miłośników Fantastyki uprzejmie informuje o zmianie swojej siedziby. Obecny adres Klubu brzmi: **Klub Śródmiejski „STRYCH”, KKMf, ul. Masarska 14, Kraków**. Jednocześnie informujemy, że KKMf nie bierze odpowiedzialności za przesyłki nadsyłane do Klubu na adres inny niż wymieniony. Wszystkich miłośników fantastyki serdecznie zapraszamy na nasze spotkania, które odbywają się w poniedziałki i w środy w godz. 16.30–21.00.

Fantastyczne pięć minut

Miejemy my nasze fantastyczne pięć minut i podczas Dr. Warszawy w Moskwie i to parokrotnie.

Dzięki uprzejmości współorganizatorów imprezy – Związku Literatów Polskich, ALMA-ARTU i Impresariatu Artystycznego Teatru Studio – mogliśmy przedstawić publiczności moskiewskiej problemy dokonania, nowe zjawiska polskiej science fiction.

Ale bywało i tak, że poza wymienionym autorami trudno było znaleźć na rynku radzieckim coś ciekawego i wartościowego.

Niżej podpisany opowiedział o dokonującej się w polskiej science fiction przemianie generacyjnej filozoficznej, estetycznej, o fali polskich powieści socjologicznych. Wspominał także o narastającej w środowisku polskich fantów fali polemiki z Lemem.



Najpierw sześć pism, Adam Holianek uczestniczył w obradach pisarzy fantastycznych. Szerzą relację z przebiegu obrad znajdziecie Państwo w tym numerze w... 3.2.1.

Dwa dni później, 11 września, wystąpił przed publicznością radziecką dwaj redaktorzy „Fantastyki” Sławomir Kędziński i Maciej Parowski oraz najciekawszy twórca polskiego kina fantastycznego Piotr Szulkin. Ponadto w czasie całej imprezy, red. Andrzej Brzezicki, kierownik działu graficznego pisma, prezentował moskwiakom w Domu Młodzieży wystawę stu najciekawszych prac plastycznych współpracowników „Fantastyki”.

Kędziński mówił o przekładach fantastyki radzieckiej w Polsce od lat międzywojennych do współczesności. Nie zawsze, jak twierdził, szło to łatwo i nie zawsze miało charakter świadomego propagowania science fiction. W dwudziestolecie tłumaczyliśmy wybraną radziecką fantastykę traktując ją po prostu jako dobrą literaturę (A. Tofstoj, I. Erenburg, W. Katajew). Po wojnie, zwłaszcza w przypadku takich twórców jak Jeremiasz Bracia Strugaczcy czy Bułaczow, używaliśmy „Fantastyki” do celów wobec nas... 3.2.1.

Z zainteresowaniem przyjęto w Moskwie plastyczną wystawę „Fantastyki”. Brzezicki nawązał przy okazji kontakty z radzieckimi artystami, czego konsekwencje zobaczycie Państwo wkrótce na naszych łamach.

Podobnie przyjęła Moskwa osobę i dzieło Piotra Szulkina. Tutejsza publiczność częściowo zna jego filmy (m.in. dzięki festiwalom i z kaset wideo), a także bezbłędnie rozszyfrowuje jego przesłania. Szulkin podczas spotkania natychmiast znalazł z widownią wspólny język. Przyznał się do duchowego pokrewieństwa z reżyserem radzieckim Andriejem Tarkowskim. Dyskretnie nie podjął postawionego przez widzów problemu oczywistych zapożyczeń ze swego dzieła, na jakie pozwolił sobie Konstantin Łopuszanski, twórca „Listów martwego człowieka”. Parogodzinne spotkanie publiczności z reżyserem zmieniło się z rozmowy o dziele, o języku artystycznym, w wymianę uwag o sztuce w ogóle, o życiu i... piennostrojce.

Także podczas spotkań w Moskwie okazała się więc fantastyka językiem pojemnym i uniwersalnym.

Maciej Parowski

45 światowa konwencja science fiction „Conspiracy”, największa tego typu impreza dla miłośników i profesjonalistów fantastyki naukowej odbyła się w dniach 27.08–2.09.1987 r. w Brighton. Z całego świata zjechali fanowie, pisarze, plastycy, dziennikarze, wydawcy magazynów i książek. Przybyło około 5000 ludzi, wśród których nie zabrakło także przedstawicieli i naszego kraju (około piętnastu osób).

Dzień wcześniej odbyło się posiedzenie World Science Fiction, międzynarodowej organizacji profesjonalistów, o której na łamach „Fantastyki” pisaaliśmy już niejednokrotnie. Organizacja ta przyznaje dorocznie kilka nagród i miłym dla nas zaskoczeniem

wszy Worldcon odbył się w 1939 r. w Nowym Jorku. Jest to ogromna impreza i trzeba nie lada organizacji, pieniędzy i wysiłku, aby odważyć się na jej zorganizowanie. Ponadto nawet kiedy się spełni te warunki, trzeba wygrać przetarg, tzn. zebrać odpowiednią liczbę głosów, a to wiąże się z systematyczną akcją propagandową na wiele lat przed terminem imprezy.

Najbliższe dwa Worldcony odbędą się w USA, przyszłoroczny w sierpniu w Nowym Orleanie, a następny w Bostonie. Dziś koszt uczestnictwa w nich wynosi 65 dolarów i będzie rósł w miarę zbliżania się imprezy. W 1990 r. znów Worldcon odbędzie się w Europie – Holandia zwyciężyła w



SPECIAL PRESIDENT'S AWARD 1987

for particular achievements in the
Science Fiction field

TO

ADAM HOLLANEK

Brighton, August 1987

WORLDCON'87 – BRIGHTON (ANGLIA)

Narady i nagrody

było uhonorowanie Adama Hollanka nagrodą specjalną Prezydenta World SF w roku 1987 za „szczególne osiągnięcia na polu science fiction”.

Nagrodę imienia Karela (chodzi tu o postać znanego pisarza czeskiego Karela Čapka) dla tłumacza roku przyznano Wiktorowi Bukaciu z wydawnictw „Alfa”, który ponadto otrzymał nagrodę fundacji E. Everett Evans „Big heart a world” przyznawaną człowiekowi, który coś zrobił dla światowego fandomu. Napisałem „coś”, gdyż nie są mi znane bliżej kryteria, jakimi kieruje się fundacja w przyznawaniu swojej nagrody.

Miłym zaskoczeniem był dla wszystkich przyjazd braci Strugackich: zostali oni uhonorowani przez World SF główną nagrodą za dorobek twórczy.

Zanim opowiem w wielkim skrócie co działo się podczas tych siedmiu dni festiwalu fantastyki, jeszcze kilka słów na temat samego Worldconu. Każdego roku na całym świecie odbywa się kilkadziesiąt różnych konwentów i spotkań. Najważniejszym spotkaniem fanów i twórców z Europy jest Eurocon, każdorazowo organizowany przez inny kraj. Podobnie jest z Worldconem. Jest to doroczna, największa i najważniejsza impreza tego typu. Wielokrotnie był organizowany w USA. Po raz pier-



Nagroda im. Karela

zetargu o organizację konwentu z Los Angeles.

Na Worldcon do Brighton przybyło wielu pisarzy, w tym takie sławy jak Robert Silverberg, Larry Niven, Frederik Pohl, Bob Show, Brian Aldiss, Harry Harrison, bracia Arkadij i Borys Strugaccy, Algis Budrys, John Brunner, Anne McCaffery i Gene Wolfe, a z młodszej generacji George R.R. Martin (kilkakrotnie u nas drukowany i bardzo

ceniony), Tanith Lee (mniej znana w Polsce, ale popularna w świecie autorka powieści fantasy), Ian Watson, Gardner Dozois, David Brin (bardzo obecnie popularny), Greg Bear czy William Gibson – autor głośnej powieści z nowej odmiany SF „cyberpunk”. Mogłbym wymieniać tu jeszcze wielu, wielu innych popularnych pisarzy i grafików.

Organizatorzy przygotowali dla uczestników zjazdu bogaty i atrakcyjny program. Było dużo różnych spotkań z twórcami. Ołó przykładowo kilka tematów takich spotkań: „Dekada 1960”, „50 lat Supermana”, „Goty – SF”, „Gdzie horror styka się z SF”, „Gdzie są brytyjskie magazyny SF”, „Poważna fantastyka naukowa – mówi Bob Shaw”, „SF na śmietniku historii”. Ponadto zorganizowano przeglądy filmów i widowisk telewizyjnych, wielką wystawę sztuki fantastycznej, w której obok malarstwa i grafiki prezentowano także rzeźbę, kompozycje przestrzenne i grafikę komputerową. Prezentowali swoje wyroby wydawcy gier komputerowych i planszowych. Odbywały się różnego rodzaju konkursy, głównie w „sprawności dżojistikowej”, ale widziałem także grających po kilka godzin w gry planszowe i „role-playing”. Do tego wszystkiego dodać trzeba jeszcze imprezy towarzyszące, jak koncert rockowy z tekstami opartymi na utworach popularnego pisarza fantasy Moorcocka, czy rodzaj maskarady – prezentację strojów uszytych przez fanów odtwarzających znanych i popularnych bohaterów książek czy filmów. I wreszcie kulminacyjnym punktem Worldconu była uroczystość wręczenia nagród Hugo, jednej z trzech najważniejszych i najbardziej prestiżowych nagród świata. Listę laureatów publikujemy oddzielnie.

Nie sposób w tak krótkim sprawozdaniu oddać ducha tego siedmiodniowego festiwalu fantastyki i jego atmosfery, a była ona wspaniała. Można mieć nadzieję, że kiedyś w przyszłości wspólnym wysiłkiem rodzimych fanów uda się i w naszym kraju zorganizować Worldcon.

Jacek Rodek

Nagrody Hugo 1987

- najlepsza powieść: Orson Scott Card – „Speaker for the Dead”,
- najlepsza mikropowieść: Robert Silverberg – „Gilgamesh in the Outback”,
- najlepsza nowela: Roger Zelazny – „Permafrost”,
- najlepsze opowiadanie: Greg Bear – „Tangents”,
- najlepsza książka non-fiction: Brian Aldiss i David Wingrove – „Trillion Year Spree”,
- najlepsza adaptacja dramatyczna: „Allens”,
- najlepszy grafik profesjonalny: Jim Burns,
- najlepszy wydawca profesjonalny: Terry Carr,
- najlepszy profesjonalny magazyn SF: „Locus” – wydawany przez Charlesa N. Browna,
- najlepszy pisarz nieprofesjonalny: Dave Langford,
- najlepszy grafik nieprofesjonalny: Brad Foster,
- najlepszy fanzin: „Ansible” wydawany przez Dave’a Langforda,
- nagroda im. Johna W. Campbella: Karen Joy Fowler.

fantastyka

SPIS TREŚCI – ROK 1987

W roku 1987 ukezało się 12 numerów naszego pisma (numery od 52 do 63); wszystkie o objętości 64 stron. Spis treści zestawiliśmy zgodnie z podziałem „Fantastyki” na stałe działy. W ich obrębie zastosowaliśmy układ alfabetyczny, wg nazwisk autorów oraz chronologiczny wg tytułów (w razie większej liczby tytułów jednego autora). Materiały redakcyjne lub sygnowane jedynie inicjałami, a także te, które są tylko opracowaniami, włączyliśmy do spisu alfabetycznie wg początkowych wyrazów tytułów, natomiast wywiady – wg nazwisk osób, z którymi były przeprowadzane. W przypadku recenzji nie podaliśmy ich tytułów, lecz przedstawiliśmy zestawiony alfabetycznie wg nazwisk autorów wykaz omówionych książek. Pierwsza liczba przy wszystkich hasłach oznacza kolejny numer „Fantastyki” w roku 1987, natomiast liczby po myślniku – stronę, na której zamieszczono wymieniony materiał (np. 3-4 oznacza nr 3, str. 4); liczby rzymskie oznaczają stronę okładki (np. 6-III to nr 6, III str. okładki).

Opowiadania i nowele

- ALDISS Brian W. – *Trzech odgłosy poranka w jednym z odległych krajów* (Sober Noises of Morning in a Marginal Land; przeł. Lech Jęczyński), 3-4; *Nie zapytałeś nawet jak mam na imię* (You Never Asked My Name; przeł. Dorota Malinowska), 11-4
- ANDERSON Poul – *Mariusz* (Marius; przeł. Marek Urbanski), 2-19; *Sam Hall* (Sam Hall; przeł. Rafał Brzeski), 6-8
- ARMER Karl Michael – *Okrażenia* (Umkreisungen; przeł. Mieczysław Dutkiewicz), 11-12
- BEAR Greg – *Martwy kurs* (Dead Run; przeł. Krzysztof Sokółowski), 1-4
- BILENKIN Dmitrij – *Wieża bólu* (Uzy boli; przeł. Sławomir Kędzierski), 12-11; *Czy istnieje człowiek?* (Suszczestwiuwi li cztowiek?; przeł. Sławomir Kędzierski), 12-15
- DICK Philip K. – *Czy androidy marzą o elektrycznych owcach?* – *Blade Runner* (Do Androids Dream of Electric Sheep; fr. powieści; przeł. Sławomir Kędzierski; wstęp L.J.), 9-44
- EFFINGER George Alec – *Płak czasu niesie gorzki owoc* (The Bird of Time Bears Bitter Fruit; przeł. Dorota Malinowska), 7-13
- EISELE Martin – *Przyjaciele ludzi* (Die Menschenfreunde; przeł. Wawrzyniec Sawicki), 4-19
- EISENSTEIN Phyllis – *Ślimak z kosmosu* (The Snail Out of Space; przeł. Darostaw J. Toruń), 12-4
- GÁSPÁR András – *Proszę wrzucić monetę* (Dollársas, na szarym kap.; przeł. Wojciech MaziarSKI), 4-12
- GUDANIEC Nikołaj – *Zapomnij, proszę* (Zabud’; proszę iebia; przeł. Izabela Orłowska), 8-16; *Głupiasz Fabi* (Duraczek Fabi; przeł. Izabela Orłowska), 8-18; *Arka* (Kowczeg; przeł. Lech Jęczyński), 10-10
- KRESS Nancy – *Wyjaśnienia* (Sp. z o.o. (Explanations, Inc.; przeł. Arkadiusz Nakonecznik), 3-12; *Wśród wszystkich tych jasných gwiazd* (Out of all them Bright Stars; przeł. Dorota Malinowska), 3-20
- LASSWITZ Kurd – *Cudowna lampa Aladyna* (Aladins Wunderlampe; przeł. Grazyna Werner), 6-4
- PETR Jaroslav – *Ściągnij Achillesa* (Achillovy svały; przeł. Grazyna Czerna), 1-12
- PIEGAI Daniela – *Strażnicy entropii* (Le sentinelle dell entropia; przeł. Bogdan Sroka), 10-12
- POKROWSKI Wladimir – *Czas ciemnych łowów* (Wnemia ciemnoy ochoty; przeł. Irena Lewandowska), 2-4
- RESNICK Mike – *Lowy na jednorożca z karabinem i kamerą* (Stalking the Unicorn with Gun and Camera; przeł. Dorota Malinowska), 10-4
- SHECKLEY Robert – *Skazaniec w kosmosie* (A Suppliant in Space; przeł. Zofia Uhrynowska-Hanasz), 7-4; *Nie kończący się western* (The Neverending Western; przeł. Lech Jęczyński), 9-19; *Cena* (Cost of Living; przeł. Lech Jęczyński), 9-41
- SPINRAD Norman – *Anioły „R”* (Carcinoma Angels; przeł. Jolanta Kozak), 8-20
- STERLING Bruce i SHINER Lewis – *Mozart w przyciemnionych okularach* (Mozart in Mirrorshades; przeł. Dorota Malinowska), 1-15
- VEIS Jaroslav – *Na zdrowie* (Na zdрави; przeł. Urszula Janus), 1-13; *Kto się śmieje ostatni*

- (Kdo se smėje naposled; przeł. Andrzej Sławomir Jagodziński), 5-4
- WATSON Ian – *Powolne płaki* (Slow Birds; przeł. Lech Jęczyński), 5-10; *Zimne światło* (Cold Light; przeł. Lech Jęczyński), 8-4
- WINNIK Irina – *Azyl nadziei* (Prilut Nadiezdy; przeł. Izabela Orłowska), 4-11; *Ostatni* (Poslednij; przeł. Izabela Orłowska), 4-11
- WOLFE Gene – *Mapa* (The Map; przeł. Darostaw J. Toruń), 4-4; *Perzaste tygrysy* (Feather Tiggers; przeł. Arkadiusz Nakonecznik), 10-6

Powieści

- ALDANI Lino i PIEGAI Daniela – *Znak białego księżycza* (Nel segno della luna bianca; przeł. Radostaw Kłos), 11-21, 12-21
- BRUNNER John – *Telepala* (The Whole Man; przeł. Jacek Manicki), 2-23, 3-23, 4-23
- CARROLL Jonathan – *Kraina Chichów* (The Land of Laughs; przeł. Jolanta Kozak; wstęp Franca Rottensteina), 7-31, 8-23, 9-25, 10-25
- POHL Frederik – *Kupcy wenusjarscy* (The Merchants of Venus; przeł. Juliusz Garztecki), 1-21
- STRUGACCY Arkady i Borys – *Fale tłumia wiat* (Wolny gaisal wietier; przeł. Irena Lewandowska; wstęp L.J.), 5-23, 6-23, 7-23

Z polskiej fantastyki

- BABULA Grzegorz – *R.I.P.*, 4-43
- BUKOWIECKI Aleksander – *Sensorta i Ferty* (III nagroda w konkursie „Fantastyki”), 8-43
- DEBSKI Eugeniusz – *Czy to pan zamawiał tortury?*, 4-44
- HOTLYSS HOTLAND przedstawia... 4-48
- HUBERATH Marek S. – *Wróćcieś Sneogg, wiedziaam* (I nagroda w konkursie „Fantastyki”), 9-4
- JABLONSKI Mirosław P. – *Czas wodnika*, 5-43
- KRES Feliks W. – *Demon Walki*, 10-21
- LENECH Romuald – *Cóż za szczęśliwe przebudzenie*, 8-48
- MESZKO Tadeusz – *Pożeracz szarości* (Konkurs „Fantastyki”), 1-45
- ORAMUS Marek – *Ownecko* (fr. powieści), 11-50
- PAKCIŃSKI Marek – *Przypadek Ewarysta*, 12-18
- PODGÓRSKI Andrzej i BĄCZKOWSKI Andrzej – *Ten wojewoda najwyraźniej trzęsie portkami*. *Sam chciał w to wleźć. Jego sprawa* (Konkurs „Fantastyki”), 7-43
- PROSTAK Zbigniew – *Ołbrzym z gór*, 2-43
- SOLSKI Paweł – *Król komputerów* (scenariusz filmowy na motywach „Króla olch” Johanna Wolfgang Goethego; „Król olch” w przekładzie swobodnym Wistawy Szymborskiej patrz 3-47), 3-43
- STEFANIK Grzegorz – *Spleen nad miastem*, 6-43
- URBANOWSKI Andrzej – *Paul, dziewczyna, jej duże oczy i małe piersi*, 11-45
- WYSOGLAD Roman – *Manewry przedwakacyjne*, 4-51
- ZAJDEL Janusz A. – *Adaptacja* (wstęp mp), 7-48

Poezja i fantastyka

- HOLLANEK Adam, 6-III
- POE Edgar Allan – *Kruk* (The Raven; przeł. Jolan-

ia Kozak; ponadto: wersja oryginalna ballady, wstęp Andrzeja Niewiadowskiego, fr. „Filozofii kompozycji” (Poego), 10-41

SOLECKI Tadeusz, 3-III

TULIK Jan, 12-III

Krytycy o fantastyce

- BERES Stanisław – *Fantastyka: azyl czy kosmos?*, 7-51
- ECO Umberto – *Nauka i fantastyka* (przeł. Radostaw Kłos), 4-52
- FILIP Grzegorz – *Świat plastiki fantastycznej*, 6-58
- GOLASZEWSKA Maria – *Imaginacja w antroposferze* (science fiction w kulturze współczesnej), 8-54
- HARTWELL David – *Czy sukces zepsuje SF?* (przeł. Dorota Malinowska), 12-51
- HOLLANEK Adam – *Na smyczy Lema?* (tekst zamykający dyskusję na temat „Siedmiu grzechów głównych polskiej science fiction”, por. „Fantastyka” nr 7/85 i 12/86), 1-55
- JARZĘBSKI Jerzy – *Stanisław Lema podróż do kresu labiryntu* (Dni Fantastyki 1986), 9-54
- ORAMUS Marek – *Pieśń kłosa, czyli moje widzenie fantastyki* (odpowiedź na zestaw tekstów polemicznych „Szesciu egzorcystów”, zamieszczony w „Fantastyce” nr 12/86), 1-53
- PALCZEWSKI Juliusz K. – *XIX-wieczne konsekwencje nowoczesnej SF* (Wells i Verne; Dni Fantastyki 1986), 5-58
- POE Edgar Allan – *Filozofia kompozycji* (fr. dotyczący powstania ballady „Kruk”), 10-44
- SZYLAŁ Jerzy – *Przestrzeń wewnętrzna* (film i fantastyka), 3-56

Słownik polskich autorów fantastyki

Wszystkie hasła słownika oraz fragmenty utworów (tytuły w nawiasach) zamieszczone na „pożyczkach kartkach” przygotował Andrzej NIEWIADOMSKI

- MALEWSKA Hanna (J.L.W., czyli co się może wydarzyć jutro), 1-56
- MALINOWSKI Krzysztof Wiesław, 1-56
- MARCZYŃSKI Antoni (Genialny wynalazek), 2-54
- MARKOWSKI Michał, 2-55
- MARKOWSKI Tadeusz, 2-55
- MEISSNER Janusz (Licznik z czerwoną strzałką), 3-54
- MECHIK Andrzej, 3-54
- MICHAŁSKA Maria, 3-54
- MICINSKI Tadeusz (Mené-Mené-Thekel-Upharism! Quasi Una Phantasia), 4-56, 11-56, 11-58
- MICKIEWICZ Adam (Historia przyszłości), 5-53
- MIKULSKA Julia, 6-54
- MIL Janusz (Kronika straż, współautor Sławomir Mil), 6-54
- MIL Sławomir, 6-54
- MORSKI Eugeniusz (W pogoni za czarnym kartem), 7-54
- NIDECKA Julia, 7-54
- NIEMCZYŃSKI Zbigniew, 8-56
- NIĘZABITOWSKI Władysław (Ostatni na Ziemi), 8-56
- NORWID Cyprian Kamil (Źródło), 9-55
- NOWACZYŃSKI Adolf (System doktora Caro), 10-56
- ORAMUS Marek, 11-56
- ORWICZ Zygmunt (Człowiek niewidzialny), 12-54
- OSSENDOWSKI Ferdynand Antoni, 12-54
- OSTOJA OWSIANY Andrzej, 12-54

Recenzowane książki

W nawiasach podaliśmy inicjały autorów recenzji: SB – Stanisław BELINA, LB – Leszek BUGAJSKI, ZD – T. Zbigniew DWORAK, WJ – Włodzimierz JURASZ, GL – Grazyna ŁASON, MO – Marek ORAMUS, MP – Maciej PAROWSKI, WS – Wawrzyniec SAWICKI, MS – Małgorzata SKÓRSKA, KS – Krzysztof SOKÓŁOWSKI, MSZ – Magdalena SZMIT, AS – Aleksander ŚWITALSKI, JT – Jolanta TAMBOR, RZ – Rafał A. ZIEMKIEWICZ.

- ASIMOV Isaac – *Foundation and Earth* (KS), 11-60
- ASIMOV Isaac – *Fundacja* (LB), 11-60
- BALLADA o Narayanie – *opowieści niesamowite z prozy japońskiej* – Wybór, przekład, przypisy i noty o autorach: Blanka Yonekawa (MP), 9-60
- BLISKIE spotkania – *Opowiadania fantastyczne, wybór: Maciej Parowski* (WS), 5-56
- CLARKE Arthur C. – 1984: Spring. A Choice of Futures (KS), 1-59
- CLARKE Arthur C. – *The Songs of Distant Earth* (KS), 8-58
- DON Wollheim proponuje – 1985 (Najlepsze opowiadania science fiction roku 1984) – Wybór, wstęp i komentarze: Donald A. Wollheim (MP), 2-56



DON Wollheim proponuje – 1986 (Najlepsze opowiadania science fiction roku 1985) – Wybór, wstęp i komentarze: Donald A. Wollheim (MP), 8–59
DROGA do science fiction – od Welisa do Heinleina (2) – Wybór, przedmowa i 10 historycznych James Gunn (MP), 6–56
DRUKARCY Grzegorz – Reguła baśniowego mroku (RZ), 1–59
FIALKOWSKI Konrad – Adam, jeden z nas (LB), 1–58
FIALKOWSKI Konrad – Homo divinus (LB), 12–56
FOUCAULT Michel – Historia szaleństwa w dobie klasycyzmu (MS), 12–57
GIRARD René – Kozioł ofiarny (MS), 10–59
GOLDING William – Władca much (MP), 5–57
GRABICZ Adam i KLINOWSKI Jacek – Kino, wehikuł magiczny. Przewodnik osiągnięć filmu fabularnego. Podróż druga 1950–1959 (MP), 12–56
HOLLANEK Adam – Pokuty (AS), 6–56
JASINSKI Ryszard P. – Science Fiction. Szkic z dziejów literatury popularnej w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii (ZD), 3–53
KING Stephen – Skeleton Crew (KS), 5–56
KOCHANOWSKI Krzysztof – Zabójca czarownic (RZ), 1–59
LEM Stanisław – Doskonała próżnia. Wielkość urojona (MP), 4–54
LEM Stanisław – Pokój na Ziemi (LB), 7–56
LEM Stanisław – Solaris. Niezwyciężony (WJ), 10–58
MIKULSKA Julitta – Inanna (WS), 6–54
NATANSON Jacek – Złote Brighton (MP), 7–57
NIEZWYKŁY kryształ – „Polska nowela fantastyczna”, tom V, zebrał Stefan Otoczeń (GL), 8–58
PLAZEWSKI Jerzy – Historia filmu dla każdego (1895–1980) (MP), 12–56
POHL Frederik – Człowiek Plus (MO), 9–59
POPIK Emma – Tylko Ziemia (MP), 11–61
RYSZKIEWICZ Marcin – Mieszkańcy światów alternatywnych, czyli historia naturalna rozumu (ZD), 10–59
SCIENCE FICTION in Osteuropa – Herausgeben von Wolfgang Kasack (JT), 2–56
SILVERBERG Robert – Gilgamesh the King (KS), 7–57
SILVERBERG Robert – Lord Valentine Castle (KS), 4–55
TOFFLER Alvin – Trzecia fala (MP), 3–53
TRZECIA brama – Opowiadania nagrodzone w konkursie miesięcznika „Fantastyka” 1982/83, opracował Maciej Parowski (WS), 9–60
URBANOWICZ Katarzyna – Płama na wodzie (RZ), 1–59
VERNE Jules – Pięć tygodni w balonie (SB), 3–52
WELLS Herbert George – Atak z głębin (LB), 5–57
ZIMNIAK Andrzej – Homo determinatus (LB), 4–55
ŻWIKIEWICZ Wiktor – Ballada o przekleństwie (LB), 3–52
ŻWIKIEWICZ Wiktor – Delirium w Tharsys (MSZ), 11–61

Informacje o książkach

Bibliografia utworów fantastycznych wydanych w Polsce, okres 1974–1978 (opr. Jacek IZWORSKI; wprowadzenie w numerze 1/84, okres 1945–1958 w numerach 1–12/84, okres 1959–1968 w numerach 1–12/85, okres 1969–1974 w numerach 1–12/86), 1–64, 2–57, 3–58, 4–64, 5–59, 6–57, (7–10)–61, 11–59, 12–53

Spotkanie z pisarzem

ALDISS Brian – Zapragnęłam wystąpić w roli dinozaura (opr. Lech Jęczyński), 3–59
CARROLL Jonathan – Początek spokojny – koniec makabryczny (wywiad Franca Rottensteina; przeł. Jolanta Kozak), 7–58
HUBERT Jean-Pierre – Dobra SF obroni się sama (wywiad Wojciecha Jarosła), 2–63
TIERNEY John – Fanatyk domowej kuchni (o Stanisławie Lemie; przeł. Arkadiusz Nakoniecznik; wstęp Adama Hollanka), 8–51
WISNIEWSKI-SNERG Adam – Karcer i niebo wcielania (wywiad Macieja Parowskiego), 6–60
WOLFE Gene – Mitologia stońca (wywiad Roberta Fraziera; przeł. i opr. Wawrzyniec Sawicki), 10–60

Film i fantastyka

MALINOWSKA Dorota – Gagatki (o filmie Richarda Donnera „The Goonies”), 2–11; Schwarzenegger jako szwarczarakter (o filmie Jamesa Camerona „The Terminator”; tytuł polski: „Elektryczny morderca”), 4–11; Spirala strachu (o filmie Konstantina Łopuszanskiego „Listy martwego człowieka”), 5–11; Bajki nie

tylko dla dzieci (o filmach: Russella Mulcahy’ego „Nieśmiertelny” i Ridleya Scotta „Legenda”) 6–64; Androidy, czyli my (o filmie Ridleya Scotta „Blade Runner”), 9–53; Galopem w magię (o filmie Jerzego Domaradzkiego i Janusza Morgensterna „Biały smok”), 10–64; Zobaczyć to jeszcze raz? (o filmie Stephena Hereka „Critters”), 10–64; Różne recepty na film SF (o filmach: Ridleya Scotta „Obcy – ósmy pasażer Nostromo” i Jamesa Camerona „Obcy – decydujące starcie”), 11–64

PAROWSKI Maciej – Szukinada! (o filmie Piotra Szulkina „Ga, ga – chwata bohaterom”), 1–11; Od nikielodonu do kina pięciu palców? (o książkach: Adama Grabcica i Jacka Klinowskiego „Kino, wehikuł magiczny” i Jerzego Plazewskiego „Historia filmu dla każdego”), 12–56

PIENKOWSKI Grzegorz – Proza Lema i jej ekranizacje, 8–60

SOKOŁOWSKI Krzysztof – Cień wielkiej dwójki (sylwetka Johna Carpentera), 7–64

SZYŁAK Jerzy – Przestrzeń wewnętrzna, 3–56

Nauka i SF

ILOWIECKI Maciej – cykl „Z tamtej strony lustra”: Koniec wszechświata?, 1–62; Dobry Czas, 2–58; Inżynieria embrionalna, 3–62; Przerazający człowiek śniegu, 4–62; Miła zabawa w ciepłarni, 5–62; Co nam chce powiedzieć Księżyc, 6–62; Smutne namiastki nieśmiertelności, 7–62; Figle naszego świata, 8–62; Powrót Minotaura, 10–62; Gość w Obłoku Magellana, 11–62; Rozum, czyli efekt uboczny, 12–58

MOSTOWICZ Arnold – Trójtros w sprawie prababki Ewy, 1–60; O metodyce budowlanej megalitycznych, 3–60; Mezoamerykańskie zagadki, 5–60

OKÓLSKA Barbara – Świt magów – koncepcja realizmu fantastycznego L. Pauwelsa i J. Bergiera, 2–60

PAUWELS Louis i BERGIER Jacques – Rzeczywistość fantastyczna (przeł. Barbara Okólska), 2–61

SF na świecie

KUCZKA Péter – Węgierska SF wczoraj i dziś (wywiad Wojciecha Maziarskiego), 4–59

LEM nawet w operze (A.H.), 3–64

MAZIARSKI Wojciech – Nowa „Galaktika” na nieboskłonach, 4–61

PAROWSKI Maciej – Fantastyczne pięć minut, (Dni Warszawy w Moskwie), 12–61

PRZYGOTOWANIA do World SF 88, 4–61

RODEK Jacek – Narady i nagrody (Worldcon 1987 – Brighton), 12–62

ROTTENSTEINER Franz – Nowe książki o Lemie (przeł. Mieczysław Dutkiewicz), 3–64; Różne notki informacyjne (przeł. Mieczysław Dutkiewicz), 5–59

WEIGEL Pavel – Czechosłowacka fantastyka naukowa w roku 1986, 7–60

Wśród fanów

RÓŻNE notki informacyjne (autorzy Mak, raz, P.M.Z.), 1–64, 3–60, 4–64, 6–61

ZIEMKIEWICZ Rafał A. – Polcon’87, 12–60

Komiks

ROSINSKI Grzegorz (rys.) i DUCHATEAU André Paul (scenariusz) – Yans – więzień wieczności, odcinki 6–11 (Hans – le prisonnier de l’éternité; odcinki 1–5 w numerach 8–12/86), (1–6)–31

Galeria „Fantastyki”

Podajemy tylko strony, na których zamieszczono noty wprowadzające.

BARECCY Grażyna i Andrzej, 3–11

BICZ Borys, 12–11

COOMONTE Pilar, 8–11

FANTASY – Frank Frazetta... i inni, 4–11

GRABOWSKI Jan, 5–11

KONKURSY („Alficia w kramie czarów” i „Figury niemożliwe”), 6–11

LEPSZE niż człowiek..., 1–11, 1–7

LOPALEWSKI Piotr, 12–11

SIUDMAK III, 7–8

SMIT LE BÉNÉDICTE Jean-Claude, 5–11

TORA! Tora! Tora!, 2–7

WOJTYŃSKI o Grabichim, 9–11

WRONSKI Andrzej, 10–11

YASUDA Hisaki, 11–11

Różne (stałe rubryki, omówienia, Informacje itd.)
ALICJA w krainie czarów (Galeria; Werydyk jury I Ogólnopolskiego Konkursu Fotografii Fantastycznej), 6–11

BIBLIOTEKA „Fantastyki” (o nowej serii „Książki i Wiedzy” i „Fantastyki”), 5–64

BRZEZICKI Andrzej – Figury niemożliwe (Galeria, rozstrzygnięcie konkursu), 6–11

CZYTELNICZY o „Fantastyce” (sondaż III; KS), 12–32

DNI Fantastyki – Warszawa 1986, 2–53

DWA nowe kwartałniki (Ładowanie L), 4–3

DWORAK Zbigniew – Opowiadanie fantastyczne (polemiki – grzechy polskiej SF – cd.), 8–64

DYDQ Krzysztof – Wojtek Siudmak (Galeria), 7–8

10...9...8... (nasz konkurs; mp), 8–43

FANTASTYKA ekstrawagancka (wstęp do zestawu polskich opowiadań; mp), 4–43

FINAŁ Drugiego Literackiego Konkursu „Fantastyki” na opowiadanie SF – Laureaci, 9–4

FINIS coronat opus! (nasz konkurs; Maciej Parowski, Andrzej Niewiadowski, Lech Jęczyński, Dorota Malinowska i Rafał A. Ziemiakiewicz przedstawiają swe refleksje po lekturze prac konkursowych; patrz też: Adam Hollanek – „3...2...1...”, 10–2), 10–54

FOLKCON’87, 7–61

GUTOWSKI Wojciech – Nieporozumienie (polemika z tekstem Andrzeja Niewiadowskiego „Tadeusz Miciński” zamieszczonym w „Fantastyce” nr 4/87), 11–56

HOLLANEK Adam – „3...2...1...” (felieton wstępny), (1–12)–2; Pięć lat „Fantastyki” („3...2...1...”), 9–2

HOLLANEK Adam i SZOLGINIA Krzysztof – Sondaż III – wyniki! (Czytelnicy i „Fantastyka”), 12–31

ŁADOWANIE XLVII–LVIII (Czytelnicy i „Fantastyka”, Redaktor), (1–12)–3

LEPSZE niż człowiek (Galeria; an), 1–7

MAKOWSKI Maciej – Gra w fantazję (o grach fabularnych o tematyce fantastyki i SF), 9–64

NAGRODY Literackie „Fantastyki”, 11–11

NIEWIADOWSKI Andrzej – „Kruk” A.E. Poe’go, 10–41; Nieporozumienie czy kontrowersja? (Odpowiedź na tekst polemiczny Wojciecha Gutowskiego „Nieporozumienie”; patrz: 11–56), 11–58

PAROWSKI Maciej – Podręczny kalkulator wątków młodej fantastyki (grzechy polskiej SF – cd.), 8–11

SCHUMINSZKY Nándor – Największe przygody – największe dramaty (podbój kosmosu), 9–62

SONDAŻ IV („Fantastyka” w roku 1987 – ankieta; KS), 12–33

UWAGA – scenariusz (wstęp do „Króla komputerów” Pawła Solskiego; mp), 3–43

VICENT Manuel – Ciało ożywione (Galeria), 8–11

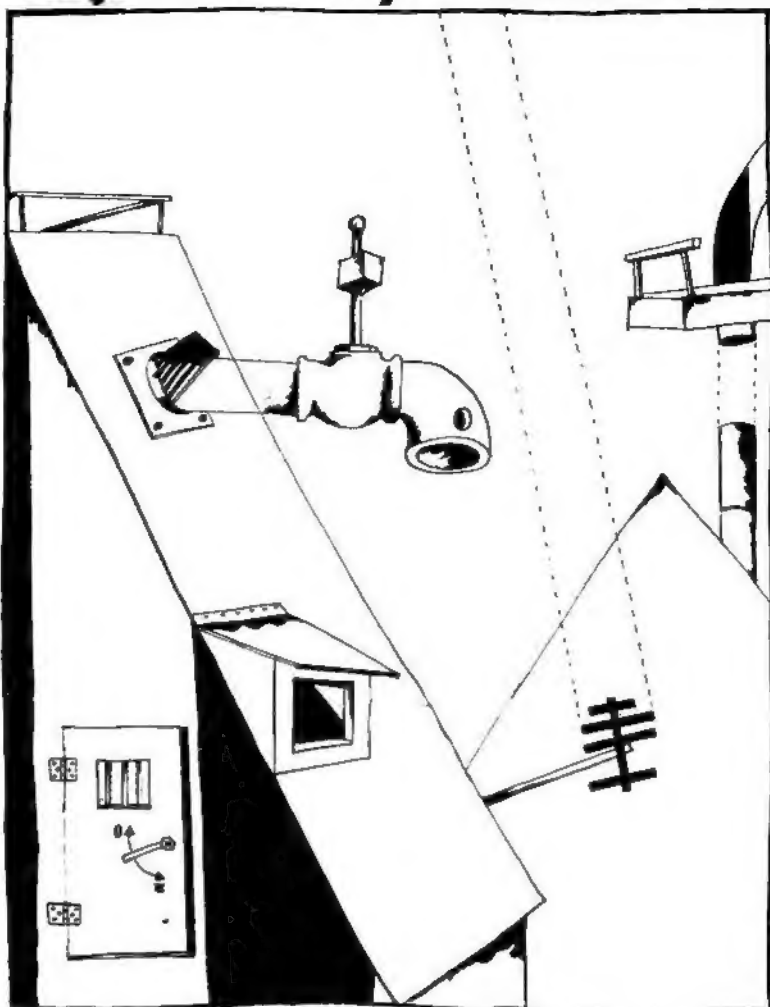
WPROWADZENIE do numeru, (1–12)–1

ZALEJSKI Marek Krzysztof – Frank Frazetta (Galeria), 4–11; Tora! Tora! Tora! (Galeria), 2–7; Hisaki Yasuda (Galeria), 11–11

Notki
ALDANI Lino, 11–21
ALDISS Brian, 11–9
ANDERSON Poul, 2–21, 6–13
ARMER Karl Michael, 11–15
BEAR Greg, 1–8
BILENIN Dmitrij, 12–11
BRUNNER John, 2–24
CARROLL Jonathan, 7–32
ECO Umberto, 4–52
EFFINGER George Alec, 7–20
EISELE Martin, 4–20
EISENSTEIN Phyllis, 12–8
FILIP Grzegorz, 6–58
GRABINSKI Stefan, 9–11
GUDANIEC Nikołaj Leonardowicz, 8–19, 10–11
HUBERT Jean-Pierre, 2–64
JABŁONSKI Miroslaw Piotr, 5–48
JARZEBSKI Jerzy, 9–54
KRES Feliks W., 10–52
KRESS Nancy, 3–22
LASSWITZ Kurd, 6–6
LENECH Romuald, 8–49
MESZKO Tadeusz, 1–48
PALCZEWSKI Juliusz, 5–58
PAKCIŃSKI Marek, 12–49
PETR Jaroslav, 1–12
PIEGAI Daniela, 10–13, 11–21
POHL Frederik, 1–21
POKROWSKI Władimir, 2–8
PROSTAK Zbigniew, 2–48
RESNICK Mike, 10–5
SHECKLEY Robert, 7–6, 9–19
SOLECKI Tadeusz, 3–11
SOLSKI Paweł, 3–45
SPINRAD Norman, 8–21
STEFANOWSKI Grzegorz, 6–53
SZYŁAK Jerzy, 3–57
TULIK Jan, 12–11
URBAŃCZYK Andrzej, 11–47
VEIS Jaroslav, 1–13, 5–9
WATSON Ian, 5–19, 8–6
WOLFE Gene, 4–6, 10–9
ZAJDEL Janusz A., 7–47

Jan Tulik, ur. 15 czerwca 1951 r. w Gołęczynie (Tarnowskie). Wydał zbiory wierszy: „Zdarzenie w C-durze” (1981), „Ocalone drzewo” (1982), „Budzenie licha” (1985) oraz arkusz poetycki „Morze Wilgoci” (1983). Laureat konkursów poetyckich, także nagród literackich im. Ryszarda Milczewskiego-Bruno (1982) i St. Piłtaka (1985). Uprawia również krytykę literacką, publikuje na łamach „Życia Literackiego”, „Poezji”, „Pisma Lit.-Art.”, „Kultury” i in., do wydania przygotowane: dwa tomiki wierszy, proza (i książka krytyczna – to w fazie roboty).

Jan Tulik



Janusz Węgrzyn

TRATWY NOSTRADAMUSA

Nostradamus mówi

Jak ustaliliśmy podług tarczy słonecznej, po każdym dwunastu miesiącach mamy nowy 1549 rok. W następnym roku 1548 albo 1483 ukończę spisywać Centurie, lub zacznę je pisać. Druga wojna światowa była przewidziana daleko wcześniej, zaraz po lądowaniu człowieka na Księżycu. A za kilkadziesiąt może lat narodzi się Chrystus, którego wcześniej czy później ukrzyżowali i zmartwychwstanie by Odkupić. W 3797 roku nastąpi koniec świata albo wtedy dowiedziecie się, lub dowiemy, co moglibyśmy wiedzieć, gdyby było słuszne. Lecz nie jest słuszne – jest powiedziane.

Czarna karta

Madame L., posłuszna córka Nostradamusa, rozkłada na taflę stołu karty: Buonaparte dotyka jednej – Isniącej coraz goręcej. Wybiera inną – w cesarskim brokacie. Madame L. odradza trzecią – chłodna jak kopny śnieg i niedostępna niczym w bryle lodu zatopiona miniatura Moskwy – jadowity owad w bursztynie.

Madame L. powiada w roku 1871 do Fryderyka Wilhelma II: dodajmy do dzisiejszej daty $1+8+7+1 = 1888$ – oto rok śmierci Waszej Wysokości.

Madame L. zwraca się do mnie:
nie wybieraj
żadnej z kart!

Dagerotypy śpiącego proroka

Różowe niebo nad błękitną planetą
o taflę lodu spłaszczoną na biegunach – oglądam
w pościeli i okrywający mnie koc faluje
jak wielka woda w przypiływie – wełniane fale
przyciąga różowe światło żarówki.

Inna płytka przedstawia przesunięte kontynenty
i nowe morza; jakby mój pokój
został gwałtownie przemeblowany
i szafa stała na środku – wyspa
w toni podłogi.

Na pozostałych dagerotypach mogę dostrzec
tylko mgliste szczegóły: ocierające się w locie
dwa kamienie, które iskrząc zmieniają tor;
szczyt gotyckiej wieży opadającej w głąb
jak peryskop; ludzkie usta utrwalone w ostatnim
krzyku. I dziecko przyssane do drzewa
wokół którego spekana ziemia aż po horyzont;
drzewo bez cienia, pod misą chmury, z której upada
jedna kropla na jeden liść – ku wardze maleństwa.

Aby nie patrzeć już, przysłaniam dagerotypy
gazetą z artykułem o najnowszych osiągnięciach
mocarzy. Nakrywam się kocem, który jest
kocem, gaszę żarówkę, która jest żarówką,
zaczynam drzeć na tapczanie,
który nie jest ruchomym łodem. Dobrze.
Tylko jak nazajutrz wyjść z domu
we wszechświat – – –